LUBLIN

kultura i społeczeństwo

nr 6 (116) Rok XIX
listopad–grudzień 2022

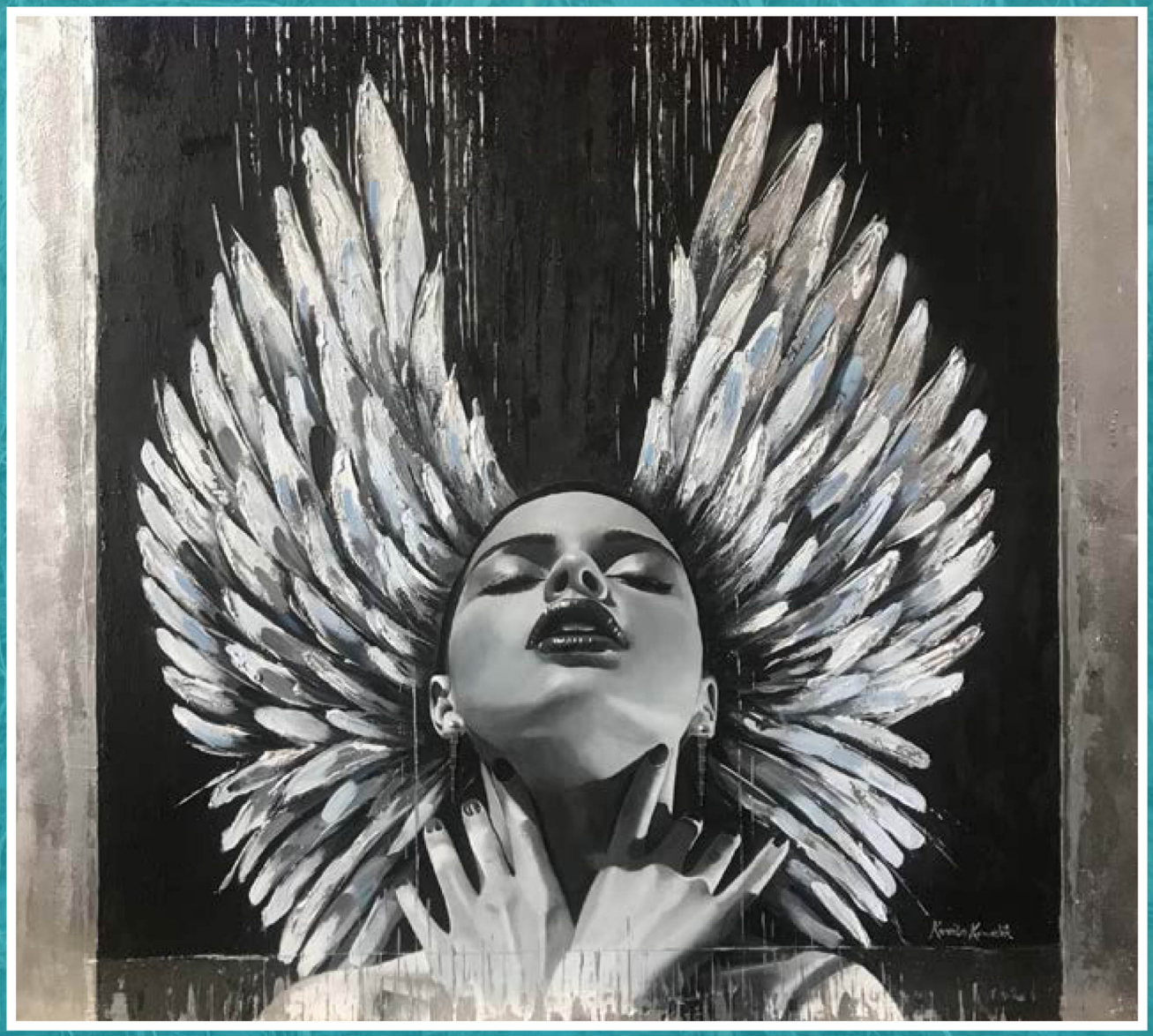

Kamila Kowalik, *Ok, let's dance* (*Sydney*), 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

Ballada listopadowa

Franciszka Arnsztajnowa

Listopad… wicher po ulicach świszcze
I z szumem garście zwiędłych liści miota…
W kominku trzaska, dogasając, zgliszcze,
A lampa blady kładzie okrąg złota
Na skroni matki i na syna twarzy.
Matka pacierze szepce, syn jej… marzy.

«Synu mój! Co ci? Westchnąłeś głęboko,
To się rumienisz, to bledniesz znów cały,
Iskry ściemniałe przebiegają oko»…
– «O matko!… śniłem sen szkarłatny chwały!
Listopadowe widzę dzieje krwawe,
Krok Podchorążych słyszę, boju wrzawę».

«Synu, to wicher liście z drzewa żenie
Smętne jesieni zawodzący pieśnie.
Zmów pacierz, synu… wieczne odpocznienie
Racz im dać. Panie!… co zmarło, nie wskrześnie».
«O matko! słuchaj: grzmią o bruk podkowy,
I Warszawianki płynie dźwięk echowy».

«To deszcz o szyby kołacze na dworze…
Synu mój, synu, odpędź błędne mary…
Na Boga! Czemu sięgnąłeś nad łoże,
Kędy praojców wisi oręż stary?»
– «O matko, matko!… ktoś na koniu goni,
Słychać szczęk stali, wołają „do broni”»

«Synu mój, synu… oręż zardzewiały
Niech śpi na ścianie… daremne marzenie
O bojach, laurach bohaterskiej chwały…
Nie wstaną z grobu snadź rycerskie cienie,
Zali zdołają wskrzesić przeszłość karły?»
– «O matko! matko! one nie umarły!

Żyją!… O matko! nocami rycerze
Pod strzechy wchodzą… kładą ciężkie dłonie
Na piersi chłopiąt, zbroją je w pancerze,
By serce męża miały w dziecka łonie
I mieczem młode błogosławią głowy.
O matko! Świta! Dzień już wstaje nowy!

Matko, zmów pacierz… lecz nie za te mary,
Co się po grobach snują w Listopadzie,
Za żywe módl się, matko!… By w ofiary
Godzinie wyśnił się nam sen o szpadzie:
Sztandar orłowy przed wrogiem rozwinąć,
Za wolność Polski zwyciężać lub ginąć!»

Lublin
Kultura i społeczeństwo
Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych

Wydawca:
Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26

Redakcja:
Zbigniew Włodzimierz Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Jadwiga Król
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)

Adres redakcji:
20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa:
Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17

www.lublin-czasopismo.pl

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na okładce I:
Kamila Kowalik, ***Silver Angel,*** 90 × 120 płótno, akryl, tech, własna, kolekcja prywatna

W numerze:

Ballada listopadowa – Franciszka Arnsztajnowa 3
Drodzy Czytelnicy 5
Tradycje Świąt Bożego Narodzenia dawniej i… w epoce postmoderny – ks. Edward Walewander 6
Anioły nad Londynem. Refleksje zamiast relacji świątecznych z okolic bożonarodzeniowych, z Anglii 2022 roku – Jerzy Jacek Bojarski 11
Świętowanie po hiszpańsku. Szczęśliwych Świąt! Feliz Navidad! – Henryk Radej . . . 19
Wiersze – (Henryk J. Kozak, Jan Orłowski, Mirosław Grudzień, Sławomir Rudnicki) 24
Gawęda o pięknie i mądrości baśni – Stefan Kruk 26
„Ozdobo ziemi, drzewo wspaniałe!" Z dziejów motywu drzewa – Alina Aleksandrowicz 32
Chrzciny Kornelii – Wiktor Kowalczyk 43
O drzewach poezją i prozą – Halina Ewa Olszewska 46
W orzechowym mateczniku – Stanisław Turski 47
W moim ogródeczku – Jacek F. Brzozowski 48
Drzewo, dom, dziecko – Stanisław Żurek 49
Przy sadzeniu róż – Klemens Podsiadło 51
Do lipy – Henryk Radej 53
Opowiadania (Laska; Anioły; Brzoskwinia) – Stanisław Rogala 54
Mogą przetrwać – Józef Zięba 55
Paulina Hołyszowa – Zbigniew Lubaszewski 59
Wiersze – Paulina Hołyszowa 63
Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Józefa Czechowicza Andrzej Samborski – Nagroda za całokształt twórczości – (red) 66
Zaczarowane ulice, zaczarowane stworzenia, zaczarowany poeta. Oczarowany czytelnik – Jadwiga Mizińska 67
Ekslibrisy literackie – Andrzej Samborski 70
Opowiadania (Angelus; Cieszysz się, skarbie?; Na postoju; Karnawał sztukmistrzów; Na Bobolanach; Maszynopis znaleziony przy śmietniku; Pan Piotr z działu rybnego; Przystanek nawróceń; Przed lustrem; * * *; Kartka na święta) – Bernard Nowak 72
Malarstwo Kamili Kowalik – (KS) 84
Zbigniew Herbert – rodzinny. Z Beatą Elżbietą Lechnio (z domu Żebrowską) – siostrzenicą Zbigniewa Herberta – rozmawia Jerzy Jacek Bojarski 89
Lublin wart jest pióra! – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 105
Romanów i jego sekrety – Feliks Czyżewski 113
Trzydzieści tomów współczesnego psałterza poetyckiego – Waldemar Michalski . . . 116
Chytry jak turecki Podlasiak – Zbigniew Włodzimierski 118

Projekt został zrealizowany dzięki wsparciu finansowemu Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

Drodzy Czytelnicy,

numer otwieramy poruszającym utworem Franciszki Arnsztajnowej. Opublikowano go w roku 1915 w *Kalendarzu Wydziału Narodowego Lubelskiego*. Nawiązuje do rocznicy wybuchu powstania listopadowego. Rocznica za nami, przed nami święta Bożego Narodzenia. Kilka informacji – w *Ewangeliach* nie jest wspomniana data narodzin Jezusa Chrystusa. Najstarszym znanym obecnie autorem, który pisał o narodzinach Jezusa Chrystusa w grudniu, jest Hipolit Rzymski. W datowanym na 204 rok *Komentarzu* do *Księgi Daniela* (4,23,3) napisał on: *Pierwsze przyjście Pana naszego wcielonego, który narodził się w Betlejem miało miejsce ósmego dnia przed kalendami styczniowymi* (tzn. 25 grudnia). Dzień 25 grudnia jako datę dzienną narodzin Chrystusa podał też rzymski historyk chrześcijański Sekstus Juliusz Afrykański w swojej *Chronographiai* z roku 221.

Istnieją różne wyjaśnienia obrania tego dnia dla liturgicznej celebracji Bożego Narodzenia. Najbardziej popularna wśród uczonych interpretacja uznaje, że chrześcijanie, nie znając faktycznej daty narodzin Chrystusa, obrali tę datę jako symboliczną. Był to dzień bliski dniowi przesilenia zimowego. W II–IV wieku 25 grudnia obchodzono dzień urodzin Mitry. Cesarz Aurelian nakazał w 274 roku, by w tym dniu obchodzono święto synkretycznego kultu Sol Invictus – narodziny boga Słońca. Świętowanie narodzin Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa, nazywanego „Słońcem sprawiedliwości" (Ml 3,20), „Światłością świata" (J 8,12), „Światłem na oświecenie pogan" (Łk 2,32; por. Łk 1,78–79), było chrześcijańską odpowiedzią na ten kult pogański. Interpretację tę popierają historycy starożytnego chrześcijaństwa. Inni historycy uważają, że wybór daty był inspirowany apokryfami *Nowego Testamentu*, które mówiły, że poczęcie Chrystusa dokonało się 25 marca. Stąd obliczono, że jego narodzenie powinno przypadać dziewięć miesięcy później: 25 grudnia. Joseph Ratzinger w swojej książce *Duch liturgii* zwrócił uwagę m.in. na fakt, iż w tradycji judaistycznej data 25 marca uznawana była za dzień stworzenia świata, w związku z czym chrześcijanie obchodzili ten dzień także jako wspomnienie poczęcia Jezusa (święto Zwiastowania) oraz jego męczeńskiej śmierci.

Katolicyzm

W Kościołach katolickich świętowanie Narodzenia Pańskiego rozpoczyna się po zmroku 24 grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia. Wówczas wierni spożywają wieczerzę wigilijną, dzielą się opłatkiem, składają sobie życzenia, śpiewają kolędy, obdarowują się prezentami i czytają Ewangelię mówiącą o Narodzeniu Chrystusa. W okolicy północy w kościołach odprawiana jest uroczysta Msza święta – Pasterka. 25 grudnia wierni spożywają uroczysty obiad i odwiedzają się wzajemnie. 26 grudnia obchodzony jest drugi dzień uroczystości Bożego Narodzenia, wspomina się wówczas św. Szczepana pierwszego Diakona i Męczennika. W wielu parafiach istnieje zwyczaj poświęcania owsa. Po tych dniach do 1 stycznia trwa oktawa świąt Bożego Narodzenia. W tym czasie kolędnicy odwiedzają domostwa, a kapłani rozpoczynają czas wizyt duszpasterskich, potocznie zwanych kolędą. Tradycyjnie okres Bożego Narodzenia kończy się świętem Ofiarowania Pańskiego – 2 lutego.

Katolicy dekorują swoje mieszkania, miejsca pracy, urzędy i kościoły różnymi motywami bożonarodzeniowymi. Strojona jest choinka, ubierany żłóbek. W wielu miejscach odgrywane są jasełka, śpiewane są kolędy i pastorałki.

Mariawityzm

Mariawici są oryginalnie polskim wyznaniem religijnym, wyrosłym z Kościoła rzymskokatolickiego na przełomie XIX i XX wieku na ziemiach zaboru rosyjskiego. W swoich zwyczajach bożonarodzeniowych przechowali wiele cennych tradycji z tamtego okresu i pielęgnują je nadal.

Oprócz dekorowania choinek i szopki w kościołach, szczególnie zabiega się o bogate przystrojenie ołtarzy, gdzie przechowywany jest Przenajświętszy Sakrament. Mariawici szczególnie akcentują przyjście Chrystusa w Eucharystii. Sakrament Ołtarza jest bowiem przedłużeniem tajemnicy Wcielenia Syna Bożego.

Polskim zwyczajem jest spożywanie 12 potraw postnych oraz pozostawienie pustego talerza dla gościa, który może zawitać do domu. Szczególnie popularną wśród mariawitów potrawą wigilijną jest zupa z suszu owocowego, zwana w niektórych rejonach potocznie zupą mariawicką.

W liturgii mariawickiej święta Bożego Narodzenia trwają przez trzy dni od 25 grudnia do 27 grudnia.

Prawosławie

Wyznawcy prawosławia Boże Narodzenie obchodzą na ogół 13 dni później niż katolicy. Wigilia jest 6 stycznia. Później, w nocy z 6 na 7 stycznia, wierni uczestniczą w kilkugodzinnych liturgiach, które są odpowiednikiem pasterki w kościele katolickim. Nabożeństwa w cerkwiach prowadzone są w języku cerkiewnosłowiańskim. Niekiedy trwają nawet kilka godzin. W cerkwiach nie ma zwyczaju ustawiania szopki. W widocznym miejscu umieszcza się natomiast odświętnie przystrojoną ikonę, przedstawiającą scenę narodzenia Jezusa.

Prawosławie występuje głównie w Rosji oraz w krajach wschodnich i południowo-wschodnich Europy. W Grecji i Rumunii jest religią zdecydowanie dominującą.

I oby sprawdziły się życzenia, które sobie tradycyjnie składamy. Wszystkiego najlepszego! I do spotkania w Nowym 2023 Roku – redaktor

Ks. Edward Walewander

Tradycje Świąt Bożego Narodzenia dawniej i... w epoce postmoderny

I. Tradycja to ustalony wzór działań i zachowań, czyli sposób postępowania członków grup czy szerszych zbiorowości społecznych. Służy umacnianiu świadomości indywidualnej i zbiorowej. Jest też podstawą zachowania struktur społecznych, narodowych, a także religijnych w międzypokoleniowym przekazie (to między innymi, czyli przekaz, przekazanie, oznacza łacińskie słowo traditio, od którego utworzyliśmy naszą spolszczoną „tradycję", chociaż traditio to także zdrada i podstępne morderstwo...).

Każda tradycja jest zazwyczaj pozytywna, chociaż bywa związana z chwalebnymi, ale też bolesnymi wydarzeniami z przeszłości. Tradycja może być powszechna lub lokalna. Rodzi się zwykle w realiach codziennego życia. Stanowi formę rekonstrukcji przeszłości, np. wydarzeń biblijnych związanych z Bożym Narodzeniem.

II. Teraz do powyższych myśli generalnych już kilka konkretnych „ilustracji" tytułowych tradycji Świąt Bożego Narodzenia. Nasze Święta Bożego Narodzenia, a przede wszystkim wieczerza wigilijna, tradycyjnie gromadziły i gromadzą razem wszystkich członków rodziny. To między innymi okazja do wspomnień. Dawniej snuto przede wszystkim różne opowieści z dziejów rodziny. Dzieci chętnie słuchały tych opowiadań o dziadkach i babciach oraz bliższych i dalszych członkach rodziny. Nie zapominano też o tych, z którymi nasza rodzina była zaprzyjaźniona[1]. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu często opowiadano sobie o tragicznych przeżyciach podczas II wojny światowej i okupacji niemieckiej. W moim domu rodzinnym snuły się stale wspomnienia o codziennym życiu podczas okupacji, o niekończących się niedostatkach, zwłaszcza o głodzie, który bardzo często gościł, mimo że niezapraszany, u wielu rodzin.

W obecności niektórych naszych sąsiadów nigdy nie śpiewało się kolędy *Cicha noc*. Byłoby to dla nich bolesnym przypomnieniem lat cierpień w niemieckich obozach koncentracyjnych, gdzie w okresie Bożego Narodzenia, stojąc w zimnie na wielogodzinnych apelach, musieli słuchać tej kolędy nadawanej przez megafony.

Ubieranie choinki, naturalnego drzewka, jodły lub świerka, bo w moim dzieciństwie nie było jeszcze choinek sztucznych, to było przeżycie szczególne. Dekoracje były stosunkowo skromne: naturalne łańcuchy (pamiętam je, kunsztownie wykonane ze specjalnego papieru i słomki), jabłka, cukierki i ciastka. Na choince zapalano prawdziwe świeczki, co tworzyło niesamowite wrażenie zwłaszcza w wigilijny wieczór. Jednocześnie słyszało się ostrzeżenie rozsądnych rodziców, że bywają one przyczyną wielu pożarów. W związku z tymi choinkowymi świeczkami jeszcze mały szczegół: w dzień Bożego Narodzenia czy też w inne okołoświąteczne dni, kiedy sypialiśmy dłużej, miłym dla mnie obowiązkiem jako najmłodszego w rodzinie było zapalanie owych naturalnych świeczek. Pozostało doprawdy niezapomniane wspomnienie tej swoistej świeckiej liturgii.

Do dzisiaj jest jeszcze gdzieniegdzie praktykowany stary chrześcijański zwyczaj, że bezpośrednio przed kolacją wigilijną ojciec rodziny wnosi uroczyście do domu, najczęściej z jednym ze swoich dzieci (jeśli ma syna, to jego przyucza do tego), siano pod obrus, niewielki snop zboża, nazywany „królem". Stara się, by źdźbła w nim były jak najdłuższe, ponieważ wierzy się, że wtedy wyrośnie równie wysokie zboże w nadchodzącym roku. Snop zboża symbolizuje nowonarodzonego Chrystusa, który przez swoje narodzenie powinien stać się królem całego naszego życia.

Dzielenie, łamanie się opłatkiem to typowo polski zwyczaj, którego korzeni można wszelako upatrywać w Kościele pierwszych wieków, kiedy tradycja łamania się pobłogosławionym chlebem była symbolem komunii duchowej członków wspólnoty, chociaż nie miała początkowo związku z Bożym Narodzeniem. Ten zwyczaj błogosławienia chleba nazywano eulogiami. Z czasem na wigilijną mszę przynoszono chleb, który błogosławiono i którym się dzielono. Zabierano go też do domów dla chorych czy tych, którzy z różnych powodów nie byli w kościele, przesyłano krewnym i znajomym.

1 Por. M. Boruta, *Nazwisko. Tożsamość i więzi rodzinne*, Kraków 2008, passim.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Pokłon pasterzy*, drzeworyt barwny, [Życzenie gwiazdkowe i noworoczne dla wydawnictwa Książnica-Atlas we Lwowie], 1938, zbiory POLONA

Ten zwyczaj ma w polskich domach tradycyjnie charakter głęboko religijny. Dawniej więc, chociaż i dzisiaj też niekiedy tak się dzieje, cała rodzina najpierw odmawiała wspólnie, najczęściej na klęczkach, pełny pacierz, a więc Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Credo, Dziesięć Bożych Przykazań i Aniele Boży. Czyta się też Ewangelię o Bożym Narodzeniu (zazwyczaj drugi rozdział z Ewangelii według św. Łukasza). Jeśli w ciągu danego roku umarł ktoś w rodzinie, wszyscy modlili się za spokój jego duszy. Po modlitwie przemawiał krótko ojciec czy matka lub najstarsza osoba w rodzinie, przywołując między innymi potrzebę świątecznej zgody i pojednania. Następowała chwila na wyrażenie skruchy za popełnione winy i prośba o ich wybaczenie. Dopiero wtedy można było podzielić się opłatkiem. Przed jego spożyciem czyniło się znak krzyża. Życzenia towarzyszące dzieleniu się opłatkiem były zazwyczaj krótkie i stereotypowe. Z opłatkiem w dłoni rodzice zwracali się najpierw do siebie, a później kolejno do wszystkich dzieci przeważnie z takim wezwaniem, które było jednocześnie życzeniem: Proszę cię na kolędę. Odpowiedź była równie stereotypowa: Daj nam Boże ten rok sprowadzić i drugiego szczęśliwie doczekać.

W drugi dzień świąt, w uroczystość św. Szczepana, wczesnym rankiem domy odwiedzali „szczodracy" (dobrze życzący). Były to dzieci (najczęściej chłopcy, rzadziej dziewczynki), które z samego rana odwiedzały rodziny i szczodrze (stąd ich nazwa) życzyły błogosławieństwa Bożego, na koniec obsypując wszystkich ziarnami owsa. Obsypywanie ziarnem miało przypominać męczeńską śmierć św. Szczepana, pierwszego męczennika za wiarę w Chrystusa, przez ukamienowanie. Szczodracy dostawali w nagrodę pieniądze, dlatego ścigali się, by być wszędzie jak najwcześniej, bo to gwarantowało sowitszą nagrodę za życzliwość.

Począwszy od wigilii, poprzez uroczystość Bożego Narodzenia, dzień św. Szczepana, św. Jana, Nowy Rok aż do uroczystości Trzech Króli, składający sobie wizyty po domach zaraz na wejściu wyrażali życzenia w następujących słowach: Na szczęście, na zdrowie z Wigilią (czy przykładowo: z Nowym Rokiem etc.). Odpowiedź była zawsze prosta, wręcz stereotypowa: Daj nam Boże ten rok sprowadzić i drugiego szczęśliwie doczekać!

Przygotowania do wigilii poprzedzającej Boże Narodzenie trwają kilka dni. Dawniej cały wigilijny dzień zwykle prawie nic się nie jadło ani nie piło i po części tak to jest praktykowane do dzisiaj, bo tego dnia nadal obowiązuje post ścisły, czyli polegający na powstrzymywaniu się od spożywania mięsa oraz ograniczeniu posiłków do jednego do syta dziennie. Kiedy dom został wysprzątany, przystępowało się do ubierania choinki. Na drzewku wieszało się m.in. papierowe ozdoby, jabłka, pierniczki, cukierki i bańki.

W dzień św. Szczepana wigilijne siano dawało się zwierzętom jako środek zapobiegający chorobie. Uważano, że dzięki wigilijnemu sianu krowy będą dawać więcej mleka. Natomiast ze snopka zboża robiło się małe powrósła, którymi obwiązywano drzewa owocowe, by miały jak najwięcej owoców. →

Spośród niezmiennych elementów tradycji bożonarodzeniowych należy wspomnieć obowiązkowe potrawy wigilijne, którymi dla przeważającej grupy Polaków nadal są kutia, kompot z suszonych owoców, barszcz czerwony, kapusta z grochem, bułka z makiem, ryby, śledzie.

Z Wigilią wiąże się szereg zwyczajów i wierzeń nie do końca chrześcijańskich. W dzień wigilijny unika się odwiedzin. Powszechnie dba się, by w tym dniu zobaczyć jako pierwszego mężczyznę, którego spotkanie ma wróżyć powodzenie. Kobiety nie powinny w tym dniu odwiedzać obcych. Mają raczej pilnować domostwa, spotkane poza domem wróżą niepowodzenie. W Wigilię ani w Święta ludzie starają się nic nie pożyczać od innych, bo to także wróży niepowodzenie.

III. Opisane zwyczaje bożonarodzeniowe to bodaj ostatnie relikty, jakie nas jeszcze niekiedy łączą z dawnymi laty, są przejawem tradycji. Wiele zwyczajów, nie tylko bożonarodzeniowych, ulega dziś gwałtownym zmianom. Z pewnością ma to swoje przyczyny w procesach, które następują w makroświecie. Gdzieś od połowy XX w. następuje bowiem przechodzenie od społeczeństwa przemysłowego do epoki komputerów, czyli do społeczeństwa informacyjnego, w którym panuje elektronika i roboty oraz wirtualne światy. Wskutek tego stale rośnie liczba „inteligentnych robotów", które wypierają tradycyjnych robotników. Teraz człowiek jest potrzebny tylko do projektowania nowych konstrukcji i programów. Robotnicy w tym nowym społeczeństwie są „spisani na straty", na niebyt, a nawet uważa się ich za „przeszkodę" w dalszym rozwoju społecznym. Prawdziwymi „ludźmi" są jedynie technicy, biznesmeni, potentaci finansowi. Technika nie tyle opanowuje naturę, ile ją zastępuje, czyni wprost zbyteczną, jak w science fiction[2].

Ponadto lansuje się obecnie, głównie przez ideologię postmodernizmu, czysto konsumpcyjny styl życia człowieka. Jest to postawa polegająca na nieusprawiedliwionym (rzeczywistymi potrzebami oraz kosztami ekologicznymi, społecznymi czy indywidualnymi) zdobywaniu dóbr materialnych i usług, lub pogląd polegający na uznawaniu tej konsumpcji za wyznacznik jakości życia (lub za najważniejszą, względnie jedyną wartość) – hedonistyczny materializm. W efekcie wszystko – nawet nauka, sztuka, religia, nie mówiąc o rozrywce, sporcie, polityce – jest podporządkowane grze rynkowej i nieposkromionemu użyciu. Czy symptomem odejścia od tradycyjnego świętowania Bożego Narodzenia jest, przynajmniej dla Polaka, spędzanie związanego z tym wolnego czasu na tropikalnej wyspie i popijanie schłodzonej tequili ze stylowej szklaneczki z parasolką i przegryzanie oliwką? Wyobraźmy sobie któreś ze wspomnianych bożonarodzeniowych życzeń wypowiadane w tych okolicznościach do półnagiej partnerki w bikini...

Społeczeństwo dzisiejsze żyje reklamą, która skutecznie zajmuje miejsce ideologii czy systemu. Ludzie konsumują głównie obrazy i informacje. Świat i życie to tylko jakby jeszcze jeden film odtwarzany z dysku komputerowego.

W znanej powieści pt. *Buszujący w zbożu* amerykańskiego pisarza Jerome'a Davida Salingera znajduje się ciekawa rozmowa bohatera tej książki, ucznia szkoły średniej, ze swoją siostrą, która pyta go, kim chciałby zostać. Chłopiec odpowiada, że był czas, kiedy chciał być adwokatem, ale teraz najchętniej stałby obok łanu zboża, który urywa się nad przepaścią, i pilnował, aby buszujące w zbożu dzieci do niej nie wpadły. „Mam swoje zadanie – mówi. – Muszę schwytać każdego, kto się znajdzie w niebezpieczeństwie, tuż nad przepaścią. Bo dzieci rozhasały się, pędzą i nie patrzą, co tam jest przed nimi, więc ja muszę w porę doskoczyć i pochwycić każdego, kto by mógł spaść z urwiska. Cały dzień, od rana do wieczora, stoję tak na straży. Jestem właśnie strażak w zbożu. Wiem, że to wariacki pomysł, ale tylko tym naprawdę chciałbym być"[3].

Jestem przekonany, że powyższa, bardzo mi bliska dygresja literacka jest dobrą ilustracją przemian, jakie zachodzą w naszej współczesnej rzeczywistości. Tradycja, podobnie jak kultura, z gruntu ma w sobie zdolność nie tylko do trwania, ale także do rozwoju. O jej ciągłości decyduje naszkicowane wyżej dziedzictwo społeczne, religijne czy też kulturowe. Natomiast o zmianie tradycji decydują procesy cywilizacyjne, takie jak choćby konsumpcjonizm, technizacja czy też szeroko rozumiana sekularyzacja życia. To one modyfikują czy wręcz eliminują poszczególne elementy tradycji.

Przedstawione wyżej rudymentarne wspomnienia tradycji Świąt Bożego Narodzenia są dziś dla wielu młodych ludzi czymś jakby przeniesionym z obcej i nieznanej im planety.

Współczesne zjawiska, obecne w naszej codzienności, wprowadzają zamiast tradycji nowe treści, co być może powinno się przyczyniać do jej rozwoju. Ale czy tak faktycznie jest?

Galopujące zmiany w naszym życiu codziennym zdają się temu przeczyć. Raczej potwierdzają przypuszczenie, że na naszych oczach powstaje coś całkiem nowego. Czy jest to rozwój? Czy nie jest to raczej druzgocąca degradacja ludzkiej myśli i tradycji?

Ks. Edward Walewander

2 J. Naisbitt, Megatrendy. Dziesięć nowych kierunków zmieniających nasze życie, tłum. P. Kwiatkowski, Poznań 1987, s. 29-61; por. też: Cz. Mojsiewicz, Świat, w którym żyjemy, Poznań 2003, s. 25-26.

3 J. D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, tłum. M. Skibniewska, Warszawa 1967, s. 159.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Święty Józef i Maria w drodze do Betlejem*, drzeworyt barwny, 1936, zbiory POLONA

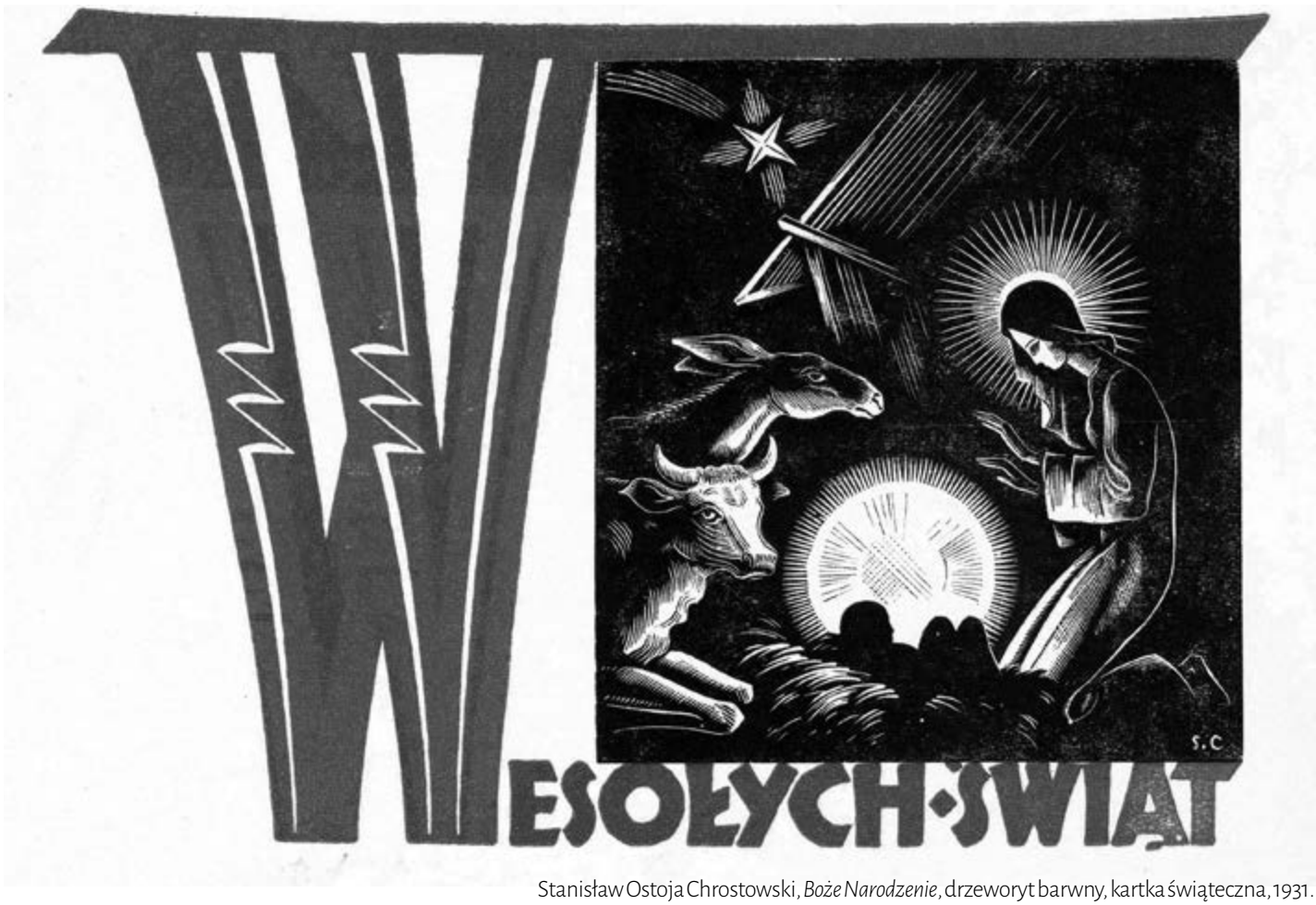

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Boże Narodzenie*, drzeworyt barwny, kartka świąteczna, 1931.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Życzenia Noworoczne*, drzeworyt barwny, kartka świąteczna dla PLL LOT, 1936.

Afisz, drukarnia Estetyczna Lublin, zbiory POLONA

Jerzy
Jacek
Bojarski

Anioły nad Londynem

Refleksje zamiast relacji świątecznych z okolic bożonarodzeniowych, z Anglii 2022 roku

Wczoraj żegnałem się z Anglią, na facebooku – na moim koncie – umieściłem zdjęcia: „Londyn nocą w świątecznej iluminacji żegna Stary Rok 2022". Tak, świat w dobie szybkiego przeskakiwania z miejsca na miejsce dzięki samolotom, stał się bardzo mały. Londyn City wraz z londyńską giełdą papierów wartościowych to miejsce, gdzie skupia się większość działalności handlowo-bankowo-ubezpieczeniowej Wielkiej Brytanii. To serce Europy finansowej, w przeciwieństwie do Paryża – gdzie nadal mieści się współczesne centrum kultury i nauki. Londyn to najważniejsze miejsce finansowe, nie Włochy, gdzie powstał pierwszy bank, ale Wielka Brytania. Z czym się nam jeszcze kojarzy Londyn? Przede wszystkim ze słynną wieżą z zegarem Big Ben, konserwatywną monarchią królewską, niesamowitym designem czerwonych budek telefonicznych, czarnych taksówek i bardzo charakterystycznych, dwupiętrowych czerwonych autobusów miejskich. Tak, to są ikony dzisiejszej Anglii. Taka współczesna wieża Babel, gdzie ludzie mimo pomieszania języków, ras, kultur, dogadali się i stworzyli współczesnego miejskiego Molocha (semicki bóg, potężny i nienasycony, pożerający wiele ofiar; Molochowi miano składać ofiary z dzieci). By skrzętnie ukryć panujący przed końcem roku rozgardiasz, na miasto wypuszczono anioły iluminacyjne, faktycznie, przykryły prawdziwy obraz. Anioły iluminacyjne. Anioły nad Londynem.

Bogactwo i bieda, przesyt i niedostatek, krążąc po tym bajecznie kolorowym świecie przychodzi mi na myśl – bo najodpowiedniejsza przecież pora – po ludzku biedne i niewyobrażalnie skromniutkie – Betlejem, wszak tutaj miało miejsce Boże Narodzenie.

Te dwa światy, zbitka sprawnego człowieka, ufającego w swoją moc sprawnej działalności czy zdawałoby się archaiczna rzecz – jak wiara w Boga?

Czytelnik po przeczytaniu tekstu sam musi się pozycjonować, gdzie jest obecny w tym świecie? Mamona czy Bóg? a może jedno nie wyklucza drugiego?

Proszę samemu sobie dać odpowiedź. Nie jestem akolitą finansjery, a wiara niegdyś miała inne znaczenia? Dziś walka trwa.

Londyn w czasie świąt Bożego Narodzenia

„Wierzysz, że Bóg zrodził się w betlejemskim żłobie, lecz biada Ci, jeżeli nie zrodził sie w Tobie" – Adam Mickiewicz

Miałem problem od czego zacząć moje refleksje...

Bo to nie będą relacje tylko refleksje! Już jestem w Lublinie. Ostatni dzień Starego Roku 2022. Mam jasną koncepcję tego, co chcę napisać i wysłać do redakcji czasopisma „Lublin". Zagajenia nie będzie, bo to nie debata! Wstęp – to chyba zbyt sztywne? Truć nie ma sensu, bo czytelnik wymagający i po pierwszym niezręcznym czy nieprecyzyjnym zdaniu ziewa i się nudzi...

Cytat z wieszcza narodowego ustawia mi pisanie! Ponadto chciałem sobie „poherbertować", choć mi daleko do Księcia Poetów. Pisał świetne eseje ze swoich podróży, ja tylko podzielę się refleksjami.

Wysyłanie życzeń świątecznych z choinkami, mikołajkami, reniferami na kartkach przypomina mi cepeliadę. Taki kulturowy bum wysyłania życzeń, czasami z pominięciem istoty rzeczy: że Bóg się rodzi, a moc truchleje. Ja to rozumiem i nie potępiam, kiedy inni sprowadzają sprawy do powierzchownych rzeczy i życzeń. Od tego jest Kościół i prorok wieszcz. Poeta jest konkretny mówi wprost: „biada jeśli [Jezus] nie zrodził się w Tobie". Tak, po stokroć mi biada.

Przed wylotem na święta tego, po prostu, tak nie czułem i nie widziałem! Podróże kształcą, nie wycieczki turystyczne, gdzie się dużo widzi, a jeszcze lepiej, za jak najmniejsze pieniądze.

Do rzeczy!

Eureka! Mam w rękach wydrukowany kolorowy bilet lotniczy, papierowy, „Boarding pass" – który oznacza w prostym tłumaczeniu: karta pokładowa. Niby mam to samo w telefonie, ale zawsze jest jakieś „ale"... – a to sieć nie łączy lub komórka pozbawiona ładowania, itd. A tu do przeprawy paszportowej trzeba stanąć jak do apelu. Jestem staroświecki. Papier to papier. Wyciągam kartę pokładową, jest data 18 grudnia 2022 rok. Wydrukowany skan, moje dane paszportowe, numer lotu W9 2065. Kiedy przylot na lotnisko, kiedy odprawa, kiedy kontrola rzeczy, bramkę zamykają, wejście zamykają o godz.10.10 i przylot do Luton 12.05 (czasu angielskiego, bo w Polsce jest 13.05).

To by było na tyle? Po raz trzeci mam być „korespondentem" prasowym z Anglii dla czasopisma kulturalno-społecznego „Lublin", którym zawiaduje niestrudzony Zbigniew Fronczek, redaktor naczelny od wielu lat, bodajże już dziewiętnastu. Wysyłałem już swego czasu relacje z Anglii podczas epidemii covidowej oraz z wakacji z Grecji, z uroczej wyspy Zakynthos. Ta mała wyspa na Morzu Jońskim jest trzecią co do wielkości w archipelagu Wysp Jońskich.

Tu z całą mocą muszę podkreślić per analogiam: „Papieżowi i Zbigniewowi Włodzimierzowi Fronczkowi się nie odmawia", bo jakże to, nie uchodzi! Skoro mnie prosi: zrób relację z Anglii – to zrobię, widocznie tamte się chyba podobały, bo zostały wydrukowane w „Lublinie" (nr 5 listopad 2020 „Mój lot do Anglii" i nr 6 grudzień 2020 „Wakacje na Zakynthos – pomiędzy chorea a zorbą"). Mniej więcej od roku współpracuję z lubelskim dziennikarzem

i uznanym pisarzem, odznaczonym *Gloria Artis*, autorem wielu publikacji książkowych. To Zbyszek wkręcił mnie w pisanie autobiografii „Wściekli sześćdziesięcioletni". To specjalista od łapania stu srok na raz za ogon i jakoś mu się to udaje! Ja biedny emeritus i cukrzyk staram się dotrzymać mu kroku. Tylko zamiast relacji będą to jednak refleksje! Dlaczego? – wyniknie to z tekstu!

Znamienne, że lecę do Anglii na dwa tygodnie, w dniu 18 grudnia wylatuję z Lublina do Luton, tego dnia odbędzie się finał mistrzostw świata w piłce nożnej w Katarze. Wracam 31 grudnia z Luton do Lublina. Jedno jest już pewne, nie będzie grać w tym katarskim finale drużyna z Albionu. Dlaczego? Dostała baty od aktualnych mistrzów świata Francuzów 2:1. Ale cóż, jak się nie strzela karnego, to się przegrywa na własne życzenie. Pierwszego karnego Harry Kane – najlepszy chyba aktualnie angielski piłkarz – zamienił na bramkę i wyrównał na 1:1. Przy stanie meczu 2:1 dla Francuzów, szczęście uśmiechnęło się znowu dla Anglików. Trwało krótko, do momentu wykonania jedenastki. Po raz wtóry do egzekwowania rzutu karnego podszedł kapitan Anglii, Harry Kane, nie trafił nawet w światło bramki, spudłował. Zdarza się to wszystkim gwiazdom piłkarskim. Nieskuteczność podczas strzału z jedenastki przytrafiła się (m.in.) Lewandowskiemu, Messiemu czy Ronaldo. Francuzi, zwycięzcy Polaków w stosunku 3:1, po bardzo ładnym meczu w wykonaniu drużyny polskiej, pokonali tym razem Anglików. Do sensacji należą porażki utytułowanych drużyn, przegrywają swe mecze Niemcy, Belgowie, Hiszpanie, którzy nie strzelili ani jednego karnego, Portugalczycy, Brazylijczycy czy wspomniani już Anglicy. To jest piękno sportu, siła i urok piłki nożnej, odpadają pewniacy, a do gry wchodzi drużyna z Afryki – Maroko, czy nieodległej Chorwacji. Zostały 4 drużyny. Jest Argentyna i Francja! Co dalej? Emocje dopadną mnie przy telewizorze w Slaugh w Anglii.

Po raz pierwszy lecę do Anglii, kiedy na tronie zasiada król Karol III, syn królowej Elżbiety II z dynastii Windsorów, która panowała nad Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej dłużej niż wynosi mój wiek (67 lat), bo 70 lat i 214 dni. Przeżyła 15 premierów Wielkiej Brytanii. To jest dopiero historia! Była najdłużej panującą w historii kobietą – głową państwa.

To królowa Elżbieta II dała szansę – 6 września 2022 – tworzenia rządu Liz Truss. Została trzecią kobietą – po Margeret Tchatcher i Teresie May – która objęła stanowisko premiera Wielkiej Brytanii. Truss jako premier, była tą ostatnią, która podała rękę królowej Elżbiecie II po desygnowaniu ją na stanowisko premiera do stworzenia rządu. Zastąpiła na tym stanowisku Borisa Johnsona. Swój urząd sprawowała 45 dni. Na zakończenie swoich krótkich rządów podała, po dymisji, tym razem po raz pierwszy, rękę królowi Karolowi III. Przy tej okazji prasa angielska okrzyknęła ją „Damą Lodową". Dziennikarze porównali ją do sałaty lodowej, z tym, że dawali większe szanse przeżycia „sałacie lodowej". Tak też się stało. Po niej premierem został Rishi Sunak, jest pierwszym premierem o korzeniach azjatyckich. Rodzice pochodzą z Pendżabu z Indii. Jego majątek przewyższa majątek króla Karola III i królowej Kamili.

Londyn w czasie świąt Bożego Narodzenia

Postaram się w trzech zdaniach napisać w jakim celu lecę do Slaugh w Anglii (a podróżuję samolotem tanich linii lotniczych Wizz Air). Lecę do mego syna Krzysztofa, który już przebywa tam od 2006 roku, zdążam, aby pilnować moich Wnuków: Lenę lat 15 i Benjamina lat 10. Ojciec do pracy, dziadek „babysitter" – opiekunem! Moja małżonka z kolei udaje się do Milton Keynes do syna Andrzeja, który już przebywa tam kilka lat z żoną Dorotą i synkiem Arturem Jerzym. Czekają przyjścia na świat drugiego dziecka. Płeć jest tajemnicą do czasu narodzin! Razem mamy spędzić Wigilię Bożego Narodzenia u Krzysztofa w Slough – raptem będzie nas dziewięcioro, w Polsce zostawiamy 11 osób: syna Szymona z Karina i szóstką dzieci w Żabiej Woli (Cyryl, Cecylia, Łucja, Tytus, Tekla, Rita) i córkę Natalię z mężem Mateuszem i 2,5 rocznym wnukiem Leosiem, który będzie się opiekował naszą Negrą – psem ras wielu, czyli przeuroczym kundlem. We wtorek – 13 grudnia przez kuriera – wysłaliśmy dwie paczki żywnościowe o wadze 10 i 20 kilogramów czyli razem 30! Paczki dotrą do Slaugh na czas. To „prowiant świąteczny" dla nas wszystkich, by w Anglii już tylko świętować Wigilię Bożego Narodzenia. Bez zakupów i krzątania się w kuchni. Wszystko przygotowała moja żona Anna w Lublinie, wypieki też! Konsumpcja na miejscu. Polak potrafi, jakby powiedział „klasyk". Dwa tygodnie czy to jest wystarczający czas, by zorientować się co „piszczy" w Anglii? Czy emeritus będzie na tyle spostrzegawczy, aby ogarnąć, co Anglicy mówią o wojnie na Ukrainie? czym żyją? jaką mają inflację, jakie rządy, jaką zimę i jakie nastroje? Pewnie nie, ale próbować trzeba.

Za naszą granicą wschodnią wojna Ukrainy z Rosją, która napadła na swego sąsiada. W Anglii pisze się o tym i mówi sporo. Już na lotnisku przyjazne Ukrainie plakaty i zrzutka pieniędzy do przezroczystych skarbon wypełnionych już po brzegi banknotami. Anglia także wspomaga w tej nierównej wojnie Ukrainę wysyłając broń i szkoląc ukraińskich żołnierzy. Po brexicie Anglia ma problemy z inflacją, gospodarką, wysokością podatków. Życie codzienne w Anglii stało się droższe, trudniej o lepszą pracę, zwłaszcza po ataku Putina na Ukrainę. Jest obecnie fala strajków na kolei i lotniskach. Luton tego jeszcze nie doświadczył.

Gdyby w Anglii przyszła taka zima, jaką mieliśmy niedawno w Polsce (wielkie opady śniegu, minus 15 stopni C) byłby to „Armagedon", a więc miejsce podobne do zapowiadanej w Apokalipsie św. Jana ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła, w której hordy szatana zetrą się z anielskimi hufcami pod wodzą Chrystusa w zażartej walce. Skąd to porównanie? – bo w Anglii cała infrastruktura, ledwo co jest przykryta ziemią, a wiele rur kanalizacyjnych biegnie po zewnętrznej stronie budynków. Te wszystkie instalacje mróz zniszczyłby w ciągu nocy i dlatego wspominam obrazowy biblijny Armagedon.

Dwutygodniowy harmonogram mojego pobytu w Anglii to tylko tło do moich relacji, reszta jest refleksją.

17 grudnia – sobota

U nas śnieży. Parking zasypany śniegiem. Samochodów nie widać spod białego puchu. Na dachu jest około 50 cm tej białej radości dla dzieci i ich szaleństw. Zakupy zrobione. Maciupki plecaczek spakowany. Co tu kryć: dokucza mi stres, zupełnie jakbym pierwszy raz leciał samolotem, a to już chyba trzydziesty piąty lot, a może było ich więcej? To nie tylko nerwy z powodu taniego lotu, ale także z powodu relacji, które mam popełnić. Redaktor Fronczek wymagający, purysta językowy – nie do końca spełniam jego oczekiwania – stawia wysokie wymagania, oczekuje nienagannej stylistyki, swady narracyjnej, potoczystej relacji. Ale pcham do przodu wózek reportera, jak przed chwilą pług rozgarniający śnieg na moim parkingu. Byle dało się przejechać, byle ulica była przejezdna. Tam śnieg, a tu biurko i komputer. Cel wytknięty, napisać sprawny tekst, zachwycić przede wszystkim Czytelników, Fronczka, a na końcu i siebie. Wszak nazwisko zobowiązuje. Jestem gotowy do odlotu. I do relacji wedle naszej niepisanej umowy, bo na gębę literacką!

Przed odlotem – rzecz niebywała, prawie skandal w kościele lubelskim! Dowiedziałem się z Internetu, że zdemontowany pomnik ks. Rektora Idziego Radziszewskiego wraca na swoje dawne miejsce, to jest na skwer im. abpa Józefa Życińskiego. Okazałem mój szacun dla Wielkiego Kanclerza KUL Jana Pawła II, że postawił na swoim. Czyżby Wielki Kanclerz nie wiedział o tym, co ks. Rektor postanowił? Wysłałem Mu smsa. Tak się rozemocjonowałem, że zaproponowałem, by dodać do tego miejsca jeszcze osobę Karola Jaroszyńskiego, wielkiego Dobrodzieja Uniwersytetu Lubelskiego (od 1928 roku KUL), bo był wielkim finansistą. Arcybiskup Budzik podziękował mi za esemesa i poinformował, że 16 kwietnia w niedzielę Miłosierdzia Bożego odwiedzi Slaugh, gdzie będzie sprawował eucharystię. Proboszczem tej parafii jest ks. dr Łukasz Nizio, wywodzący się z parafii pw. Miłosierdzia Bożego na lubelskim osiedlu Nałkowskich. Pomyślałem: jakiż świat nasz mały! To globalna wioska: działaj globalnie, pracuj lokalnie!

18 grudnia IV Niedziela Adwentu

Po trzech godzinach lotu wylądowaliśmy w Luton według planu tj. 12.05 angielskiego czasu (czas o godzinę cofnięty). Syn się spóźnił, bo zaniemógł. Niedyspozycja zdrowotna. Z Luton prosto do Milton Keynes. Lotnisko leży mniej więcej w połowie drogi między Milton

a Slaugh. Pierwsze moje spostrzeżenia po wylądowaniu: na polach angielskich leżał śnieg. Natomiast gdy jechaliśmy autostradą, padał deszcz. Szok: autostrada niby czteropasmowa, miejscami można pomykać 70 mil angielskich na godzinę, a tu pierwsze niedogodności. Po pierwsze wszystkie pasy ruchu zajęte, a po drugie – brak odwodnienia. Prawie wszyscy wiedzą, że Wielka Brytania jest wyspą, że klimat w ciągu roku to niezwykle intensywne opady deszczu, a mimo to brakuje rowów melioracyjnych i spadków na jezdni. Miejscami samochód rozpędzony wpada w kałużę, przez kilka sekund nic nie widać i wypadek gotowy! Jak to możliwe, gdzie była inżynieria drogowa przy projektowaniu autostrad i dróg szybkiego ruchu? Nie wiem, ale jest to bubel drogowy. Jeśli się mylę, to proszę mnie poprawić! Polacy, nie narzekajmy! Nie jest u nas najgorzej, a na pewno lepiej niż w Anglii. Kiedy już zbliżamy się do „miasta ogrodu" – Milton Keynes przypominam, że architekt tak zaprojektował tę miejscowość, by najwyższy dom nie był wyższy od najwyższego drzewa. Czy to nie wspaniałe? Zaraz muszę dodać, co wytykają złośliwi, że gdyby tak chciano zaprojektować Londyn, to w Wielkiej Brytanii zabrakłoby ziemi. Sic!

Do ruchu lewostronnego jako kierowca przyzwyczaić się nie mogę. Nie tylko ja jeden, ten ruch rzuca się w oczy nawet osobom, które nie są kierowcami. To pierwsza odmienność.

Gdy wchodzimy do domu, żona robi mi słuszną uwagę, bym umył ręce nim przywitam się z Wnukiem Arturkiem Jerzym. Co też szybko uczyniłem! Ku memu zdziwieniu znowu jakiś drugi dziwoląg angielski: umywalka ma dwa krany. Jeden od gorącej wody, że można się poparzyć, drugi od bardzo zimnej! Pytam, gdzie mieszacz, by zrobić letnią? Nie ma takowego? Znowu myśl techniczno hydrauliczna angielska pod psem. Niby to zrobiono z oszczędności? Inni mówią, że jak Napoleon nakazał połączyć te dwa krany, to Anglicy tym bardziej poszli w zaparte i tak już pozostało. Tylko Polacy mieszkający w Anglii przerabiają u siebie tę ciepłą wodę, ba wrzątek, na kran z mieszaczem! Tusk mówił o ciepłej wodzie w kranie, ale bez szerszego kontekstu.

Pomyślałem: wolę nasze wynalazki. To już mamy 2:0 dla naszych osiągnięć technicznych. Co tam Anglia! Wolę nasze, polskie zdobycze, są praktyczniejsze i nie podlegają dyskusji!

Po wypiciu herbaty zostawiam żonę Annę w Milton Keynes. Z synem udajemy się autostradą do Slaugh. Są korki, mimo iż niedziela. Syn mówi, że pewnie jakiś wypadek. Tak, sprawdziło się! Wreszcie dotarliśmy do celu. Domek z zewnątrz uroczy, z czerwonej cegły. Trzy poziomy: trzy łazienki, cztery pokoje i kuchnia. Obok domu ogródek, zawsze to kawałeczek własnego trawnika.

Jedna rzecz mnie zdumiewa w tym domku. Rozumiem, że pod wynajem, ale wykonanie jak na polskie standardy lichawe. To już 3:0 dla polskiej myśli, tym razem budowlanej. Wszedłem do wskazanego pokoju na 1 piętrze, gdzie miałem zamieszkać przez dwa tygodnie. I co zwróciło moją uwagę? Nie zgadniecie! Coś takiego nawet nie przyszłoby do głowy!

Wzrostu jestem niewielkiego, bo 180 centymetrów, a po wyciągnięciu ręki sięgam może do 220 centymetrów. Tymczasem nie dowierzam, moja wyciągnięta ręka dotyka swobodnie sufitu! Ufff – czy to dla liliputów? Nie, →

dla mieszkańców z Europy i świata. Bardzo niskie! Co to za normy? Żal ściska serce i umysł. Mamy już 4:0 dla mego kraju, dla Polski. Jestem z niej dumny, choćby tylko z powodu tych rzeczy, o których wspomniałem. Nie mam kompleksów. Polska ma swoje zalety. To wszystko uchwyciłem jako emeritus, po jednym dniu pobytu w Anglii, specjalnie, by poinformować Czytelników „Lublina", który staje się moim ulubionym pismem!

19 grudnia – poniedziałek, Slaugh

Wielka Brytania to kraj wyspiarski. Ale od roku 1994 Eurotunel łączy brytyjską miejscowość Folkestone z francuskim Calais. Długość tunelu to 50 kilometrów i 450 metrów. Wyspiarzy trzeba zrozumieć, należy pojąć specyfikę ich państwa. To nie tylko ustrój polityczny zadziwia: monarchia konstytucyjna. Król panuje, ale nie rządzi („Rex regenat, sed non Gubernat") Jest parlament dwuizbowy i premier. Może mi ktoś nie uwierzy, powie, że bajdurzę, bo tak to dosadnie wypomina mi (od czasu do czasu) redaktor Fronczek w mailach, i pewnie ma rację! Anglia nie posiada konstytucji spisanej, takiej jaką my szczycimy się w Polsce, a jednak znakomicie funkcjonuje. Wszystko jest zawarte w prawie stanowionym, w starych przepisach. I to zdaje egzamin. Wielka Brytania posiadała wiele kolonii. Stąd jej bogactwo. Mimo tej odmienności Polska też nie ma się czego wstydzić. Chociażby Rzeczpospolita Obojga Narodów: Polski i Litwy, ale także pomniejszych narodów zamieszkujących ten kawałek wschodniej Europy. Równi z równymi, wolni z wolnymi. Gdzie król mówił: „nie jestem panem waszych sumień". Zanim powstała Unia Europejska, wcześniej była Unia Lubelska 1569 roku. Potem u nas powstała druga na świecie konstytucja. To są nasze osiągnięcia! I z tych faktów jestem dumny! 5:0 dla nas. Mamy konstytucję i praworządność!

Jedyny mankament u nas, jaki zauważyłem – jest taki, mówiąc przenośnie, że nikt rozsądny nie buduje domu pośrodku drogi. Polska powstała w środku Europy, ot, taka sytuacja geopolityczna. Fakt niezaprzeczalny. Wszyscy wrogowie przechodzili przez nasz kraj, a to raz z północy na południe lub z zachodu na wschód i odwrotnie. To nie jest dobre położenie, zwłaszcza jak się miało agresywnych sąsiadów. Taka to była historia na przestrzeni dziejów! W tym miejscu za naszym znakomitym publicystą i znawcą Anglii – Melchiorem Wańkowiczem muszę dodać bardzo ważną rzecz, by – że tak powiem – chwycić byka za rogi. Inna mentalność i inne widzenie tego samego. Do rzeczy i na bardzo wielkie na skróty. W Anglii, jak była wojna, to wszystko musiało być. Dlaczego? – bo był stan zagrożenia, była wojna! Natomiast u nas z tego samego powodu, wszystkiego brakowało. Dlaczego? – A no właśnie dlatego, że wybuchła wojna!

To bardzo różni nasze kraje mentalnie. Jednego Polakom nie brakowało nigdy: odwagi i bohaterstwa. Chociażby sławny dywizjon lotniczy 303. Nie wiem, czy słowa wypowiedziane przez Winstona Churchilla: „Tak wielu, zawdzięcza bardzo wiele, tak niewielu" odnosiło się do polskich lotników, choć Arkady Fiedler przypisał je w swojej publikacji Polakom? Tego się trzymajmy, ta sugestia pozwoli lepiej zrozumieć te dwa różne społeczeństwa. To samo dotyczy ludzkiej inteligencji, tej nigdy nie brakowało naszym rodakom. Tu wspomnę chociażby złamanie szyfru Enigmy (po grecku – zagadki), niemieckiej maszyny szyfrującej. Kto ją rozpracował? – Polacy, polscy matematycy z Poznania, będący w służbie kryptologii: Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski. W 2012 roku senat Rzeczypospolitej Polskiej specjalną uchwałą uznał ich za bohaterów II wojny światowej. Profesor Orlicz – wychowawca owych

wspaniałych mistrzów – pochodził ze słynnej szkoły matematycznej lwowskiej. Tutaj w Anglii, w Bletchley Park, które jest obecnie częścią Milton Keynes, w czasie wojny pracowało 10 tysięcy osób, które wykorzystywały informacje otrzymane od polskich matematyków. Na zachodzie te informacje ukrywano w tajnych archiwach. To nie do wiary, że pierwsze informacje o sukcesie Polaków ujawniono na początku lat 70. A nasi alianci Brytyjczycy oficjalnie przyznali się do tego po wejściu Polski do NATO w 1999 roku. Obecnie jest tutaj muzeum kryptologii II wojny światowej, które pielęgnuje te bardzo interesujące rzeczy, o których w Polsce i Anglii mało kto słyszał. Kiedyś syn Krzysztof, podczas naszej przejażdżki akurat niedaleko tego budynku, wspomniał mi o tym, że istnieje takie muzeum. Dzięki rozszyfrowaniu niemieckiej Enigmy znacznie skrócony został czas trwania II wojny światowej! Kilka lat temu królowa Elżbieta i jej mąż książę Filip odsłonili pomnik, który uwiecznia trzech Polaków. Do niedawna Anglicy sobie przypisywali sukces Polaków! Teraz są przynajmniej materialne akcenty tych dokonań. Bilet na samo wejście na terenu muzeum kosztuje 20 £ (funtów). Ile za całość? – nie wiem, ale nie na kieszeń emeryta! Trzeba poświęcić około 4 – 5 godzin, aby ogarnąć wszystkie historie z deszyfryzacji przedstawione na muzealnej ekspozycji.

20 grudnia – wtorek

Emeritus tym razem podczas tego dwutygodniowego pobytu nie był mobilny. Opieka nad wnukami ważniejsza niż podróżowanie czy zwiedzanie. Cukier z rana dla cukrzyka 121 po jedzeniu to bardzo dobry wynik. Długo spałem. Sprzątanie z wnukiem Benkiem salonu. Przygotowanie do wigilii. Benek robił dekoracje. Krzątałem się po kuchni. W domu jak w domu, wiele pracy, co jednak nie przeszkodziło moim angielskim refleksjom. Salon posprzątany, gotowy na wigilię Bożego Narodzenia, w salonie w trzy rodziny – 9 osób.

21 grudnia – środa

Trzy paczki przyszły jako prezenty pod choinkę oraz opony wielosezonowe. Rozmyślania trwają, snuję swoje rozważania, niby nic nie robię, ale tekst w głowie powstaje. Pogoda słoneczna. Smażyłem pierogi, wyniosłem śmieci. Samopoczucie nie najlepsze – głowa mnie boli. Dużo spałem. Dostałem trzy smsy z Lublina z Polski z życzeniami: od dr Ireny Książek, Ryszarda Heliasza, Andrzeja Samborskiego oraz Janusza Szafrańskiego. Dwie paczki – prezenty pod choinkę – dotarły. Krzyś przyszedł wcześniej z żywym drzewkiem. Choinkę (50 funtów) wstawił do salonu i oprawił. Benek z Leną ją ozdobili.

22 grudnia – czwartek

Dostałem emeryturę na konto. Zdalnie oddałem długi robiąc przelewy przez telefon. Popłaciłem czynsz, który wzrósł do 1789 złotych, upc i za telefon. Prałem spodnie od dresów, t-shorta, skarpety oraz suszyłem w suszarce. Spałem długo – to z powodu cukrzycy! Życzenia z warsztatów kultury, etcetera. Pomyślałem, że w dzisiejszych czasach świat to globalna wioska.

23 grudnia – piątek

To mój szósty dzień pobytu w Anglii. Kiepsko się czuję. Dużo śpię. Poszczę, bo brzuch mnie boli. Życzenia od Urszuli Kozak, plastyczki z MBP i fantastyczny mail od Zbyszka W. Fronczka, prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Lublinie:

> Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy, Przyjaciele,
> Bóg się rodzi, Gwiazda Betlejemska świeci, trzej królowie sznurują trzewiki, Herod ostrzy nóż. Tym zdaniem rozpocząłem swe życzenia przesłane w roku 2012. Dziś mogę westchnąć, że świat się zmienił. Owszem, trzej królowie pozostają piękną legendą, Gwiazda jest dla poszukujących Boga, Bóg dla wszystkich. Ale metaforyczny Herod przybrał diaboliczne rysy żywego Putina. W okrutnych czasach wojny w naszych domach znalazło schronienie osiem milionów Ukraińców, przeważnie kobiet i dzieci. Pod polskim niebem po raz drugi narodziła się wielka idea ludzkiej Solidarności. To niezwykle budujące, wspaniałe, niewyobrażalne!
> Trwajmy w swej wierze, życzliwości, miłości, w zdrowiu. Wieczny jest Chrystus, iskierka dobra zwycięży moce zła, daremny trud ostrzenia noża, choć ból nim zadany pamiętać będą całe pokolenia.
> Pogody ducha, wiary, zdrowia – Fronczek, prezes

24 grudnia – Wigilia Bożego Narodzenia – „Bóg się rodzi moc truchleje"

To rodzinne święto, tradycja, ale może jednak coś więcej? Syn Andrzej, jego żona Dorota i ich maleństwo Artur Jerzy 2,5 roku przyjechali z Milton Keynes. Mój syn Staś przyleciał z Polski do Luton, specjalnie na święta. Wcześniej miał zajęcia na UMCS – prawo. Uczta była super. Tradycyjna. Krzysztof przeczytał Ewangelię Łk 2,1–14. Modlitwy za zmarłych wszystkich z rodziny. Śpiewanie kolędy: „Wśród nocnej ciszy", tradycyjna wieczerza wigilijna. Prezenty pod choinkę. Osobiście jestem zadowolony: szelki nowe do spodni, herbata angielska 240 sztuk, ale aromat prawie jak Junan, no i 8 par majtek. Przy stole siedzieliśmy dość długo.

→

25 grudnia Boże Narodzenia – niedziela

Długo spaliśmy. Krzyś przeszczęśliwy, że mógł gościć rodziców, brata Stanisława i Andrzeja z żoną Dorotą, i bratankiem Arturem. Po śniadaniu pojechali do Milton Keynes. Lena z Benkiem udali się do Matki. Ania z Krzysiem na świąteczny spacer. Cóż, byłem niedysponowany, powiem tak: w niemocach. Bardziej cierpiałem, że nie mogłem pójść na spacer po moim ulubionym Windsorze. Deszcz ich szybko przygnał do domu.

26 grudnia – poniedziałek

Jestem u syna, ale ciągle rozmyślam i snuję swoje refleksje na temat Anglii z punktu widzenia przeciętnego Polaka. Mam głębokie przekonanie, że umiejętność czytania świata to dar. Nie jestem Normanem Davisem, honorowym obywatelem miasta Lublina, znawcą Europy Środkowo-Wschodniej. Podjęcie próby, nawet kosztem ośmieszenia się przed innymi? Tak, to jest dar, to jest łaska, ale czy można tego się nauczyć? Czy zwykła komparatystyka wystarczy, by zrobić porównania? To trzeba czuć i wiedzieć. Trzeba mieć wiedzę i umieć połączyć różne fakty! Mam świadomość, że porównania nie zawsze mogą być pomocne w lepszym zrozumieniu podobieństw czy różnic w systemach politycznych.

27 grudnia – wtorek

W Anglii trwają strajki na kolei i lotniskach. Strajkują pogranicznicy. Rozumiem ludzi, którzy chcą sobie polepszyć swój byt i zarobki. Bogu dzięki, że na Luton jest spokój, te rzeczy dzieją się na innych lotniskach.

28 grudnia – środa

Anglia to dla mnie specyficzny zapach wilgoci. To dwa krany z gorącą i zimną wodą. Niskie sufity. Dla mnie to wszystko wiatrem podszyte. Ale czy na pewno? Chyba jednak tak. Dlatego postanowiłem to zasygnalizować i wypunktować! Tego dnia moja wnuczka Tekla ma urodziny. Dzwonię do Żabiej Woli i składam życzenia urodzinowe. Moja żona Anna, syn Staś i wnuczka Lena idą na zakupy. Zostaję w domu. Mnie nie ciągnie do sklepów, nie lubię chodzenia po nich, ani robienia zakupów.

29 grudnia – czwartek

Wielka Brytania wszystko ma odmienne od reszty Europy. Lewostronny ruch na ulicy, jednostki miary, wagi i objętości, zamiast hektarów akry. I są z tego dumni. Są niezależni i odmienni. Wyszli z Unii Europejskiej

30 grudnia – piątek

Mój syn Stanisław pojechał z Leną, najpierw autobusem, a potem metrem do Londynu. Zajęło to im sporo czasu, ale wrócili zadowoleni z tego co zobaczyli! W Londynie byli na zakupach w polskich delikatesach „Smaczku".

31 grudnia – sobota

Sobota rano o godzinie 5.55 odlatujemy z Luton do Lublina. Przyjeżdża po nas o godzinie 3.30 z Milton Keynes mój syn Andrzej. Krzysztof na noc poszedł do pracy. Kontrola bezpieczeństwa była dla mnie łaskawa, przeszedłem przez nią niczym podlaskie dziki przez często używaną drogę krajową. Udało się, sprawnie, szybko i bezboleśnie. W Lublinie lądujemy po 2 godzinach lotu. Z lotniska zabiera nas umówione wcześniej taxi.

Pierwsze wiadomości jakie do mnie dotarły to: odchodzi do Domu Ojca – Ojciec Święty Benedykt XVI przeżywszy 95 lat, papieżem był raptem 8 lat, a potem przeszedł na emeryturę.

Druga rzecz, która mi chodzi ciągle po głowie, to śmiertelna katastrofa lotnicza gen. Władysława Sikorskiego – 4 lipca 1943 roku koło Gibraltaru, której okoliczności do dziś nie zostały w pełni wyjaśnione. Dlaczego archiwa są nadal zamknięte? Co do ukrycia mają Anglicy? Czyżby czegoś się wstydzili?

Kończąc swoje refleksje, chcę nadmienić, że Polska ma swoją rację stanu, ani Zachód, ani Wschód nie pomogli, kiedy był ku temu czas. Dlatego trzecia droga jest niemal konieczna: być silnym krajem w Europie i Unii Europejskiej, nie poddając się dyktatowi urzędników brukselskich nie mających mandatu wyborców.

JERZY JACEK BOJARSKI

Lublin, ostatni dzień Starego Roku, 31 grudnia 2022

Henryk Radej

Świętowanie po hiszpańsku

Szczęśliwych Świąt! Feliz Navidad!

W świadomości Hiszpanów Boże Narodzenie nie pachnie choinką, ale milionami euro na koncie Wielkiej Loterii Świątecznej. Podczas kolacji wigilijnej nie ma dzielenia się opłatkiem, a na stołach królują regionalne szynki, owoce morza, pieczony indyk oraz jagnięcina i słodkie ciasta. Okres świąteczny trwa tu dwa tygodnie i w tym czasie Hiszpania świętuje kilka ważnych i… ważniejszych wydarzeń, nie zawsze religijnych. W te dni temperatura powietrza na Wyspach Kanaryjskich waha się zazwyczaj od +20 do +25 stopni Celsjusza. Ani Wigilia, ani dzień 25 grudnia nie są dla Hiszpanów najważniejszymi świętami religijnymi. Już następnego dnia – „zmęczeni" Wigilią i jednym wolnym dniem Bożego Narodzenia – biegną ochoczo do pracy, planując atrakcje zbliżającej się nocy sylwestrowej. Kościelne Święto Niewiniątek (obchodzone 28 grudnia na pamiątkę rzezi zarządzonej przez Heroda) zamienili na Prima Aprilis. Psikusy płata się wtedy nie tylko najbliższym, także media podają tego dnia różne nieprawdziwe wiadomości. Najważniejszym świętem dla Hiszpanów jest dzień 6 stycznia – święto Trzech Króli. Noc z 5 na 6 stycznia to najbardziej wyczekiwana noc w całym roku przez wszystkie hiszpańskie dzieci. Jednak prezentów nie przynosi im św. Mikołaj, ale „królewscy magowie", dzieci niegrzeczne znajdują w butach… węgiel – odpowiednik naszej rózgi. Najpopularniejszą kolędą (raczej pastorałką) tego okresu jest wesoła piosenka o rybkach, które radośnie pluskają się w rzece, ciesząc się z narodzin Jezuska.

* * *

Katolicyzm stał się oficjalną religią Hiszpanii w roku 589, a więc 377 lat wcześniej zanim nasz Mieszko I z poddanymi zdecydował się przyjąć chrzest. Najwyższa pora wspomnieć, że podbój i kolonizacja Wysp Kanaryjskich

Miejska stajenka betlejemska w Galdar (2017 r.).

Okazjonalny plakat świąteczny w Las Palmas (2019 r.).

zakończyły się w późnym średniowieczu i kosztowały Hiszpanię pięć lat nieustannej walki wobec silnego oporu, jaki stawiali tubylcy. Całkowite zdobycie Gran Canarii i sąsiednich wysp oraz włączenie ich do Królestwa Hiszpanii zakończyło się w roku 1483. Prawie tego czasu sięga historia pięknej i czynnej do dziś w Las Palmas katedry pod wezwaniem św. Anny, której budynek wznoszono w latach 1497–1570. Od tej pory katolicyzm jest tu jedyną religią panującą i wraz z kulturą hiszpańską odciska swoje piętno na życiu jej mieszkańców i przybyszów, ustanawiając swoisty porządek polityczny, społeczny i ekonomiczny. Przybywający tu z biegiem czasu protestanci i wolnomyśliciele byli prześladowani. Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero w XIX w., głównie pod wpływem Francji, która w czasie wojen napoleońskich próbowała narzucić Hiszpanii świecki model państwa.

Pojawienie się na początku XIX wieku ideologii politycznego liberalizmu, doprowadziło do serii konfliktów między Kościołem Rzymskokatolickim a państwem, zwłaszcza o ziemię i kontrolę kształcenia. Katolicyzm pozostał oficjalną religią państwa do Drugiej Republiki Hiszpańskiej (1931–1936). Po zakończeniu wojny domowej w Hiszpanii, generał Francisco Franco przywrócił katolicyzm jako religię państwową i zachował ten status do czasu nowej konstytucji z 1978 roku. Od tego czasu Hiszpania nie posiada oficjalnej jednej religii, ale Kościół Katolicki nadal otrzymuje wsparcie finansowe od państwa, m.in. na utrzymanie kościołów jako substancji zabytkowej.

Wolność wyznania zagwarantowana jest przez konstytucję hiszpańską. Według sondażu Eurobarometru z 2010 roku odpowiedzi mieszkańców Hiszpanii na pytania w sprawie wiary były następujące:

„wierzę w istnienie Boga" – 59%,
„wierzę w istnienie pewnego rodzaju ducha lub siły życiowej" – 20% ,
„nie wierzę w żaden rodzaj ducha, Boga lub siły życiowej" – 19%,
„nie wiem" – 2%.

Natomiast według szacunków Centrum Badań Socjologicznych w Madrycie przeprowadzonych w styczniu 2022 roku, większość (57,6%) społeczeństwa przyznaje się do katolicyzmu, ale mniej niż jedna piąta (18,9%) uczestniczy we mszach św. lub spowiada się. Drugą co do wielkości grupą są osoby niereligijne i niewierzące (38,1%), których liczba w ostatnich latach stale się zwiększa. Prawie 3% twierdzi, że należy do religii innej niż katolicka. Inne badania szacują większą liczbę mniejszości religijnych, w tym: muzułmanie (2 mln), protestanci (1,5 mln) i prawosławni (0,9 mln) [dane z Wikipedii].

* * *

Katolicyzm jest jeden, ale... w różnych odsłonach narodowych i regionalnych – tak twierdzi pewien znajomy ksiądz. W Hiszpanii, ani tym bardziej w Afryce, święta nie pachną choinką, bo takie tu nie rosną. Jeśli ktoś decyduje się takowe ustawić na tarasie domu, w kościele lub w galerii handlowej, to przeważnie są to choinki sztuczne z metką „made in China". Chińczycy zadbali – nie tylko w Polsce – abyśmy właśnie od nich mieli ozdoby choinkowe, stroje mikołajkowe, świeczki, lampki, obrusy malowane w tzw. gwiazdy betlejemskie czy kartki świąteczne. Nie dziwmy się, że często twarze gipsowych pasterzy w stajenkach świątecznych patrzą na nas trochę jakby z ukosa.

Do hiszpańskich świąt Bożego Narodzenia przygotowuje wiernych chrześcijan adwent poprzez roraty i szczególny wystrój prezbiterium przystrojonego na ten czas w wieńce i świece. W wielu kościołach już w połowie grudnia pojawia się tradycyjna stajenka betlejemska

Gordo-Loteria.

Adwentowa stajenka w Tunte jeszcze bez Jezusa (2021 r.).

Dzieciątko Jesus z kościoła w Vecindario.

zwana tu Belen. Co ciekawe, jest w niej Święta Rodzina, kometa, siano, zwierzęta, mędrcy ze wschodu, ale... żłóbek jest pusty. Oczekiwanie na narodzenie Jezusa wyrażone jest w wielkim napisie: Ven, Senior Jesus! (Przyjdź, Panie Jezu!). Figurka Dzieciątka zostaje uroczyście złożona dopiero w Wigilię tuż przed Pasterką, nazywaną tu Misa de Gallo, czyli „kogucia msza". Jedni twierdzą, że jej nazwa wynika z przekonania, jakoby to kogut przed świtem pierwszy obwieścił światu przyjście na świat Jezusa. Inni traktują tę noc bardzo towarzysko (i są to nie tylko mężczyźni), spędzając ją w barach i restauracjach otwartych do świtu, do piania koguta. Niestety, podczas Pasterki w kościołach nie ma tłumów. Do późnej nocy pracują salony fryzjerskie i kosmetyczne przed którymi ustawiają się kolejki cierpliwych klientek, inni odwiedzają jeszcze sklepy czynne do północy. Zebrani w kościołach otrzymują błogosławieństwo czynione figurką Jezusa, a podczas homilii mogą kołysać Dzieciątko Jezus, podawane sobie z rąk do rąk.

Przerwa świąteczna w szkołach zaczyna się 22 grudnia. Dzień wcześniej odbywają się świąteczne spotkania wszystkich uczniów, którzy prezentują sobie i rodzicom piosenki, stroje i okolicznościowe wystawy. Mimo świeckiego charakteru imprez, wszyscy są bardzo radośni i przekrzykują się życzeniami «Feliz Navidad!», także nauczyciele i kierownictwo szkół paradują w tym dniu w mikołajkowych czapkach obsypani brokatem. Wszędzie można spotkać miniatury choinek, celofanowe gwiazdy, a nawet papierowe szopki betlejemskie, które uczniowie zabierają do domów.

W tym samym dniu odbywa się też losowanie w Wielkiej Loterii Świątecznej. Media przez kilka dni podsycały atmosferę hazardu i zachęcały do udziału, prezentując łzawe spoty reklamowe. Hiszpanie angażują się w przebieg loterii bardzo emocjonalnie. Potrafią godzinami stać w ogromnych kolejkach do punktów sprzedaży kuponów, a potem przez kilka godzin śledzą transmisję telewizyjną z losowania numerów. Główna nagroda, czyli el gordo to zazwyczaj pokaźna kwota wielkości kilku milionów euro. A wszystko w imię „czynienia dobra i miłości bliźniego" z okazji „magicznych świąt". Szczęśliwców jest niewielu, a na ich fortuny zrzuciły się miliony grających. Co ciekawe, hiszpańska loteria świąteczna jest najdłużej organizowaną loterią na świecie. Pierwsze losowanie odbyło się w 1812 roku. Nie została ona przerwana nawet podczas hiszpańskiej wojny domowej w latach 1936–39 (w II wojnie światowej Hiszpania nie brała udziału).

* * *

Podobno na zabawę sylwestrową Hiszpanie zakładają czerwoną bieliznę, co ma zapewnić im szczęście w nadchodzącym roku. Dokładnie o północy jeszcze przed życzeniami zjadają „na szczęście" w rytm dwunastu uderzeń zegara… winogrona – po jednym za każdy miesiąc, a tradycyjne toasty noworoczne wznoszą hiszpańskim winem musującym, niekoniecznie szampanem. Po kilku dniach, 5 stycznia wieczorem zaczynają się szaleństwa kolejnej nocy, ponieważ we wszystkich miastach odbywają się Cabalgatas de los Reyes, czyli Parady Trzech Króli, które nie mają znaczącego charakteru religijnego. Trzeba przyznać, że Hiszpanie nie szczędzą pieniędzy na to wydarzenie, w którym biorą udział zwierzęta żywe i mechaniczne, barwne platformy wypełnione postaciami z bajek i mitów, fruwające na linach anioły, orkiestry dęte, czarodzieje, klauni i wróżki, tancerze na szczudłach, gromady krasnali i elfów, kostiumowy dwór królewski, a na końcu... Trzej Królowie, każdy w bajkowej karocy lub pozłacanej bryce zaprzęgniętej w konie. Na ten korowód sypie się deszcz konfetti, sztucznych ogni i słodyczy rozrzucanych w kierunku widzów. Wiele takich pochodów można

Kościół w Arucas przyozdobiony gwiazdami betlejemskimi (2021 r.)

← Bukiety z wilczomleczu nadobnego (tzw. gwiazd betlejemskich) Las Palmas, 2017 r.

teraz znaleźć utrwalonych na Youtube – zachęcam do obejrzenia, bo wszystkiego nie da się opisać.

Mimo postępującej laicyzacji, mieszkańcy Hiszpanii nadal przyznają się w większości do chrześcijaństwa różnie rozumianego i wyznawanego. Nikt nie zmienia nazw ulic i placów, które od lat noszą nazwy świętych Kościoła, ewangelistów, papieży i postaci z Biblii. Współcześnie wśród imion kobiet przeważają takie jak: Maria, Ana Maria, Cristina, Laura, Marta, Raquel (Rachela), Veronica, Maria Carmen. Wielu mężczyzn od chrztu nosi imię Jesus (Jezus, wymawiane: hesus) lub Moses (Mojżesz), Juan Pablo (Jan Paweł), Santiago, Samuel, Angel (Anioł), Daniel, David.

Pamiętam moje zdziwienie, gdy kilka lat temu na przyjęciu weselnym przedstawiono mi trzech Jezusów! Pomyślałem – nieźle się zaczyna, lepiej niż w Kanie Galilejskiej. Wprawdzie tam był tylko jeden, ale Cudotwórca. Na szczęście tym razem do końca zabawy niczego nie zabrakło gościom weselnym, zwłaszcza wina.

Obyśmy zdrowi byli! Do siego roku!

Henryk Radej

Henryk J. Kozak

List do…

Przyjedź
W tę Wigilię musisz być z nami
Nie wystarczy nam Twoje
Puste krzesło przy stole

Będą wnuki
Z Londynu Gdańska Florydy
A o północy
Pójdziemy wszyscy na pasterkę
Do naszego kościoła

Noc będzie cicha a niebo
Roziskrzone gwiazdami
Opowiesz im dlaczego
Śpiewamy kolędy
I dzielimy się opłatkiem
I dlaczego zawsze
Powinniśmy być razem
Nie tylko w Święta
A w kościele jak od wieków
Ile tchu w piersi zaśpiewamy
Bóg znów się nam narodził

Lublin, Wigilia 2022

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Życzenia Świąteczne*, drzeworyt barwny, kartka świąteczna, 1932, zbiory POLONA.

Jan Orłowski

Wiara i ufność

W radosny czas Bożego Narodzenia
Niechaj w pokoju odetchnie ziemia,
Wszem pokoleniom Chrystusa dzieci
Gwiazda z Betlejem niech jaśniej świeci.

W ten błogi czas, gdy Boży Syn przybywa,
Ludzkie braterstwo na ziemskich niwach
Pełnią radości niechaj rozkwita,
By Króla Wieków godnie powitać.

Jezu, nasz Zbawco, Twe Narodzenie
Niech nam przyniesie ducha odrodzenie,
Wiarę i ufność, że wszechmoc Boża
Złe moce świata dobrem przemoże.

Jezu, Synu Boży, nasz Panie,
Spraw, niech to się stanie!

2022

Na powitanie Syna Bożego

Kiedy Jezus Chrystus
Do ludzi przybywa,
Z ich serc więcej dobra
Na świat się wyrywa.

Tak było od wieków
I tak będzie zawsze –
Po Twym przyjściu, Jezu,
Świat będzie łaskawszy.

Chrystus Narodzony
Wiarą nas ożywi
I ludzie się staną
Lepsi i szczęśliwi.

2022

Mirosław Grudzień

Kolęda 2022

Luli luli synku noc się ogniem pali
Niech cię nie namierzy rakieta z oddali

Nie usłyszysz mały niebiańskiego chóru
Wybuchy na ziemi aniołom do wtóru

Nie płaczże malutki mama cię utuli
Nie pozwoli trafić śmiercionośnej kuli

Nie daj głosu z siebie pozostań uśpiony
By cię nie wypatrzył patrol uzbrojony

Króle tego świata nie skłonią się tobie
Przejadą ominą nie odnajdą w żłobie

Luli luli synku niebo ogniem płonie
A wszystko co drogie w ciemnościach nam tonie

Gdzie drżą sny sieroce w lęku ciemnym lesie
Niech twoja obecność ukojenie niesie

Rozprosz Dziecko mroki w sercach i na ziemi
Przynieś nam jasności przynieś nam nadziei

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Wigilia żołnierza*, drzeworyt, 1934, zbiory POLONA.

Sławomir Rudnicki

Pastorałka

W stajni we żłóbku Panicz leży
Gdy odrzucili go bogacze
Zwierzątka klęczą obrok świeży
Józef się krząta Maria płacze

Bóg się narodził dla zbawienia
Święta Rodzina ludzi zbliża
Świat przez przypadki się odmienia
W grzechu kalając miłość Krzyża

Tak się powtarza święta co rok
Kolęda idzie w stajni sześcian
Z nieba zstępuje do nas prorok
Wstaje nadzieja w sercach chrześcijan

Ten żyje chlebem ów szalejem
Zbawiciel rodzi się w Betlejem

Opłatek

Sam się ze sobą złamałem: opłatek
To biała magia lekko-ciężkie cudo
Woda i mąka – forma tu nie złudą –
To papier duszy stokrotka bławatek

To całoroczne w hostii rozgrzeszenie
Kożuch baranka kraj śniegu ciepłego
Lecz tej Wigilii źle me sprawy biegą
Cieplej niż w domu jest na Spitsbergenie

Sadź jest na moich rzęsach słona rosa
Ciekawe ile stopni w Inguszeti
Dziś przypominam świątecznego yeti
Lub o gorącym sercu Eskimosa

Mój cień skruszony opuścił „złoczyńcę”
Gałązki sekund łamię na choince

Stefan
Kruk

Gawęda o pięknie i mądrości baśni

Leżą przede mną dwie obszerne, pięknie wydane, antologie: „Baśnie" braci J. W Grimm oraz „Klechdy" K. W. Wójcickiego. Zanim pochylę się nad zawartością tych publikacji (zresztą nie nowych: „Baśnie" wydano w 2017 r., „Klechdy" w 2021 r.) zacznę od pochwały wydawnictwa „Dragon" z Bielska-Białej, które specjalizuje się w drukowaniu książek przeznaczonych dla młodego czytelnika, a czyni to starannie, z dbałością o szatę graficzną. Tak jest i w tym wypadku.

Naturalnie wymienione dwa zbiory baśni nie zamykają tematycznego horyzontu, gdyż w minionych latach wydano wiele podobnych publikacji. Dla przykładu podam tytuły niektórych z nich. I tak, Tomasz Jodełka-Burzecki w latach 50. XX w. ogłosił drukiem „Baśnie polskie" we własnym wyborze i opracowaniu (LSW); na początku umieścił dziesięć utworów z antologii K. W. Wójcickiego. Warto dodać, iż tom T. Jodełki-Burzeckiego zawiera baśnie największych pisarzy polskich, m.in. J. I. Kraszewskiego, A. Dygasińskiego, E. Orzeszkowej, B. Prusa, H. Sienkiewicza. W Poznaniu tamtejszy etnograf Stanisław Świrko zredagował antologię „Orle gniazdo", zawierającą „podania, legendy i baśnie wielkopolskie" z ilustracjami J. M. Szancera (Wyd. Poznańskie, 1971).

A teraz kilka pozycji z zakresu literatury powszechnej. Oto PIW w r. 1977 wydał „Legendy hawajskie" z pięknymi ilustracjami Gabriela Rechowicza (brata byłego rektora KUL?). Z kolei wydawnictwo „Votum" opublikowało baśnie północno-amerykańskie Washingtona Irvinga pt. „Rip Van Winkle i inne opowiadania" (1992), a dotyczą one holenderskiej kolonizacji doliny rzeki Hudson i demonstrują zderzenie wierzeń autochtonów z mentalnością europejską. Zasłużone poznańskie wydawnictwo „Zysk i S-ka" wydrukowało polski przekład „Mitów skandynawskich" R. L. Greena (2017). A skoro mowa o Skandynawach to trzeba jeszcze wymienić „Legendy Chrystusowe" Selmy Lagertof (1904).

W tym selektywnym przeglądzie nie może zabraknąć nazwiska H. Ch. Andersena. Z licznych wyborów jego tekstów wymienię dwa, może najważniejsze. Otóż PIW w 1969 r. wydał opasły, ponad tysiącstronicowy, tom

KLECHDY,
Starożytne podania i powieści
LUDU
POLSKIEGO I RUSI
ZEBRAŁ I SPISAŁ
KAZIMIÉRZ WŁADYSŁAW WÓYCICKI.
TOM I.
w Warszawie,
W DRUKARNI PIOTRA BARYCKIEGO,
PRZY ULICY PODWAL, NUMER 522.
1837.

Strona tytułowa, zbiory POLONA

„Baśni" duńskiego pisarza w przekładach S. Beylin oraz J. Iwaszkiewicza. Zaś „Nasza Księgarnia" opublikowała szczuplejszy wybór baśni Andersena, lecz z pięknymi ilustracjami J. M. Szancera.

Zapewne znudziłem Czytelników „Lublina" tą wyliczanką publikacji, lecz ich przypomnienie wydało mi się potrzebne. Wracam więc do właściwego tematu.

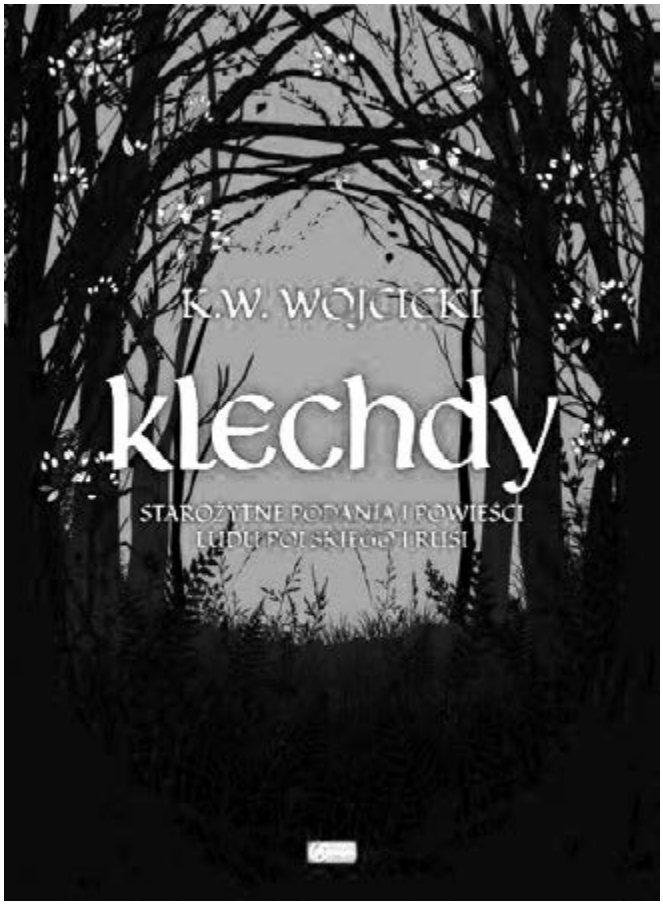
K.W. WOJCICKI
klechdy
STAROŻYTNE PODANIA I POWIEŚCI
LUDU POLSKIEGO I RUSI

BAŚNIE
BRACI GRIMM

legendy hawajskie

J.CH.ANDERSEŃ
BAŚNIE
Ilustrował
J.M.SZANCER

„Baśnie" braci J.W. Grimm

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, która to jest edycja tych utworów w polskich przekładach. Domniemuję jednak, że tak pięknego opracowania „Baśni" niemieckich w Polsce jeszcze nie było. Autorami szaty graficznej są: Carl Offtenlinger, Aleksander Zick oraz Paul Friedrich Meyerheim. Widzimy tu ozdobniki graficzne, a nade wszystko kolorowe ilustracje wykonane techniką akwarelową. (Okładkę zdobi kompozycja dotycząca baśni o Czerwonym Kapturku).

À propos – co z terminami: baśń i bajka? Nierzadko występują one zamiennie, dlatego dla dobra naszego wywodu trzeba stwierdzić, że takie użycie tych określeń nie jest uprawnione. Bajka jest gatunkiem odrębnym, zawierającym morał lub jakieś cenne spostrzeżenie dotyczące kondycji ludzkiej. Baśń również może zawierać przesłanie moralne, ale ono jej nie definiuje. Najkrócej rzecz ujmując bajka, choć często posługuje się postaciami zwierzęcymi, to jednak utrzymana jest w konwencji realistycznej. Natomiast baśń przeciwnie – kreuje świat fantazji, niejako paralelny do rzeczywistego. I wreszcie bajka, nawet ta narracyjna, jest zdecydowanie krótsza od baśni, która w istocie jest opowiadaniem. Obok postaci ludzkich

Hermann Biow (1804–1850), *Bracia Grimm (Wilhelm I i Jacob)*, 1847, dagerotyp, Wikipedia

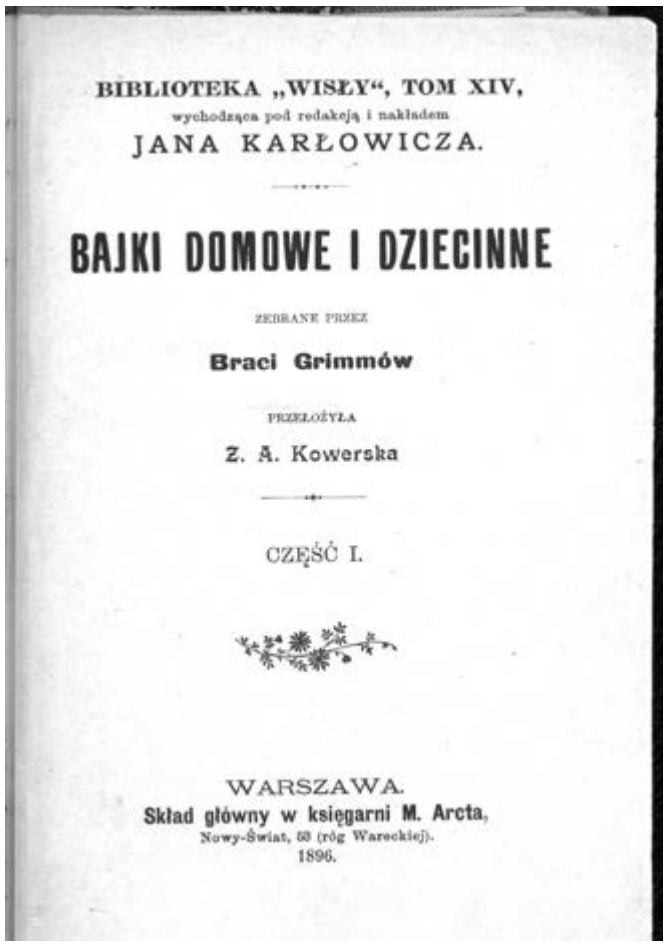

BIBLIOTEKA „WISŁY", TOM XIV,
wychodząca pod redakcją i nakładem
JANA KARŁOWICZA.

BAJKI DOMOWE I DZIECINNE

ZEBRANE PRZEZ
Braci Grimmów

PRZEŁOŻYŁA
Z. A. Kowerska

CZĘŚĆ I.

WARSZAWA.
Skład główny w księgarni M. Arcta,
Nowy-Świat, 63 (róg Wareckiej).
1896.

Strona tytułowa, zbiory POLONA

występują w niej istoty fantastyczne (dobre wróżki, czarownice, wilkołaki itp.), a także nadprzyrodzone, najczęściej z Piekła rodem. To tyle dla uściślenia terminologii, a zarazem przedmiotu rozważań.

Bracia Jakub i Wilhelm Grimm nie byli bliźniakami, ale ich harmonijna współpraca zadziwia efektywnością. Jakub, językoznawca, urodził się 4 I 1785 r., zmarł 20 IX 1863 r. Wilhelm, historyk i teoretyk literatury, urodził się 22 II 1786 r., zgon 16 XII 1859 r. Ich landem macierzystym była Hesja. Jak przystało wzorowym synom swej ziemi, ukończyli studia prawnicze w Marburgu, zamieszkali zaś w Kassel, mieście rodzinnym swej matki. Powoływano ich do posług państwowych, wykładali też na wyższych uczelniach, ale pasją braci stało się zbieranie podań ludowych. Tak więc łączyli pracę naukową (opracowanie gramatyki języka niemieckiego, zainicjowanie 32-tomowego słownika mowy rodzimej) z działalnością etnograficzną. Pozostawiam na boku zdumiewającą listę dokonań genialnych braci, skupię się na tym, co ważne jest dla naszego tematu. I tak, Jakub Grimm wydał „Mitologię niemiecką" (1835 r.). Ale znacznie wcześniej bracia opublikowali pod wspólnym autorstwem dwa tomy „Baśni dla dzieci i dla domu" (tom I: 1812 r., tom II: 1815 r.), które rozsławiły ich nazwisko szeroko poza Hesją.

Autorzy zebrany w terenie materiał poddawali literackiemu opracowaniu, eliminowali wyrażenia gwarowe, poprawiali tok zdania. Tak więc mamy tu do czynienia z baśnią literacką, gdyż w istocie takie przekazy towarzyszyły nam do momentu, w którym można było nagrywać na taśmę magnetofonową autentyczne relacje ustne baśni ludowej.

W wyniku rozległej kwerendy terenowej Jakub i Wilhelm Grimm zebrali obszerny materiał źródłowy, wśród którego znalazły się tak znane baśnie jak: „Jaś i Małgosia", „Kopciuszek", „Czerwony Kapturek", „Śpiąca królewna", „Królewna Śnieżka", „O rybaku i złotej rybce", „O czterech muzykantach z Bremy". Swoją wersję baśni o Kopciuszku i Czerwonym Kapturku wcześniej opublikował Charles Perrault („Opowiadania mamy Gąski", 1697 r.). A to skłoniło teoretyków baśni do sformułowania terminu „motyw wędrowny". Dla przykładu baśń o Rybaku i Złotej Rybce dotarła do Rosji, gdzie Aleksander Puszkin zabarwił ją kolorytem lokalnym.

Autorzy prezentowanej tu antologii braci Grimm Edward Białek i Magdalena Młynarczyk-Misiura poprzedzili teksty baśni przedmową, w której pisali: „Dzieje

Okładka, zbiory POLONA

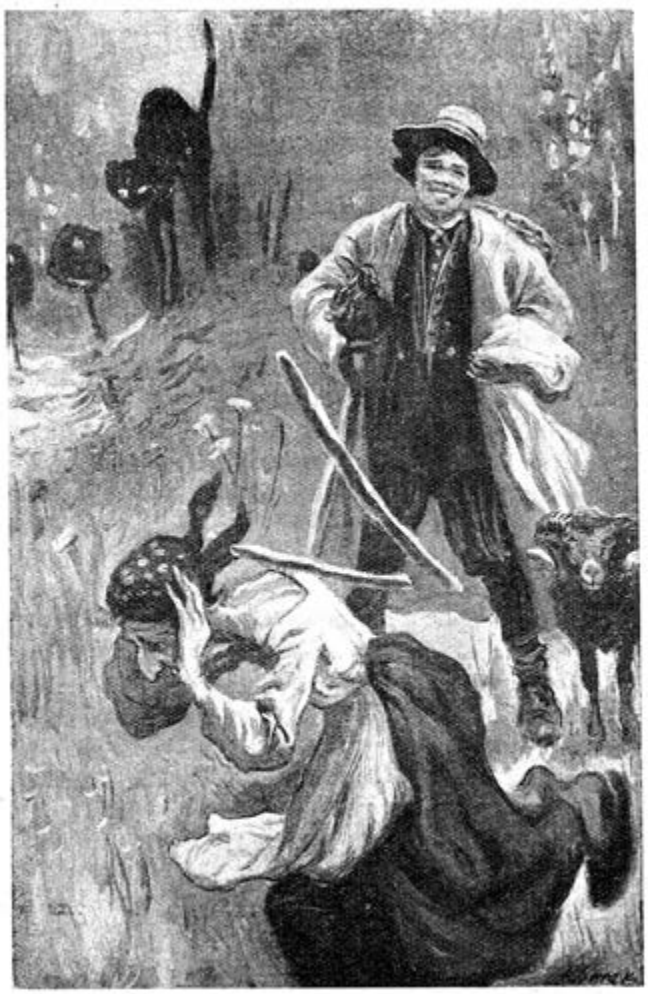
A pałki zaczynają bić bez litości czarownicę. (Zob. str 84).

baśni mają swój początek w epoce przekazu ustnego, gatunek ten należy więc do najstarszych świadectw literackich. Jego początki sięgają czasów, gdzie ludzkości obce były jeszcze dzieła pisane, opowiadania przekazywano z pokolenia na pokolenie"[1].

A co baśń głosi? – Zwycięstwo Dobra nad Złem, pochwałę odwagi i wytrwałości, postawy bezkompromisowej, ale dyktowanej uczciwymi intencjami. Droga, jaką musi przebyć pozytywny bohater, jest pełna zasadzek, lecz to go nie odstrasza, gdyż nigdy nie zapomina o tym, że broni ładu moralnego. Świat baśni jest więc czarno-biały, przedstawiciele przeciwstawnych racji charakteryzowani są w sposób uproszczony, ale właśnie ta technika najlepiej służy misji, jaką pośrednio baśń ma do spełnienia. Jednak zasadniczym jej celem jest zaciekawienie czytelnika niezwykłością scenerii, różnorodnością postaci, fascynującą akcją.

Jednocześnie te utwory mocno tkwią w realiach życia społecznego. Weźmy dla przykładu zabawną baśń „O czterech muzykantach z Bremy". Jak w bajce i tu mamy do czynienia z antropomorfizacją zwierząt: osła, psa, kota i koguta. Są zwierzętami, a zarazem obdarowano ich zdolnością myślenia oraz ludzką mową. To wszystko znamy z bajki. Ale tu rozgrywa się „sensacyjna" akcja, ściślej rzecz ujmując – walka o leśną chatę (częsty

1 Edward Białek i Magdalena Młynarczyk-Misiura. *Przedmowa* do: „Baśni" braci J. W. Grimm, Bielsko-Biała 2017, s. 15.

motyw świata baśniowego). Groteskowa walka zwierząt ze zbójcami rozgrywa się we wnętrzu mieszkalnym oraz w otoczeniu domu. Warto więc przyjrzeć się wyposażeniu tego pomieszczenia. Jest w nim stół suto zastawiony przez złoczyńców, jest jakieś oświetlenie, zapewne świecowe, gdyż akcja utworu toczy się nocną porą. W izbie stoi piec, który kot wybrał na swoje legowisko, zaś przed chatą leży „kupa nawozu", którą z kolei upodobał sobie osioł. Kogut wyfrunął na dach, by w razie niebezpieczeństwa ostrzec towarzyszy. Pies zgodnie ze swą naturą broni wejścia. Jak więc widzimy, tych realiów nie ma wiele, te zaś, które występują, są starannie dobrane i uprawdopodobniają całą opowieść.

A jak ta kwestia rysuje się w baśniach polskich?

„Klechdy" K. W. Wójcickiego

Po utracie przez Polskę niepodległości wyobraźnia narodowa skupiła się na przeszłości oraz na mieszkańcach wsi. W życiu ludu dostrzegano przejawy „starożytności", reliktów cywilizacji pogańskiej. Ludoznawcy rosyjscy ze zrozumiałych względów (myślenie w kategoriach imperialnych) tropili zwyczaje całej słowiańszczyzny. W tę dudkę grał również Polak Zorian Dołęga-Chodakowski rozprawką „O słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem" (1818 r.). Ale inni nasi etnografowie nie dali się zwieść, wykazywali swoistość kultury polskiej, niezależnej od cywilizacji rosyjskiej. Co więcej, badali nasze dzieje w łączności z kulturą ukraińską. Zasługą Chodakowskiego była metoda zbierania materiału etnograficznego wprost od mieszkańców wsi. Od tego toku kwerendy nie było już odwrotu. I tak: Wacław z Oleska zebrał i opublikował „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego" (1833 r.). Cztery lata później Kazimierz Władysław Wójcicki ogłosił swoje „Klechdy" (1837). Zaś w 1838 r. Żegota Pauli wydał „Pieśni ludu polskiego w Galicji", nawiązując do badań Wacława z Oleska. I już na koniec wymienię „Pieśni ludu spisane z podań" wydrukowane w 1842 r. przez Karola Balińskiego. Warto zauważyć, że głównym przedmiotem zainteresowań polskich etnografów były pieśni, a zatem utwory wierszowane krótkich rozmiarów. Zasługa Wójcickiego polegała na tym, że zainicjował zbieranie gawęd i podań opowiadanych przez mieszkańców wsi, a właśnie taki materiał znalazł literackie opracowanie w „Klechdach" warszawskiego literata.

Maksymilian Fajans (1827-1890), *Kazimierz Władysław Wójcicki*, 2 poł. XIX w., rycina, Wikipedia

Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879) z pochodzenia był Podlasiakiem, jego rodzice posiadali tam niewielką własność ziemską. Ale urodził się w Warszawie, gdzie sporadycznie przemieszkiwała rodzina Wójcickich. I tu po wielu perypetiach wynikłych z udziału w Powstaniu Listopadowym osiadł na stałe w 1845 r. Wcześniej utrzymywał się z nauczania prywatnego, teraz dostał pracę w bibliotece senatu. Ożenił się w czasie swojej tułaczki z Anną Magnuszewską, siostrą poety Dominika Magnuszewskiego, swego druha z powstania (ślub 10 XI 1832 r.).

Niewola narodowa zmobilizowała światłe umysły Polaków do systematycznego badania historii oraz kultury ojczystej. Taki program obrało Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Wójcicki włączył się w wir tych prac. Dla przykładu: ogłosił drukiem „Pamiętniki" Jana Kilińskiego. Równocześnie obserwował scenę polityczną solidaryzując się z poglądami Joachima Lelewela i Maurycego Mochnackiego, którzy podkreślali konieczność włączenia ludu do pracy na rzecz budowania i utrwalania polskiej świadomości narodowej. Pisał więc artykuły na ten temat, m.in. „O najpierwszej potrzebie naszych włościan". A wolne chwile poświęcał na wędrówki czy to na terenie Ziemi Krakowskiej (Pieskowa Skała), czy też na Mazowszu, wszędzie spisując interesujący go materiał etnograficzny. A plon owych kwerend był na tyle owocny, że w 1837 r. Wójcicki mógł już ogłosić drukiem najpopularniejsze swoje dzieło, jakim stały się „Klechdy". Czytelników nie zraził niefortunny tytuł, który na szczęście uzyskał szersze dookreślenie: „Starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi" (Ukrainy). A nade wszystko zaciekawiały fantastyczne przygody ludowych bohaterów,

zabobony, czary, duchy, potwory – wszystko to, co wyśmiewali klasycyści hołdujący „rozumowi". Warto dodać, że Wójcicki swoich kwerend nie ograniczał do chat włościańskich, rozszerzył je o dworki ziemiańskie penetrując także folklor szlachecki.

Ryszard Wojciechowski w studium „K. W. Wójcicki i jego «Klechdy»" zamieszczonym na początku tej antologii pisał: „Obecność «Klechd» w kulturze narodowej zaznaczyła się zbyt wyraźnie, aby wolno było nie dostrzegać, że są one pierwszym świadectwem XIX-wiecznych zainteresowań ludową prozą". Mając na uwadze współczesnego czytelnika przestrzegał: „nie jest to lektura dla najmłodszych" i dodawał: „Ale nie oskarżajmy K. W. Wójcickiego o demoralizowanie młodzieży, to nie on, ale folklor jest rozmiłowany w makabrze"[2].

Istotnie, tych motywów tu nie brakuje, wystarczy przypomnieć legendę o Walgierzu Wdałym i jego wiarołomnej żonie Helgundzie. Na szczęście przeważają utwory wolne od sadyzmu, owiane poezją niezwykłych przygód zwierzęcych i ludzkich bohaterów. Tu warto przyjrzeć się, jak sam autor postrzegał opowieści zebrane w „Klechdach". Dzielił je na trzy „części".

Do pierwszej zaliczył „opowieści o powietrzu, wichrze, wilkołaku itp." sugerując, że są one „starożytne" i sięgają czasów pogańskich.

W drugiej grupie występują „osoby wprawdzie historyczne, ale o których kroniki milczą lub małe dają objaśnienia" i wymienił owych bohaterów: Waligórę i Wyrwidęba, rozbójnika Madeja, czarodzieja Twardowskiego. Naturalnie zaliczenie do tej grupy Waligóry i Wyrwidęba było oczywistym nieporozumieniem.

Do trzeciej części zbioru Wójcicki zaliczył: „powieści o czarach i czarownicach, o zaklętych królewicach i królewnach, o cudownych zamkach itp.".

Owa cudowność w mniejszym lub większym stopniu daje się postrzegać w każdej z tych grup. Przy czym utwory z pierwszej i trzeciej najbardziej zasługują na miano baśni, natomiast opowieści z części drugiej kwalifikują się do miana legendy lub podania.

Na koniec zapytajmy o to, czy „Klechdy" pozwalają wysnuć wniosek o jakiejś swoistości polskich baśni?

Gdy idzie o podania i legendy ich związek z konkretnym miejscem oraz ludźmi jest stosunkowo łatwy do uchwycenia. Ale jak ta sprawa przedstawia się w strukturze baśni? W tym wypadku decydujący wpływ na wybór tematu ma osoba opowiadająca. Fakt ten sprawia, że „Klechdy" K. W. Wójcickiego prezentują w przeważającej liczbie baśnie rodzime, fascynujące i dziś jeszcze młodych i starszych czytelników. A jacy to bohaterowie?

Smok wypada nagle z jamy. (Zob. str. 103.)

Lud w długie jesienne i zimowe wieczory z przejęciem rozprawiał o duchach, figlach diabelskich oraz innych zjawiskach nadzwyczajnych. Owi przedstawiciele Piekła, nawiedzający jakże często ziemski padół, to: Boruta, Rokita oraz Kusy. Borutę wiązano z baśnią o zamku w Łęczycy nad Bzurą. Rokita zaś upodobał sobie bagna zalegające okolice Wielunia (południowa Wielkopolska) oraz niektóre połacie Podlasia. Boruta sprowadzał na manowce możnowładców, Rokita zaś „wodził na pokuszenie" mieszkańców wsi. Zbliżonymi kompetencjami legitymował się Kusy. A diablików uzupełniały wilkołaki, czarownice, zmory, strzygi, topielcy, rusałki.

Ten zaczarowany świat królewien zaklętych w żabę lub królewiczów zaklętych we wronę i dzisiaj zainteresuje nie tylko młodych czytelników, ale i takich, u których przypomnienie dawnych lektur z okresu dzieciństwa może wycisnąć łzę z oka. Było – minęło? Nie, słowo drukowane czyni cuda, wskrzesza odległą przeszłość, jest wiecznie żywe w naszej pamięci i w naszym sercu.

Stefan Kruk

2 Ryszard Wojciechowski, *K. W. Wójcicki i jego «Klechdy»* [w:] K. W. Wójcicki, *Klechdy*, Dragon, Bielsko-Biała 2021, s. 66-70.

Alina Aleksandrowicz

„Ozdobo ziemi, drzewo wspaniałe!” Z dziejów motywu drzewa

Prezentujemy nieco skróconą wersję artykułu prof. Aliny Aleksandrowicz opublikowanego w 2021 roku w Wydawnictwie Uniwersytetu Rzeszowskiego w książce pamiątkowej przygotowanej w dziesięciolecie śmierci Profesora Piotra Żbikowskiego. Pięknie wydany zbiór artykułów autorstwa naukowców z całej Polski nosi tytuł „Rzucając wyzwanie ludzkiemu przemijaniu” i zredagowany został przez profesorów Uniwersytetu Rzeszowskiego – Marka Nalepę, Jolantę Kowal, Romana Magrysia (Rzeszów 2021, s. 467).

Przypomnijmy, że Piotr Żbikowski, podobnie jak Alina Aleksandrowicz wchodzili w skład redakcji „Pod Wiatr” (1956), kultowego pisma polskiego października wychodzącego w Lublinie.

Ozdobo ziemi, drzewo wspaniałe!
Jakich wyrazów i z jakiej miary
Wdzięczna użyję na twą pochwałę,
Czy to ja sama czuję twe dary?[1]

U schyłku XVIII w. ugruntowało się przekonanie, znane już w Odrodzeniu, że drzewo (*arbor, lignum*) to najdoskonalszy twór świata roślinnego, dostarczający ludziom różnych, nie zawsze rozpoznanych do końca „pożytków” – materialnych, zdrowotnych, estetycznych, duchowych.

Zdawano sobie sprawę, że drzewa znane z *Biblii* pod figurą drzewa życia czy drzewa wiadomości dobrego i złego lub „cedrów Bożych, czczone w mitologiach świata i opiewane przez starożytnych poetów, wyróżniane w wierzeniach ludowych i przekazach folklorystycznych, niosą ze sobą treści niejednorodne i uruchamiają wielowartościową symbolikę. Nie wyczerpują swojego potencjału znaczeniowego jedynie w sferze „pożytkowości” czy „rodzajności”, wielce zresztą w Oświeceniu cenionych. Tajemnice natury postaciowane w figurze drzewa przyciągały na przełomie XVIII i XIX w. uwagę poetów, malarzy, ale także architektów i publicystów ze względu na walory memorialne oraz nacechowania kultowo-wierzeniowe. O ile znak kwiatu pomocny był w ekwiwalentyzacji mowy uczuć, szczególnie osobistych, najczęściej nieskomplikowanych, motyw drzewa wspierał bardziej totalne postawy wobec świata i ludzkiej egzystencji oraz relacje typu uniwersalnego: człowiek i natura, człowiek i historia, człowiek i wolność, człowiek i uczucie.

Drzewom, „świątyniom natury”, należy się więc ze strony człowieka szacunek, opieka i wdzięczność za liczne dobra i przyrodzone właściwości, którymi hojnie się dzielą. „O dobroczynne” — zachwycał się nimi poeta Oświecenia Franciszek Dionizy Kniaźnin (1749–1807) w odzie sławiącej wspaniały wykwit natury, „najcelniejsze dzieło wegetacji”.

Wybrane drzewa, „przyjaciele starzy”, jak wspominał Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, były szanowane i czczone w Europie, szczególnie w Polsce i na Litwie. Podjęta w Oświeceniu idea ochrony przyrody i opieki nad jej niezwykłymi okazami odwoływała się do tradycji utrwalonej w piśmiennictwie, przekazie ustnym, etosie religijnym oraz kulturowym. Uwyraźniło się aktywne oddziaływanie literatury starożytnej, szczególnie utworów Wergiliusza (70–19 p.n.e.), najwybitniejszego epika rzymskiego, autora *Georgik*, *Bukolik*, epopei — *Eneidy*. Popularna i szeroko tłumaczona okazała się twórczość Horacego (65–8 p.n.e.), poety rzymskiego, autora liryków i pieśni poświęconych pochwale natury i słodyczy wiejskiego życia. Znane i kultywowane dziedzictwo biblijne dało początek motywom edeńskim i wyobrażeniom drzewa sakralnego, także repartycji *arbor bona* i *arbor mala*. Interpretowane, omawiane i transfigurowane

1 Rkps BCzart. w Krakowie 1962 II: F. D. Kniaźnin, *Do drzewa*. Utwór ten cytujemy z rękopisu, ponieważ edytor — F. S. Dmochowski wprowadził do tekstu nieuzasadnione zmiany. Por. F. D. Kniaźnin, *Do drzewa* [w:] *Ody z pośmiertnych rękopisów wyjęte*, ks. 3 [w:] *Dzieła*, t. 7, wyd. F. S. Dmochowski, Warszawa 1829, s. 210–211. Por. także: rkps BCzart. w Krakowie 1962 II: F. D. Kniaźnin, *Do drzewa* [w:] *Ody, pieśni, wiersze od przyjaciół do ks. Czartoryskiej Generałowej.*

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Dąb*, rys. ołówek, biały gwasz, 1937

były fragmenty *Pisma Świętego* mówiące o drzewach częściowo w realnym, a częściowo przenośnym znaczeniu. Pierwsze, a zarazem najważniejsze wyobrażenie drzew dotyczyło Edenu:

> A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił. Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła.
>
> Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał…[2].

Uprawa ogrodu, pielęgnacja drzew opromienione zostały charyzmatem wyjątkowości i szlachetności, a praca rąk własnych zyskała znamię działań misyjnych.

Również wzrastająca popularność i sugestia nowszej poezji, szczególnie Johna Miltona, Aleksandra Pope'a, Salomona Gessnera, Jacquesa Delille'a, sprzyjały rozwojowi zainteresowań drzewami, ich wyglądem, egzystencją, znaczeniem. „Wszędzie zaczęto sadzić i pielęgnować drzewa, nie tylko w celach zdobniczych, lecz także z myślą nadania krajobrazowi treści duchowej, przemawiającej do widza językiem symboliki i alegorii".[3] Naśladowanie

2 Rodz. 2, 8, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. czwarte, Poznań 1996, s. 25.

3 J. Stempowski (Paweł Hostowiec), *Od Berdyczowa do Rzymu*, Instytut Literacki Biblioteka „Kultury", t. 210, Paryż 1971, s. 398. →

zewnętrznej li tylko strony natury było już niewystarczające, a kształtujący się kult drzew zmierzał w kierunku odczytywania ich utajonych i niewidzialnych znaczeń. Drzewo górowało nad kulturowym krajobrazem przełomu wieków jako najbardziej reprezentatywna, awansująca do rangi szczególnego metasymbolu, doniosła część nowo postrzeganej przyrody. Ale nie każde drzewo. W naturze, także w ogrodach utrzymanych w stylu angielskim, odrzucono wzorzec drzewa zniewolonego, okaleczonego nożycami, przystrzyżonego, często wymodelowanego w geometryczne figury, ustawionego nieruchomo w symetrycznym szpalerze. Tego rodzaju arboralne dziwadła ośmieszał czołowy poeta Oświecenia — Ignacy Krasicki (1735–1801), jeden z bojowników o prawa drzew, o zachowanie ich przyrodzonej osobowości:

> Grał na cytrze Apollo z jodły złotowłosy,
> Ceres z szyszek borowych piastowała kłosy,
> Błyszczał Neptun trójzębny od brzozowego lustru,
> Jowisz w zapale rzucał pioruny z ligustru,
> Mars z figi, rozjuszony zabójczym rzemiosłem,
> Bachus na tyce chmielu z sylenem i osłem,
> Wenus wdzięczna jałowcem z uśmiechu i gestu,
> Gracyje porzeczkowe, Kupido z agrestu[4].

Drzewo epoki Oświecenia nie wywodziło się z ogrodu utrzymanego w stylu klasycystycznym, tzw. ogrodu francuskiego. Nie był to już „drzew postrzyżonych ród niewolniczy", jak pisał słynny twórca *Les jardins* (1782) – Jacques Delille. Jego poemat *Ogrody*, przetłumaczony na język polski z inicjatywy Izabeli Czartoryskiej już w roku 1783 przez Franciszka Karpińskiego, przy współudziale młodziutkiej uczennicy Marii, późniejszej Wirtemberskiej, zyskał olbrzymi wpływ na rozwój zainteresowań arboralnych w Polsce. Swobodnie rosnące, dostojne, gałęziste drzewa, mające własną osobowość, wyposażone w niedostępną ludziom tajemnicę odradzania się na wiosnę, stawały się kontrapunktem znaczeniowym wybranych przestrzeni i ozdobą ogrodu nowego typu, zwanego malowniczym i krajobrazowym.

Wzbogaciły także zróżnicowaną motywikę literacką, zawsze obecną w literaturze polskiej. Wolne, nieprzymuszone drzewa znalazły się w centrum uwagi ogrodników, malarzy, poetów, publicystów. Księżna Izabela Czartoryska (1746–1835) przedstawiła w traktacie *Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów* różne aspekty pozytywnego wpływu drzew na środowisko, zachowanie rodzimego krajobrazu, rozwijanie poczucia piękna:

> Drzewa wielkie, stare, już na gruncie wyrosłe, rzeczki czyste, szumno płynące, pagórki, doliny są to skarby, które należy chwytać i szanować.[5]

I dalej:

> Nie jest przesadą w pochwale nazwać drzewa najwspanialszą ze wszystkich ozdób, którymi ziemia jest okryta [...] musimy dać pierwszeństwo drzewom, ich postaci, gałęzistości, powadze...[6].

Za atrybuty niezwykłego piękna drzew uznała Czartoryska „wiekowość", „gałęzistość", „rozległość", wreszcie niepowtarzalną osobowość:

> Nie widzimy nigdy dwóch wspaniałych dębów z jedną liczbą gałęzi, z równym wierzchołkiem, równie przeplecionych sękami. Nigdy nad strumykiem dwie brzozy nie zawieszają w tymże samym kształcie giętkich gałązek swoich".[7]

Drzewa bogate w odmiany, różniące się wyglądem, indywidualnością i biografią, uprzytamniały różne ideały wzniosłości, ponieważ „tak szczęśliwie zrządziła Natura, iż każde drzewo ma swoją piękność i swoje użycie"[8]. Wielce przez siebie cenione kwiaty czy inne rośliny uznała autorka za „drobniejszego rodzaju piękności, za potrzebne i pełne wdzięku uzupełnienie wizerunku drzew. Tylko drzewo, „najcelniejsze dzieło wegetacji", miało tak szeroki, dobroczynny wpływ na ludzi, waloryzowało jakość przestrzeni, wyznaczało pionową linię życia, linię witalności i duchowej ekspansji.

Kajetan Koźmian (1771–1856) w *Ziemiaństwie polskim* poświęcił trzecią pieśń poematu drzewom i przekazał współczesnym czytelnikom bezkompromisową ocenę wszelkich nieprzemyślanych aktów wandalizmu wobec przyrody. Ludzi niszczących drzewa i ich płody nazwał „barbarzyńcami niegodnymi imienia człowieka".[9] Sąd nad niszczycielami nie był tu jeszcze, jak w późniejszej twórczości Teofila Lenartowicza, powierzony drzewom, które przeistaczały się w drzewa płonące — mścicielki krzywd wyrządzonych niewinnym jestestwom. Koźmian, wprowadzając do literatury pojęcie „krzywdy drzew", skłonny

4 I. Krasicki, *Listy o ogrodach, List dziesiąty* [w:] *Dzieła wybrane*, t. 2, oprac. Z. Goliński, Warszawa 1989, 5. 218.

5 I. Czartoryska, *Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*, Wrocław 1805, s. XI.

6 Tamże, s. 1 [rozdz. *O drzewach*].

7 I. Czartoryska, *Myśli różne...*, s. 2.

8 Tamże, s. 8.

9 K. Koźmian, *Ziemiaństwo polskie. Rękopiśmienna wersja poematu w pięciu pieśniach*, tekst odnalazł, uwagami wstępnymi oraz komentarzem historycznoliterackim opatrzył P. Żbikowski, skolacjonowanie tekstu, objaśnienia rzeczowe, filologiczne i historyczne M. Nalepa, Kraków 2000, *Pieśń III*. Sumaryczną ocenę twórczości K. Koźmiana przedstawił Piotr Żbikowski. Por. P. Żbikowski, *Kajetan Koźmian. Poeta i obywatel (1797–1814)*, Wrocław 1972; tenże, *Kajetan Koźmian. Szkic do portretu*, Rzeszów 1991.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Smętek*, ilustracja do książki *Na tropach Smętka* Melchiora Wańkowicza, drzeworyt, 1936, zbiory POLONA

był szukać zadośćuczynienia za przewiny ludzi wobec natury w stosownych aktach prawnych:

> Gdybym śród prawodawców kiedy zasiadł grona,
> Za krzywdy drzew mściłbym się ustawą Drakona:
> Pod tarczą mojej pomsty stałyby bezpieczne
> Kruche płoty i gaje, i dęby odwieczne".[10]

Dobroczynny wpływ drzew na środowisko ludzkie rozważano w wieku Oświecenia z różnych aspektów. W „wieku świateł, w epoce kultu rozumu wiedziano, że drzewa wydzielają tlen do atmosfery, oczyszczają powietrze z pyłów i bakterii, że podtrzymują obieg wody na ziemi, a zatem mają udział w zapobieganiu powodziom. Delektowano się płodami „drzew rodzajnych", smakiem owoców, cieniem umilającym spoczynek w czasie upałów, wonią kwiatów czy sosnowego igliwia. Renesansowy obraz lipy czarnoleskiej, odnawiany i przypominany w literaturze Oświecenia, urósł do rangi znaku harmonii, spokoju, wytchnienia, a także swojskości i rodzimości. Ale niósł też ostrzeżenie przed pochopną i bezpowrotną wycinką drzew, niepowetowanym ubytkiem kulturowym i krajobrazowym. W 1770 r. lipa czarnoleska pochopnie „zrąbana na drewka" przestała istnieć w naturze, choć egzystowała w dalszym ciągu we wspomnieniach pisarzy i malarzy. Ignacy Krasicki uskarżał się:

> Darmo szukałem w odmianie wieczystej
> Owej rozkosznej lipy rozłożystej,
> Pod której niegdyś ulubionym cieniem wdzięcznym
> Mąż wielki rozrzewniał się pieniem".[11]

Wspomnienie sławnej lipy czarnoleskiej, o którą bezskutecznie dopytywali poeci i malarze, zarazem zubożenie obrazu rodzimego Tuskulum, miejsca wiejskiego schronienia i inspiracji twórczej, skutkowało także nakazem ochrony przyrody, szczególnie drzew i ich praw. W Polsce żywa była zawsze tradycja ziemiańskiej Arkadii, w której drzewa stanowiły istotny element wytyczonej przestrzeni bytowania i doniosły składnik topografii dworów i dworków.

„Niechże drzewa sadzą" — nawoływał Ignacy Krasicki, biskup warmiński, wybitny poeta polskiego Oświecenia, autor zapomnianych już dzisiaj *Listów o ogrodach*[12] (1801), twórca wspaniałych, krajobrazowych przestrzeni w Heilsbergu i Smolanach. „Znam wiele takich — pisał Krasicki — którzy przede mną samym skarżyli się na to, iż chcieliby uczynić co dobrego dla kraju, ale nie widzą do tego żadnej sposobności. Niechże drzewa sadzą".[13]

Nakaz „sadzenia drzew" zawierał w sobie postulat ochrony rodzimego krajobrazu, ale także zalecenie, aby „pożytkami krajowymi" zapełniać ziemię, a ponadto gwarantować i dla siebie zysk osobisty — radość z tworzenia. Kreacja to innego wprawdzie rodzaju niż uprawianie literatury, ale nie mniej doniosła:

> Jest jakaś wspaniała — że tak rzeknę — satysfakcja w sadzeniu drzewa. Człowiek tym sposobem przyrodzenie kształci i zdaje się stwarzać, gdy zaś widzi z czasem wznoszącą się rąk swoich pracę, ilekroć na nią spojrzy, tyle razy czuje wewnątrz słodką rozkosz dobrze użytego czasu".[14]

Upodobania dendrologiczne u schyłku XVIII i początku XIX w. uwyraźniły się w zwyczaju bezpośredniego uczestnictwa arystokracji, dygnitarzy kościelnych, twórców w pracach nad pielęgnacją drzew i osobistym nadzorowaniu „małego rolnictwa". J. Kalnassy w wierszu *Na ogrody zamku heilsberskiego* interpretował agrarną aktywność Krasickiego jako przemyślaną postawę ogrodnika-filozofa, który z podpatrywania praw przyrody czerpał także wiedzę o życiu. Myślący ogrodnik nie był więc nadzorcą, czy biernym widzem; stawał się czynnym uczestnikiem wydarzeń w przyrodzie:

> Po krętych drogach tu w miłym chłodzie
> I twórca wasz się przechadza,
> Wcześniej o przyszłej myśląc wygodzie,
> Sam uschłe drzewka podsadza.
> Szkodliwe nożem wilki obcina,
> Ze mchu oczyszcza gałązki.
> Zmrożone łamie, niepłodne zrzyna,
> Zbytnie przerzedza zawiązki.[15]

Rozwijało się przekonanie, że człowiek nie tylko kształtuje przyrodę, ale jest także przez nią kształtowany, że bliskość natury wzmacnia ludzkie siły psychiczne, regeneruje lub przeobraża wewnętrznie, że bezpośredni udział w pielęgnacji drzew może prowadzić do inicjacji w tajemnice przyrodzenia.

Troska o polski drzewostan, walka z nierozumnym niszczeniem przyrody – dobrem wszystkich ludzi, kultywowanie swojskiego krajobrazu jako wyznacznika narodowości i rodzinności przewodziły niejednokrotnie wypowiedziom Izabeli Czartoryskiej. Księżna dobierała argumenty stosowne do poziomu adresatów, aby

10 Tamże, s. 106.

11 I. Krasicki, *Podróż z Warszawy. Do księcia Stanisława Poniatowskiego* [w:] *Dzieła*, Lipsk 1834, t. 1, s. 215.

12 I. Krasicki, *Listy o ogrodach...*, s. 218.

13 Tenże, „Monitor" 1772, nr 78 [artykuł o drzewach].

14 Tamże.

15 J. Kalnassy, *Na ogrody zamku heilberskiego* [w:] *Poezja polskiego Oświecenia. Antologia*, oprac. J. Kott, Warszawa 1956, 5. 204–205.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Łoś*, drzeworyt, 1936, zbiory POLONA

tym zasadniej przekonać ich do przedstawianych racji. W *Pielgrzymie w Dobromilu*, podręczniku skierowanym do wiejskiego odbiorcy, drzewa, zwane „darem Opatrzności" i „ozdobą miejscową zyskały wysoką ocenę nie tylko z powodu ich wyjątkowej urody, ale i ze względu na walory użytkowe. W tekst wmontowała więc księżna rady dotyczące sadzenia drzew i słowa zachęty do opieki nad wiekowymi dębami, klonami, lipami:

> Moi Przyjaciele, dodał jeszcze Pielgrzym, radzę wam, proszę was, sadźcie wiele drzew, szanujcie te, co macie, miejcie o nich czułe staranie, wpajajcie zawczasu w dzieci wasze toż samo przywiązanie do drzew, które są i potrzebne, i miłe, i pożyteczne, i ozdobne.
>
> Jak wy błogosławicie tych, co te stare dęby, klony i lipy sadzili, pod którymi ulgę i spoczynek po pracy znajdujecie, tak i was błogosławić będą pokolenia przyszłe, które tejże samej doznają słodyczy.[16]

16 I. Czartoryska, *Pielgrzym w Dobromilu, czyli nauki wiejskie z dodatkiem powieści i 40 obrazkami*, Warszawa 1819, s. 58–59. →

Pielgrzym Chwalibóg umiejętnie wchodził w rolę odautorskiego porte-parole, aby przekonywać nie tylko dzieci, ale i społeczności lokalne do idei zadrzewiania dróg, wiosek, miasteczek, przekształcania kraju tam, gdzie to było możliwe, w wielki ogród. Uświadamiał więc czytelnikom wielorakie możliwości dobroczynnych drzew. Przechodzień znajduje w lecie pod drzewami chłód i schronienie, w zimie drzewa osłaniają drogi przed śnieżnymi zaspami, strzegą ludzi przed zabłądzeniem. Są ozdobą krajobrazu, ale dostarczają również konkretnych korzyści. „Jedne są potrzebne na budowle, drugie dla owoców, a są i takie, co lekarstwem dla chorych stają się, Należy więc chronić i pielęgnować, poucza Chwalibóg, drzewa już rosnące i sadzić następne: „jakby to dobrze było, żeby drogi, ścieżki od wsi do wsi, od folwarku do kościoła, od wsi do miasteczka drzewami były obsadzone”[17].

W nakazie pielęgnowania drzew pamiętano, że niektóre dostojne, wręcz monumentalne twory pełnią funkcję pomników dendromorficznych, otaczanych szczególną czcią, wręcz kultem. Pomnik dendromorficzny prezentował się często jako okaz miejscowej flory – imponował wiekiem, rozmiarami, okazałością. Wiązano z nim wydarzenia historyczne, podania miejscowe, dokumentowano długą genealogię rodu. Takie drzewa chroniono w szczególny sposób. Nie wycinano pod pretekstem otwierania okien widokowych na krajobraz czy zagrożenia dla bezpieczeństwa. Wierzono w opiekuńczą moc drzewnych seniorów, w ich dobroczynny wpływ na zdrowotność ludzkości, w rolę strażników tradycji. Aleksander von Humboldt (1769–1859) w *Kosmosie* nazwał wiekowe drzewa mianem „pomników przyrody” zasługujących na pieczę i szacunek i nawoływał do ich ochrony”.[18] Wierzono ponadto, że stare, tajemnicze okazy mogą pełnić funkcje drzew-demiurgów, stać na straży rodu, plemienia, narodu, gwarantować pomyślność.

Ludwik Dębicki odnotował: „Kult starych drzew wrodzony jest Polakom. W przeszłości prawie żadne wielkie wydarzenie nie odbywało się bez legendarnego drzewa. Uczony przypominał także, że wiekowe drzewa, mające moc udostojniania i uświęcania otoczenia, stają się gwarantem autentyczności i długotrwałości rodzimej tradycji: „Pomieszczenia możnowładców poznaje się po długich szeregach starych drzew”.[19]

Drzewa rosnące swobodnie, gałęziste, o „nieprzymuszonych” kształtach stanowią podstawę polskiego krajobrazu. Rodzime widnokręgi to krajobrazy z drzewem, najczęściej liściastym – dębem, lipą, jaworem, brzozą, topolą, wierzbą itd. Zarówno Czartoryska, jak i poeci kręgu puławskiego mieli duży wpływ na wykreowanie idei rodzimego krajobrazu, będącego synonimem swojskości, jako krajobrazu z drzewem. Z drzewem pojedynczym, okazałym samotnikiem (soliter), grupą drzew (skupiną), niekiedy szeregiem drzew. Wizerunek starego okazu drzewnego z ustawioną pod nim ławką, a zatem drzewa dobroczynnego zapewniającego odpoczynek, zapraszającego do wytchnienia lub samotnych rozmyślań, wejdzie do topiki literackiej i malarskiej polskiego ogrodu jako wyznacznik rodzimości, stymulowanej przypuszczalnie także reminiscencją lipy czarnoleskiej.

Można przypomnieć, stwierdzając jednocześnie, że jest to piękna tradycja, iż w przestrzennej kreacji Puław – rezydencji książąt Czartoryskich, drzewa stanowiły dystynktywny rys posiadłości, wyznacznik jej rodowej powagi. August Kretowicz w opisie Puław, ujętym w ramy czterech rozbudowanych listów do przyjaciela, informował o pierwszym wrażeniu widokowym: „ujrzeliśmy poważne wzgórza Puław, odwiecznymi ozdobione drzewami”[20], Według *Przewodnika dla podróżujących* (1821) autorstwa Józefa Krasińskiego ogród puławski „może iść w porównanie z najpiękniejszymi Europy ogrodami” ze względu na fakt, że „znajdują się w nim drzewa olbrzymiej wielkości”[21]. Puławski respekt wobec drzew, dochodzący do głosu w sztuce ogrodniczej, poezji, malarstwie, sferze wierzeniowej przybrał cechy programu rozwijanego na skalę niespotykaną w innych miastach i rezydencjach.

Nosił cechy założenia wzorcowego promieniującego na całą Polskę, ustanawiającego, szkoda, że zapomniane, modele postępowania wobec natury. „Szczęśliwy ten, kto zastanie na gruncie drzewa stare” konstatowała księżna z wdzięcznością wobec antenatów”[22], Według opinii Ludwika Dębickiego, być może nieco przesadzonej, stare drzewa osiągnęły na dworach Czartoryskich tę samą cenę, co arcydzieła mistrzów malarskich lub „zabytki historycznego znaczenia”[23].

Szczególnym szacunkiem i uwagą otaczane były przez naszych przodków drzewa samotne, wznoszące się zarówno na polach wieśniaczych, jak i w parkach arystokracji. Wertykalizm olbrzymich drzew mógł przywoływać wyobrażenie Boskości, przybliżać pojęcie Transcendencji. Z takimi samotnymi, okazałymi drzewami wiązano oczekiwanie opieki, ochrony, dobrodziejstwa. Otaczane więc

17 Tamże, s. 56.

18 J. Kolbuszewski, *Ochrona przyrody a kultura*, wyd. drugie, Wrocław 1992, s. 33–34.

19 L. Dębicki, *Powązki i Puławy*, „Przewodnik Naukowy i Literacki”, Lwów 1886, s. 10.

20 A. Kretowicz, *Puławy*, (List pierwszy. Do Adolfa), Lwów 1831, s. 15.

21 J. Krasiński, *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej*, Warszawa 1821, s. 75.

22 I. Czartoryska, *Myśli różne...*, s. 3.

23 L. Dębicki, *Powązki i Puławy...*, s. 11.

były szczególną pieczołowitością nawet wówczas, kiedy wymagało to znacznej troski lub nakładów finansowych.

Obok przyzwolenia na gęstwinę — wspólnotę drzew, lub ogrodowe klomby skomponowane z drzew tworzących rodzaj małego gaju, rozwijano przeświadczenie, że wyjątkowe kolosy, przede wszystkim dęby, wymagają szerokiej i otwartej przestrzeni. To bohaterowie wybrani, wznoszący się ponad przeciętność profanów, przedkładający samotność — „mędrców mistrzynię". „Bywają czasami takie drzewa — pouczała Czartoryska — że warte są, żeby stosować ułożenie całego gruntu wokół nich leżącego jedynie dla nich. Mówi się to o tych wspaniałych trzystoletnich, albo i starszych drzewach, które każdego zadziwiają"[24]. Chociaż autorka nie posiłkowała się tradycyjnym podziałem na *arbor bona* i *arbor mala*, dostrzegała piękno i siłę wybranych gatunków:

> Wśród nich pierwszy w dostojności między drzewami dąb, moc i władzę ma sobie oddaną nad gruntem, na którym stoi, gdy wpuszcza ogromne swe korzenie w głąb przepaści ziemskich.
> Dlatego żadne drzewo nie opiera się tak silnie wichrom, żadne takiego odporu nie daje burzom.
> Moc jego i piękność, spólnym płynąc korytem, wzajemnie się wspomagają. Gdy wieki upłyną, dąb niewzruszony stojąc, już wtedy nie dzieli się na konary, ale zdaje się, że pień jego inne dźwiga drzewa...[25].

W traktacie Czartoryskiej opis dębu przybiera charakter odrębnej literacko doskonałej apologii wyjątkowego drzewa, „weterana puszczy głębokiej", wskazywanego aluzyjnie jako prawzór drzewa świata (*arbor mundi*), wgłębiającego korzenie we wnętrze ziemi i wznoszącego „siwy wierzchołek ku niebiosom". „Dąb szczególny, wyniosły, stary, jest zawsze najpiękniejszym. Tak pięknego dzieła Natury ręka ludzka nie ma prawa poprawiać"[26].

W pierwszej połowie XIX w. *imaginarium* poetyckie przekazuje nowe przymioty niezwykłych drzew. Dąb, według Jana Pawła Woronicza, może znamionować emanację mocy wieszczej, znanej z przykładu mitycznej dąbrowy w mieście Dodonie, gdzie lud Epiru wysłuchiwał wyroczni – Sybilli libijskiej, zwanej Sybillą dębów.

Niezwykłe okazy monarchów drzew, „szelestem powiewnym odzowne" — zdolne były wypełniać zadania prorocze, przekazywać narodowi prawdy o jego przyszłych losach. Dzieje narodu figurowano znakiem drzew „nienałożonych niewoli i przemocy żadnej" — wiekowej topoli i wiązu — „niespożytego szturmami" oraz

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Pejzaż z sosnami*, drzeworyt, 1935, zbiory POLONA

„strażniczki mogił" – płaczącej brzozy. Dębom przypisywano moce profetyczne:

> A te dęby, szelestem powiewnym odzowne,
> Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,
> Zastąpią starożytną Dodony dąbrowę,
> Gdzie cię czciły, Sybillo, wnuki Chaonowe"[27].

Sybilla libijska uświęcona w Dodonie, najstarsza prorokini grecka, stała się zarazem upostaciowaniem wyobrażeń o wolnej naturze. Dąbrowa Dodony, obszar hierofanii, była przykładem przedromantycznej interpretacji natury jako jestestwa, przez które przemawia Bóg i które, nasycone Boską energią, staje się samo demiurgiem[28].

24 I. Czartoryska, *Myśli różne...*, s. 4.

25 Tamże, 5.

26 Tamże.

27 J. P. Woronicz, *Świątynia Sybilli, Pieśń I* [w:] *Pisma wybrane*, wstęp, wybór, komentarz M. Nesteruk i Z. Rejman, Warszawa 1993, s. 147.

28 Więcej na ten temat: A. Aleksandrowicz, *Polskie drzewa wolności w „Świątyni Sybilli" J. P. Woronicza*, „Prace Historycznoliterackie" 17, *Oświecenie: kultura – myśl*, red. J. Platt, Gdańsk 1995, s. 103–119. →

Figury dębów, wyobrażane przez Woronicza jako uosobienie teofanii i możliwość inicjacji w tajemnice proroctwa, pojawiały się również w licznych odniesieniach pozaliterackich, w kontekstach obyczaju lub rytuału. Zwyczaj sadzenia drzewa z okazji narodzin dziecka („Sadził je własną ręką dla swojego syna, Nestor nasz, późne plemię rodu Giedymina"[29]), posłużył Woroniczowi nie tylko do pochwały heraldycznego rodu Czartoryskich, ale i ukazania licznych przymiotów wybranej roślinności. Topos drzew, który zyskał szczególną popularność w poezji porozbiorowej, służył najczęściej takiej metaforze, która uzmysławiała historyczne i egzystencjalne problemy narodu pozbawionego ram państwowości. Nie można pominąć tu faktu, co szeroko udokumentował Marek Nalepa, że „Symbolika drzewa po trzecim rozbiorze odsyła przede wszystkim do pola semantycznego śmierci, w którego obrębie na stałe funkcjonuje spetryfikowana figura grobu"[30].

Nasycenie drzew symboliką, uwypuklanie ich ezoterycznych właściwości, miało uzasadniać i obrazować arboralne współuczestnictwo w świecie ludzkich odczuć i wartości, a zarazem implikować estymę, jaką winny być otaczane. Na przełomie XVIII i XIX w. głoszono apologię drzew nie tylko ze względów krajobrazowych, estetycznych czy utylitarnych. Drzewa długowieczne, szczególnie zimozielone, mogły postaciować ideogram *arbor vitae*, odnawiać wzór „drzewa nad drzewami", sakralnego pra-drzewa, „zawżdy kwitnącego i zawżdy zielonego, spopularyzowanego w literaturze polskiej *Biblią* oraz przekładem *Psalmów* dokonanym przez Jana Kochanowskiego. Zainteresowanie biblijnymi drzewami Edenu, jak i upowszechnionymi w *Psalmach* motywami cedrów zarysowało się w twórczości Elżbiety Drużbackiej, Adama Naruszewicza, Franciszka Dionizego Kniaźnina, aczkolwiek tylko ostatni poeta uczynił wspaniały cedr głównym ośrodkiem samodzielnie rozwijanego tematu. Utwór Kniaźnina *Cedr. Do księcia Augusta Czartoryskiego* przywoływał wyobrażenie drzewa biblijnego, nieznanego i nierosnącego na ziemiach Słowiańszczyzny, ale upowszechnionego przez Biblię i znajdującego się w obrębie określonego systemu magiczno-religijnego, a tym samym symbolicznego. Zespół konotacji współwyznaczających wyobrażenia tego wyjątkowego okazu natury kwalifikował go jako drzewo dobre, błogosławione, jako drzewo dnia (*arbor diei*), ale także, i była to w symbolice chrześcijańskiej sytuacja wyjątkowa, jako drzewo święte i drzewo teofaniczne. Cedr Libanu, ze względu na swoją długowieczność, wygląd, zapach, trwałe i piękne drewno był drzewem uświęconym w Jerozolimie budową pierwszej świątyni Pana. Świątynia ta ewokowała wyobrażenia opoki, trwałości, dominacji, opiekuństwa, tak jak drzewo, z którego została zbudowana. Wiecznie zielony cedr, wznoszący się strzeliście ku niebu, iglasty potężny olbrzym o bardzo grubym pniu, znacznie przewyższający życie człowieka (do 3000 lat), o wonnym, trwałym, odpornym na wilgoć i szkodniki drewnie, postaciować mógł ideę życia wiecznego i jego tajemnicę".[31] Wertykalizm drzewa sięgającego od 25 do 40 metrów wysokości podsuwał myśl o możliwości połączenia tego, co transcendentne, z tym, co immanentne, myśl postaciowaną także figurą kolumny niebios[32]. W wielu kulturach wspaniałe drzewo mogło być interpretowane jako wyraz dążenia człowieka do ideału nieskazitelności moralnej i szlachetności wewnętrznej.

Cedry, palmy, oliwki, drzewa egzotyczne, poszukiwane przez kolekcjonerów, chociaż nie rosły ani przy dworkach, ani pałacach, obecne były w literaturze, malarstwie, zdobnictwie jako sfera porównań, przenośni, symboliki. Uczyły częstokroć szacunku wobec drzew i natury rozumianych jako wyraz mocy stwórczej[33]. Uwaga poetów koncentrowała się również na zewnętrznej interakcji spopularyzowanych *Psałterzem Dawidowym* motywów palmy, cedru i męża sprawiedliwego jako ekwiwalentu Boskiego ładu świata. W swobodnej parafrazie *Psalmie XCI* (*Jak dobrze wyznawać Pana*), dokonanej przez Franciszka Karpińskiego:

Jak palma kwitnie mąż sprawiedliwy,
Wzrośnie wraz z cedrem libańskim,
Kwitnie, bo go sam Bóg szczepił żywy,
I na przysionku wzrósł pańskim.[34]

W wyobrażeniach o drzewach, także poetyckich kreacjach, pojawiały się drzewa swojskie, otaczane szczególnym pietyzmem, ale także drzewa biblijne, mitologiczne, literackie[35], jak drzewo pamięci, drzewo smutku, różne wersje drzew wolności, ale także drzew zwalonych, złamanych, „skrzywdzonych.

29 J. P. Woronicz, *Świątynia Sybilli...*, s. 147.

30 M. Nalepa, *Takie życie dziś nasze, gdy Polska ustaje... Pisarze stanisławowscy a upadek Rzeczypospolitej, Monografie Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej*, Wrocław 2002, s. 82.

31 Por. hasło: *Cedre* [w:] J. Chevalier, A. Gheerbrant, *Dictionnaire des symboles, mythes, róves, coutumes, gestes, formes, figures, couleurs, nombres*, t. 1, Paris 1973, s. 292.

32 R. Vulcanescu, *Kolumna niebios*, przeł. D. Bieńkowska, wiersze przeł. Z. Stolarek, Warszawa 1979.

33 Więcej na ten temat A. Aleksandrowicz, *Cedr jako literackie drzewo kultowe* [w:] *Literacka symbolika roślin*, red. A. Martuszewska, Gdańsk 1997, s. 85–99.

34 F. Karpiński, *Psalm XCI* („Jak dobrze wyznawać Pana") [w:] *Wybór poezji*, oprac. W. Jankowski, BN I, nt 89, Kraków 1829, 8. 156.

35 T. Kostkiewiczowa, *Lipy czarnoleskie i lipy puławskie* [w:] *Necessitas et ars. Studia staropolskie dedykowane Profesorowi Januszowi Pelcowi*, t. 1, Warszawa 1993, 5. 141–147.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Motyw leśny*, drzeworyt, 1935, zbiory POLONA

Nakaz ochrony drzew botanicznych, poznawania kultury rodzimej i kultury świata poprzez zdobywanie wiedzy ekologicznej i dendrologicznej przybierał różne postaci. W literaturze i publicystyce Oświecenia zarysował się, wśród wielu sugestywnych tematów arboralnych, motyw „ostrej siekiery" lub „siekiery bezbożnej" jako wyraz dezaprobaty wobec dewastacji natury. Kajetan Koźmian po analizie wielu dobrodziejstw dostarczanych ludziom przez drzewa i wielu zagrożeń czyhających na drzewa ze strony ludzi nawoływał czytelników:

> Idziem mnożyć, rozkrzewiać, a jeżeli można,
> Nagrodzić, co zniszczyła siekiera bezbożna[36].

Postulowana przez pisarzy i luminarzy epoki konieczność prowadzenia prac nad zadrzewieniem kraju znajdowała uzasadnienie w politycznej i gospodarczej sytuacji Polski porozbiorowej. Zaborca niszczył i dewastował przyrodę, eksploatował drzewostan, zubażał zasoby leśne, deformował rodzimy krajobraz. Motywem „ostrej siekiery" jako dowodem niszczenia polskich bogactw naturalnych i dewastacji śladów polskości posłużył się Kajetan Koźmian w *Ziemiaństwie polskim*, Franciszek Morawski w wierszach i poematach, Maria Wirtemberska w opisach zniszczenia Puław w 1794 r. Najwyższą rangę znaczeniową i artystyczną nadał mu Adam Mickiewicz w *Dziadach* i *Panu Tadeuszu*.

36 K. Koźmian, *Ziemiaństwo polskie...*, *Pieśń III*, s. 93.

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Zraniony jeleń*, drzeworyt, 1930, POLONA

Rozwijało się również dążenie, aby nadużycia wobec przyrody, możliwe do uniknięcia, utrwalane były w pamięci ku przestrodze pokoleń. Czartoryska przypominała, że na dawnych cmentarzach w Szkocji przetrwały ogromne pnie starych jesionów, ponieważ wyobrażano sobie, że mają one moc udzielania swoich sił bojownikom walczącym o wolność oraz przejmują zadania mścicieli za doznane krzywdy i upokorzenia wyrządzane zarówno ludziom, jak i naturze. Kiedy w roku 1794 wojska rosyjskie niszczyły stare drzewa puławskie na równi z wyposażeniem rezydencji i cennymi zbiorami bibliotecznymi, właściciele nie podjęli decyzji, aby przy odbudowie siedziby wykarczować ogromne pnie ściętych lip. Zostawiono je, co odnotowała Maria Wirtemberska, „na pamiątkę łaskawości carowej Katarzyny, z szczególnego rozkazu której Puławy tak doskonale i starannie były niszczone w rewanżu za pomoc udzieloną Insurekcji Kościuszkowskiej”[37].

Motyw „ostrej siekiery” lub „siekiery bezbożnej” zaliczyć można do sugestywnych składników patriotycznych topiki polskiej. Jej rozwinięciu, a zarazem utrwaleniu w pamięci pokoleń służyła wspaniała apostrofa Adama Mickiewicza z IV księgi *Pana Tadeusza*:

Drzewa moje ojczyste! jeśli Niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię...

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana czuła
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!
Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa![38].

Alina Aleksandrowicz

37 Rkps Bibl. Polska w Paryżu 537: M. Wirtemberska, *Opisy zniszczenia dokonane w Puławach w roku 1792 i 1794*, s. 717– 718.

38 A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z roku 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*, wyd. szóste, oprac. S. Pigoń, Wrocław 1971, *Pieśń IV: Dyplomatyka i łowy*, s. 199–200, BN I, nr 83.

Wiktor Kowalczyk

CHRZCINY KORNELII

Dworek Wincentego Pola (przy ul. Kalinowszczyzna 13 w Lublinie) otacza założony ponad czterdzieści lat temu, dziś już nieco zdziczały ogród. Poza cięciami pielęgnacyjnymi przerzedzeń drzewostanu dokonuje w nim czasem wiatr. Przed paroma laty wichura wyrwała z korzeniami kilkunastometrowy świerk. Świerków mamy dostatek, więc na jego miejscu postanowiliśmy zasadzić lipę. A że zależy nam, by dworek otaczały drzewa rodzime, miała to być lipa drobnolistna (*Tilia cordata*). Drzewka w szkółce były mikre, w stanie nieomal bezlistnym. Posadziliśmy, co udało się kupić, lecz gdy na wiosnę lipa wypuściła liście, okazało się, że jest gatunkiem 'nie z tej ziemi'. Nic sobie nie robiąc z naszych grymasów, drzewko zaczęło rosnąć, wypuszczać nowe pędy i grubieć.

Jesienią zeszłego roku sympatyk postaci i twórczości Wincentego Pola, pomysłodawca i naukowy opiekun wielu muzealnych wydarzeń, dr Tadeusz Piersiak – emerytowany wykładowca polonistyki UMCS, a miłośnik ogrodów o zacięciu ekologa, wspomniał mi o „Dniu Drzewa", który obchodzony jest 10 października. Wydarzenie ma rodowód amerykański. W 1872 r. niejaki Julius Sterling Morton – ówczesny gubernator stanu Nebraska i sekretarz rolnictwa USA zainicjował akcję sadzenia drzew. Podchwytując z pewnym opóźnieniem jego ideę, w 1951 Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) ustanowiła Światowy Dzień Drzewa, który w Polsce zaistniał po raz pierwszy dopiero w 2003 r.

Myśl o włączeniu się w obchody „Dnia Drzewa" została jednak odłożona na później. Wróciliśmy do niej w tym roku, ogłoszonym przez Sejm RP Rokiem Romantyzmu Polskiego, a proklamowanym przez nas samych jako „Rok Wincentego Pola", z racji przypadających w kwietniu 215. urodzin oraz grudniowej, 150. rocznicy śmierci poety-geografa.

– Skoro dla upamiętnienia mężczyzn sadzi się dęby, kobietom należałoby poświęcać lipy. Posadźmy, panie Wiktorze, przy dworku lipę. Nadamy jej imię Kornelia. Będzie stanowiła parę z dębem „Wincentym" – zaproponował dr Piersiak, gdy pod koniec lata wspólnie układaliśmy program wydarzenia.

Marcin Jabłoński, *Portret Kornelii Olszewskiej*, 1827, rysunek ołówkiem – ze zbiorów Muzeum Narodowego w Lublinie, fot. P. Maciuk

– Ależ lipa już rośnie, panie doktorze. Wystarczy ją tylko ochrzcić. – odparłem.

Dopowiadając – dąb „Wincenty" znajduje się w Krościenku Wyżnym nad Wisłokiem (w powiecie krośnieńskim), w parku leśnym „Dębina", którym zarządza Nadleśnictwo Dukla. Liczy około 460 lat, mierzy 28 m wysokości, a jego obwód wynosi 540 cm. Jest pomnikiem przyrody. W 2014 r. został finalistą organizowanego przez Klub Gaja konkursu „Drzewo Roku" (jako jedyne drzewo z terenu Podkarpacia).

W sobotę, 8 października 2022 r., w samo południe, spotkaliśmy się w przydworkowym ogrodzie pod rozłożystym kasztanowcem, w gronie przyjaciół i bywalców muzeum. Zaczęliśmy od pytania o „moje drzewo". Wymieniano dęby, lipy, brzozy i sosny, dzieląc się wspomnieniami widoków, przygód, wrażeń i przeżyć.

Potem przeszliśmy do sal w podpiwniczeniu dworku, gdzie nastąpiły dalsze punkty programu. Najpierw piszący te słowa przytoczył (w charakterze motta spotkania) relację z pewnego spaceru, jaki Władysław Bełza odbył onegdaj z ociemniałym już wówczas Wincentym Polem:

Nie mogę zapomnieć również o wielkiej nauce, jaką odebrałem od Pola na wycieczce w Justowej Woli.

Pol szedł wsparty na mojem ramieniu… Dzień był prześliczny. Budząca się ze snu wiosna zasłała ziemię bogatym kobiercem, a krzewy liściem. Pomieszane szczebioty ptaków rozlegały się w gaju i grały w echach dalekich. Pol szedł zadumany i rozrzewniony.

– Proszę cię – przerwał nagle, wszak to szumi leszczyna?

– Tak jest – odparłem, stoimy właśnie przy niej.

– A to lipa gada — rzekł, postąpiwszy kilka kroków.

– Nie inaczej.

Tak szliśmy dalej, a Pol wymieniał po nazwisku drzewa, które mijaliśmy po drodze. Ślepy starzec poznawał je po szumie liści, po zapachu... Gdym mu wyraził zdziwienie moje z tego powodu, odezwał się tonem, którego nigdy nie zapomnę:

– Nie poeta, kto nie rozumie głosów natury. Dla profana, każde drzewo szumi jednako, każdy strumień dzwoni na tę samą nutę; dla poety każdy listek powinien mieć swoją odrębną mowę. Przez zrozumienie natury, przychodzimy do poznania Boga.[1]

Po czym Tadeusz Piersiak wygłosił odczyt zatytułowany O czym szumią lipy? – w literaturze, od antyku po współczesność, analizując wymowę literackich symboli, ukryte znaczenia ilości znaków alfanumerycznych w wersach fraszki *Na lipę* Jana z Czarnolasu

Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie!
Nie dójdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się nawysszej wzbije, a proste promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.

Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie
Jako szczep napłodniejszy w hesperyskim sadzie.

oraz spis abonentów o nazwiskach pochodzących od słów „dąb" i „lipa" w książce telefonicznej.

Red. Jarosław Zoń czytał zaś kolejne fragmenty wspomnień i listów Aleksandry Wachniewskiej (1902–1989) – malarki ze Zwierzyńca, absolwentki przedwojennej Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, kolorystki, pejzażystki i portrecistki drzew, wielkiej orędowniczki ochrony drzewostanów Roztocza (której 120. urodziny także przypadały w tym roku).

W jej *Pismach i notatkach*, przechowywanych w Archiwum Roztoczańskiego Parku Narodowego, możemy przeczytać:

Moje zainteresowanie przyrodą datuje się od najwcześniejszego dzieciństwa. Śp. Ojciec, Franciszek Fejfer, entomolog i przyrodnik, pierwszy uczył mnie patrzeć na piękno otaczającej przyrody i chronić ją. […] Pamiętam jako dziecko, gdy zawieszałam z Ojcem kapliczki i krzyże na najpiękniejszych starych drzewach, celem uchronienia ich od zagłady. W tamtych czasach lasy wycinano w pień czystymi zrębami. Drzewa z kapliczką żaden drwal nie tknął. Tak ostał się po dzień dzisiejszy wspaniały dąb 1000-letni we Floriance, lipy i buki tamże oraz szereg innych starych drzew w okolicznych lasach.

W liście do Jana Zamojskiego z 1956 r. pisała:

udało mi się ocalić i włączyć w partię rezerwatową jeden z najpiękniejszych kompleksów praboru Roztocza Lubelskiego, ciągnący się po wierzchowinie wzgórz: Nart, Kamienna Góra, Czerkies i Obrocz. Jest to partia lasów nie tylko ciekawa drzewostanowo (mimo wielkiego przetrzebienia, jakie od szeregu lat tam czyniono), las bukowo-jodłowy o charakterze regla dolnego, ale również florystycznie i faunistycznie.

A w 1976 r. powiedziała do mikrofonu Konradowi Mastalińskiemu:

najchętniej siedzę u siebie w domu, tu właśnie, w Zwierzyńcu, wśród lasów, które są tak piękne, że wydaje mi się, żadne lasy w Polsce nie mają tyle uroku i tyle wspomnień związanych z powstaniami, potem z wojną pierwszą, wojną drugą – tą ostatnią. […] Ja się najlepiej czuję, jak maluję sobie w lesie, maluję drzewa, maluję pole, maluję kwiaty i jestem jakoś bliżej nieba, bliżej słońca. To wszystko

1 Bełza W., *Wincenty Pol. Wspomnienie w 40-stą rocznicę zgonu poety*, Kraków 1912, s. 25-26.

Anna Frączek—praprawnuczka Wincentego Pola i matka chrzestna lipy oraz dr Tadeusz Piersiak—pomysłodawca wydarzenia, fot. W. Kowalczyk

stwarza specyficzny nastrój, jakiejś wielkiej chęci do malowania […][2]

Na koniec, nawiązując do słów artystki, Wojciech Gawroński przedstawił jeszcze pokrótce działalność Roztoczańskiej Konnej Straży Ochrony Przyrody.

Potem sokiem z brzozy, tudzież syropem z sosny wznieśliśmy toast za długie i szczęśliwe życie drzew i ponownie udaliśmy się do ogrodu, by młodej lipie nadać imię żony Wincentego Pola, Kornelii.

Kornelia Prakseda z Olszewskich Polowa urodziła się we Lwowie w 1810 r. Była córką Tomasza Olszewskiego, oficera wojska polskiego, i Antoniny z Krzyżanowskich. Po śmierci ojca wychowywała ją matka. Obie trafiły pod opiekę Marianny i Józefa Ziętkiewiczów w Mostkach pod Lwowem. Uzyskała staranne wykształcenie. Po 10 latach narzeczeństwa, w 1837 r. poślubiła trzy o lata starszego Wincentego. Urodziła siedmioro dzieci, z których jedynie czwórka dożyła dorosłości. Zmarła w Krakowie mając zaledwie 45 lat.

„Mamą chrzestną" lipy została praprawnuczka Wincentego Pola, Anna Frączek, która odczytawszy wiersz Ludmiły Marjańskiej *Przedwiośnie*,

Dzień dobry drzewo
Wyciągasz gałęzie
lekko zaróżowione
od porannego chłodu
przeciągasz się w przeczuciu
przedwieczornych deszczów
gotowe pęcznieć sokami
wystrzelić śmiechem
zielonych listków
osłaniać nas od słońca
zbyt natarczywego
Dzień dobry,
dobre drzewo—
pokochanowska
poczarnoleska
lipo moja
śródmiejska

umieściła tabliczkę z imieniem przed pniem drzewa.

Na pożegnanie uczestnicy „chrzcin" zostali uwiecznieni na zbiorowej fotografii.

Organizatorami wydarzenia byli: Muzeum Dworek Wincentego Pola, Filia Muzeum Literackiego, Oddziału Muzeum Narodowego w Lublinie, Oddział Lubelskiego Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza oraz Roztoczańska Konna Straż Ochrony Przyrody im. 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich.

Wiktor Kowalczyk

2 Gajewski T., *Aleksandra Wachniewska. Malarka Roztocza*, Zwierzyniec 2009.

Halina
Ewa
Olszewska

O drzewach poezją i prozą

dziś od rana czysty błękit/ ptaki głośną eskadrą/ nad rozłożystym drzewem górującym nad dachami/ w mojej estetyce po stronie wzruszeń/ znam ten jesion od krzaczka – fragment mojego wiersza „Widok z okna". Istotnym elementem tego pejzażu jest „ulubione drzewo w szatach kolejnych pór roku". Mam nadzieję, że za mojego życia nikt tego drzewa nie wytnie.

We wspomnieniach z dzieciństwa mam w pamięci obraz pięknego drzewostanu przy domu rodzinnym. Ogromna akacja nieopodal okna mojego pokoju każdej wiosny pięknie pachniała w rozkwicie. Perfumerii natury dopełniały majowe bzy i czerwcowe jaśminy w ogrodzie między ulami. I kwiaty, dużo ich, rozkwitały od wiosny do późnej jesieni. Przy płotach dostojne strzeliste jesiony, stary buk, ogromny klon i wierzba rosochatka wpleciona witkami we fragment alei wiśniowo-czereśniowej. W północnej części zielonego podwórza dominowały orzechowce, a w południowej drzewa owocowe. Lubiłam spędzać czas nad stawikiem w olszynach. Wiatr zawiewał żywicznym zapachem samotnej sosny wśród pól, każdej jesieni znajdowałam pod nią maślaki.

Wierszem „Kalina", dzielę się wrażeniami zachwycona tym pięknym drzewem nad Czarną Ładą. – *wyrosła za miastem nad rzeką/ wśród traw wiodących na pokuszenie/ na popękanej korze rysunek serc/ jej korale magicznym panaceum/kiedy bieli się przymrozkami/ emigrująca jesień/ użyźniła ją niejedna miłość/ gorącego lata/popłynęła niejedna łza/ skłóconych kochanków/ na rozstaju mgieł/ po burzy słońce pieści/ czerwoną biżuterię/ kalinowych gałęzi/ w ich cieniu ukojenie/ wyznanie i całowanie/ a czasem wspomnień blask/ na posiwiałych skroniach*

Mam szczęście mieszkać w Biłgoraju, w mieście otoczonym lasami Puszczy Solskiej. To ogromny walor nie tylko krajobrazowy ale również istotny wpływ na jakość powietrza.

Dawno temu, jeszcze w moich latach licealnych, uczestniczyłam w akcjach sadzenia lasu. Młodzież, zwykle z kilku klas jednocześnie, pod przywództwem wychowawców maszerowaliśmy kilka kilometrów za miasto. Po czym pod nadzorem leśników, sadziliśmy las na nieużytkach znajdujących się pod wsią Teodorówka. Innym razem na skraju miejscowości Dyle. Były to radosne zajęcia w plenerze, pełne śmiechu i zalotów, niejedna pierwsza miłość tam zaiskrzyła. Pamiętam, jak sołtys wsi Dyle na konnym wozie przywiózł nam poczęstunek. Były to smakowite pajdy wiejskiego chleba, posmarowane swojskim smalcem z cebulką, do tego ogórki małosolne i kawa zbożowa. Na deser ciasteczka amoniaczki. Panie z Koła Gospodyń Wiejskich się postarały.

Polskie lasy, drzewa, runo, malownicze krajobrazy – bezcenny skarb narodowy i pobitewne ślady historii. *pamięć żyje/ kwitną paprociami/ partyzanckie mogiły/ imiona w rzędach krzyży/ i ziemią przykryte bezimienne groby z tragiczną tajemnicą* …z tomu „Jedni nieopodal drugich".

Zeszłorocznej jesieni wybrałam się z sąsiadką na grzyby do „mojego" lasu, tego który sadziłam. Te ogromne piękne sosny mają już po kilkadziesiąt lat. Z sentymentem wspominałam przeżycia związane z sadzeniem drzew, dumna, że mam swój wkład w tej puszczy. Grzybobranie się udało, koszyki zapełniłyśmy głównie podgrzybkami i maślakami, ale też udało nam się znaleźć po kilka prawdziwków.

Do puszczy na skróty mam niedaleko. Wystarczy niespełna półgodzinny spacer, żeby tam dotrzeć. *majowa aura wyciąga z domu pod las/sosnowy świerkowy jodłowy/wierzchołki drzew upięte cirrusami/tam moja dzika plaża/pachnąca żywicą i aromatem łąk* – z wiersza „Witamina D prosto z nieba". Każdego roku chętnie z tej witaminy korzystam. Polana, to dobre miejsce na relaks, na czytanie i narodziny kolejnych wierszy.

Wycinanie drzew w mieście bądź w lasach miłośników przyrody zawsze boli. ■

Stanisław Turski

W orzechowym mateczniku

Zawsze, gdy zbliżały się wakacje, niecierpliwie wypytywałem rodziców, kiedy pojedziemy do dziadków. Oczekiwałem sześćsetkilometrowej podróży koleją, która była dla mnie frajdą, a dla Mamy i Taty utrapieniem. Bagatela, podróż z Wałcza, gdzie mieszkaliśmy, trwała całą noc i pół dnia, czekały nas trzy przesiadki, a pociągi były ogromnie zatłoczone. Ostatnie 2 km szliśmy z bagażami z przystanku PKS w Kazimierzu Dolnym, z tego pół kilometra wznoszącą się stromo głębocznicą.

Rytualne i radosne powitanie; z babcią i ciotkami cmok, cmok, a z dziadkiem na niedźwiedzia i już opuszczam podwórko, okrążam stodołę, za którą wznosi się wysoko, sędziwy i przyjacielski orzech włoski, posadzony na progu 20. stulecia.

Szarawa i lekko szorstkawa kora pnia ułatwia dotarcie do pierwszych konarów. Zielono połyskliwa grzywa liści, wydziela podniecającą, egzotyczną woń. Wspinam się kilka metrów do matecznika pomiędzy konarami. To moja świątynia dumania, azyl, schronienie Tarzana a także czytelnia, z miejscem na wygodne oparcie pleców i stóp, siedziba do odkrywania przygód Tomka Sawera, Stasia i Nel, Szarej Wilczycy i Białego Kła, Anaruka – chłopca z Grenlandii, historii bohaterów „Starej Baśni" i załogi szkunera Dunkan, poszukującej na 37 równoleżniku kapitana Granta czy też gromady dzieci i młodzieży rozbitków na wyspie, którzy przetrwali na niej dwa lata, a nie były to wakacje…

Trzy tomy powieści Karola Maya pt: „Winetou", leżą w nierozpakowanym jeszcze plecaku. Kołysząc się wraz z wiatrem i obejmując konar za szyję, odprężam się po podróży, adaptuję do innego środowiska niż ponure, pomorskie ziemie odzyskane, dokąd nas zagnał los. Urodziłem się na ziemi dziadków i tu mnie zawsze ciągnie, do krewnych i drzewa – przyjaciela.

Wraz z zakończeniem nauk skończyły się wakacje, a rozpoczęły urlopy, które spędzałem tu z najbliższą rodziną, jako że odziedziczyłem dom i sad. W upalne dni z orzechowego cienia korzystały córki, sprawnie wdrapujące się na drzewo. Z upływem lat, orzech tracił swój okazały wygląd, powoli usychał, odsłaniał gołe kikuty konarów i gałęzi, aż któregoś roku dał się powalić burzy…

Przeczuwając jego koniec założyłem małą szkółkę orzecha włoskiego. Zasadziłem kilkadziesiąt owoców, które urodziło moje drzewo. Po latach pojawiły się sadzonki, które porozsadzałem w sadzie wokół domu. Obecnie mają ponad 20 lat. Na największego orzecha wspinają się moje wnuki, gdy odwiedzają dziadków w wakacje. W ich rękach nie tkwią książki a telefony komórkowe. ■

Jacek F.
Brzozowski

W moim ogródeczku

W sadzeniu drzew liczy się wiele rzeczy zwyczajnych i niepospolitych. Wszelako jedna z najważniejszych – to wzrost. To odnoszę zarówno do sadzonki, jak i do sadźcy, czyli wykonawcy niepojętych wyroków Stwórcy, który zobowiązał nas do czynienia sobie ziemi płodną i zieloną. ■

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Gałązki jedliny*, drzeworyt, 1937, POLONA

Stanisław
Żurek

Drzewo, dom, dziecko

Mówią, że prawdziwy mężczyzna powinien zbudować dom, spłodzić syna i posadzić drzewo. Ta maksyma miała rację bytu po drugiej wojnie światowej, gdy Polska dźwigała się z ruin. Po osiemdziesięciu latach realia znacznie zmieniły się. We wsiach jest coraz więcej opuszczonych domów, nieraz w dobrym stanie, w starych miejskich blokach znajduje się sporo tzw. pustostanów. Większość rodzin posiada nowe, własne, ładnie urządzone mieszkania. Z krajobrazu wsi poznikały studnie, zastąpiły je wodociągi, a większość domów posiada kanalizację. Występuje nadal „głód" mieszkaniowy, ale jest to oczekiwanie na własny, wolno stojący i ładnie urządzony dom z ogrodem. Trend ten wykorzystywały banki manipulując spekulacyjnie kredytami i wpędzając w kłopoty chociażby tzw. frankowiczów. Pomimo rosnącej inflacji domy są budowane i „prawdziwy mężczyzna" jest w stanie swój dom postawić. Coraz częściej otrzymuje go jednak od rodziców, już gotowy do zamieszkania.

Problemem staje się spłodzenie syna, a zwłaszcza jego wychowanie przy coraz większej ilości rozwodów bądź związków nieformalnych. Znikają tradycje rodzin wielopokoleniowych o silnych więzach emocjonalnych. Okazuje się, że z triady DOM – SYN – DRZEWO najbardziej trwałą cechą „prawdziwego mężczyzny" pozostało posadzenie drzewa. I to najczęściej przy pomocy firmy usługowej.

W 20 lat po drugiej wojnie światowej, moja podlubelska kolonia zaczęła obumierać, młodzież kończyła szkoły w Lublinie, początkowo zawodówki, potem technika i szła do pracy „w mieście", dom rodzinny stawał się „noclegownią", a gospodarstwo rodziców „drugim etatem", tyle że bez stałego wynagrodzenia, ale za miskę pokarmu. Jeśli nadarzyła się okazja, zapisywali się do spółdzielni mieszkaniowej systematycznie uiszczając miesięczne raty i czekając dziesięć lat albo i dłużej na obiór kluczy do mieszkania „w stanie surowym". Najczęściej były to już młode małżeństwa z małym dzieckiem, a na ich przejście „na swoje" w skromnym M 3 „w stanie surowym" z ciągle spłacanymi ratami w domu rodzinnym już czekało młodsze rodzeństwo likwidując przepierzenie dzielące

dotychczasowy pokój na dwie połowy. Pozostawała jeszcze kwestia „podziału majątku", aby ci, którzy opuszczali dom rodzinny otrzymali należną im część. A rodziny liczyły wówczas po troje lub więcej dzieci. Gospodarstwa więc rozdrabniały się i ubożały, a kolejne dzieci starały się szukać swojej przyszłości w mieście.

Nowe domy w mojej miejscowości zaczęły powstawać w „epoce gierkowskiej", w połowie lat siedemdziesiątych minionego już wieku. Są to tzw. kopertówki, w większości stojące do dnia dzisiejszego. Przeszedłem gehennę budowy takiego „mojego" domu, gdy materiałów na budowę nie kupowało się, ale „załatwiało" przy pomocy różnych koneksji i tzw. „kopertówek". Budowałem pięć lat, zacząłem już po śmierci Ojca, ale w grudniu 1980 roku zamieszkałem w moim domu z moją rodziną, w tym z nowonarodzonym synem Jackiem. Wcześniej, przez sześć →

lat mieszkaliśmy z córką Izą w połowie pokoju (dzieląc go z rodziną siostry) w starym rodzinnym domu (już nie istnieje).

Na przełomie XX i XXI wieku moja miejscowość zaczęła stawać się podlubelską „dzielnicą willową". Powstawały i są nadal stawiane piękne, nowoczesne domy. To mieszkańcy lubelskich bloków ruszyli na wieś. Poznikały płoty zastąpione zwykle wysokim murem. To oczywisty efekt tzw. transformacji ustrojowej, przez niektórych nazywanej dziką i łupieżczą prywatyzacją. Przykrył to już głęboki szlam dziejów. Tyko kwestią najbliższych lat będzie fakt, że Kolonia Płouszowice staną się dzielnicą Lublina.

Był więc Dom, był Syn, było też Drzewo. A raczej drzewa. Pierwsze, jakie pamiętam, to wierzby. To nimi ojciec obsadził budynki gospodarcze, chyba na początku lat pięćdziesiątych minionego wieku. Po prostu powbijał kilka palików. A one wypuściły listki i gałązki. Pięknie wyglądały zwłaszcza wczesną wiosną soczyście się zieleniąc, gdy ziemia ledwie budziła się z zimowego snu. Jeszcze rosną dwa grube pnie obrośnięte czupryną gałązek. Na podwórzu niedaleko studni rosły dwie czeremchy, a podczas kwitnienia ich zapach wręcz odurzał. Już ich nie ma, ani studni z krystaliczną zimną wodą. Jest wodociąg. Z ojcem zasadziłem cztery jabłonie, dwie z nich przycinane nadal rodzą (co drugi rok), owoce są soczyste, ale nie nadają się na przechowanie na zimę. Za to są dobre na „jabcok", a latem miło się odpoczywa w ich cieniu. Był jeszcze cały rząd dzikich czereśni, czarnych, granatowych, czerwonych, różowych i żółtych, różnej wielkości, gorzkich i niezwykle słodkich. Ale ich miejsce zajęły inne drzewa dające wprawdzie owoc obfity, ale i znacznie mniej smaczny. Już kilkanaście lat temu wymarzły czarne wiśnie, świetnie nadające się na soki. Rośnie za to jeden dąb, którego sadzonkę przyniosłem z działki mojej babci ś.p. Katarzyny Łobody (obecnie należącej do Pana Henryka Pająka). Po kilku latach ma już moją wysokość. Mam nadzieję, że w jego cieniu będzie odpoczywał mój wnuk, a może i prawnuk.

Posadzenie drzewa można byłoby potraktować symbolicznie jako „posadzenie drzewa genealogicznego". Do drugiej wojny światowej każdy ród dbał o pamięć swoich „dziadów i pradziadów", chętnie sięgał do czasów jak najdalszych przodków, chlubiąc się ich czynami i osiągnięciami. Druga wojna światowa zniszczyła ten etos. Życiorysy nowych władców Polski Ludowej zaczynały się w tajnych aktach specjalnych służb sowieckich. I funkcjonują do dzisiaj w III RP, najczęściej na wysoko umieszczonych stanowiskach. Nie mając żadnych korzeni w rodach polskich. Jest to wielką tragedią dla Polski i przyczyną wszystkich zawirowań politycznych.

Stanisław Żurek

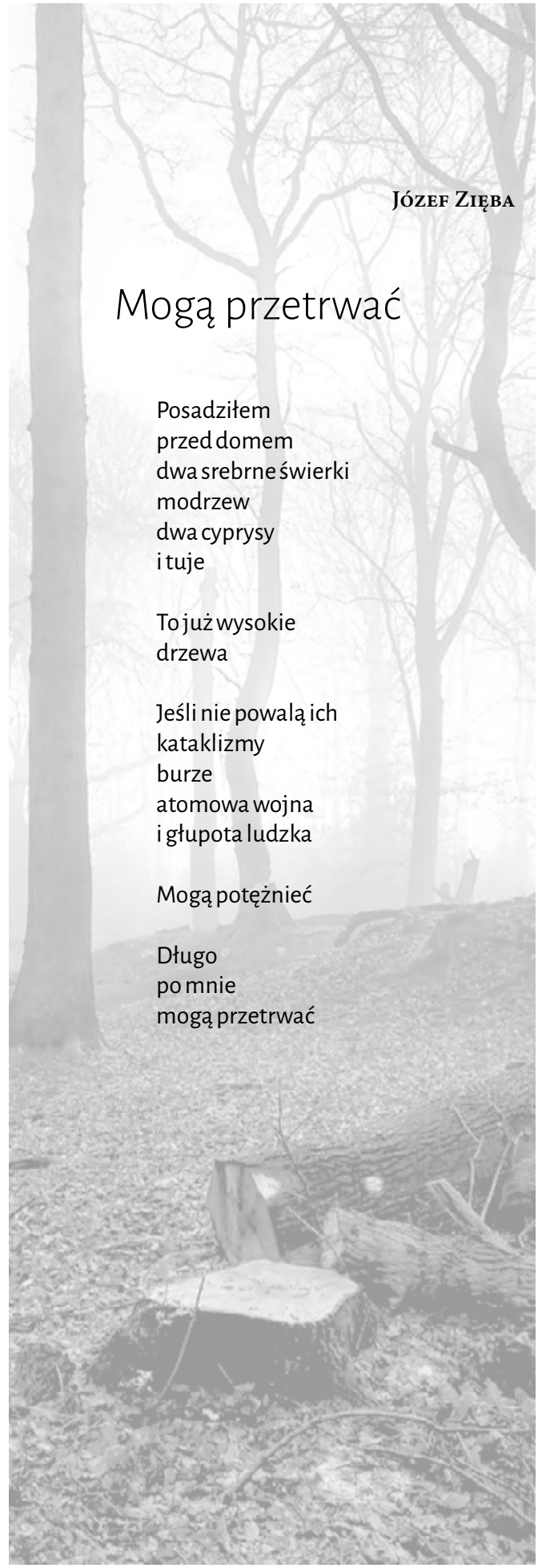

Józef Zięba

Mogą przetrwać

Posadziłem
przed domem
dwa srebrne świerki
modrzew
dwa cyprysy
i tuje

To już wysokie
drzewa

Jeśli nie powalą ich
kataklizmy
burze
atomowa wojna
i głupota ludzka

Mogą potężnieć

Długo
po mnie
mogą przetrwać

Klemens
Podsiadło

Przy sadzeniu róż

Sadźmy, przyjacielu, róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze:
Sadźmy je przyszłemu latu!

My, wygnańcy stron rodzinnych,
Może już nie ujrzym kwiatu—
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwszemu sadźmy światu!

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy—same głogi,
Gdzieśmy przeszli—róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy! Gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia
Da nam milszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.

Wiersz (piosenka) ma swoją legendę. Seweryn Goszczyński, uchodząc po upadku powstania listopadowego, zatrzymał się w majątku Józefa Tetmajera w Mikołajowicach pod Tarnowem. Tam, wraz z Michałem Szweycerem, towarzyszem ucieczki, sadzili krzaki róż upamiętniając swój pobyt i chwilę pożegnania z ojczyzną. Utwór jest odpowiedzią na wątpliwości przyjaciela – czy warto szafować siłami, tracić czas, skoro nie ujrzy się efektu? Warto! Dla przyszłych lat (pokoleń), szczęśliwszego świata!

Najpierw byłem drwalem. Niezbyt długo, dwa sezony. Powaliłem dwa hektary lasu. Piła leżała mi w ręku! Dwudziestometrową, stuletnią sosnę, potrafiłem tak ściąć, by upadając nie zniszczyła innych drzew, ot, pomiędzy dwie inne sosny rosnące obok siebie w trzymetrowej odległości. Wśród zrębu zastał mnie kiedyś poeta Mieczysław Stanclik, popatrzył na powalone przeze mnie pnie, posmutniał, sięgnął po wystrzępiony notesik i osmętniały coś tam zapisał. Jakiś czas potem przysłał mi swój tomik wierszy. Jeden z wierszy tomu powstał w trakcie spotkania na wspomnianym zrębie.

A kiedy człowiek
piłą dotknął twego gardła
ziemia się rozstąpiła
korona z głowy ci spadła.

Cóż, poezja poezją, a powalanie drzew to niezwykłe uczucie. Niewielu mężczyzn zazna tej satysfakcji. Dla tych którzy podejrzewają, jaki urok kryje się w ścinaniu drzew norweski pisarz Lars Mytting napisał książkę „Poręb i spal. Wszystko co mężczyzna powinien wiedzieć o drewnie" (2011). Ale sadzenie jeszcze większa przyjemność!

Pierwszą brzózkę wcisnąłem w ziemię pod okiem dziadka Aleksandra Wójcika. Kolejne też. Na nieużytkach sadziliśmy brzozy, graby, dęby. – Sadzenie drzew to królewska rozrywka! – lubił mawiać dziadek. Faktycznie, król Jan III Sobieski uwielbiał prace ogrodnicze, lubił też, gdy podczas tych zajęć miał obserwatorów. W trakcie wyprawy na Wiedeń, 23 sierpnia 1683 roku, zasadził w ogrodzie Franciszkanów w Gliwicach – wedle legendy – dziesięć lip. Dał początek pięknej akcji sadzenia drzew. W roku 2013, w 330 rocznicę wiedeńskiej wiktorii, w całej Polsce rozpoczęto poszukiwania drzew posadzonych przez monarchę. Bo sadził je, jak głosi kolejna legenda, jak Polska długa i szeroka. Mam swój udział w ozdobieniu lubelskiego pomnika Czechowicza drzewami dębu. To ja – w październiku 1980 roku – dostarczyłem poetom sadzonki, by młodymi dębczakami mogli uczcić rodzącą się Solidarność. W roku 2007 z pisarzami Zbyszkiem Strzałkowskim, Bohdanem Królikowskim oraz Konstantym Frączkiem – najpopularniejszym przewodnikiem turystycznym w Polsce, wielkim miłośnikiem literatury, zasadziliśmy dziesięć dębów. Każde z drzewek otrzymało imię literackiego bohatera. Na przełomie wieków jednemu z prezesów organizacji literackich zaproponowałem założenie parku literatury, ot, aby każdy lubelski autor miał w nim swoje drzewo. Pomysł się podobał, niestety, pracy nikt nie podjął. Nic dziwnego, to środowisko apatyczne, gnuśne, nieskore do żadnych działań. Ale po co z innymi, skoro można samemu? Odziedziczyłem posiadłość po dziadkach, niemałą, ciągnie się wzdłuż drogi od wsi Dąbie do Dziurowa, w przydrożnym pasie posadziłem drzewa nazwane imionami moich zmarłych przyjaciół. Na mojej ziemi rośną więc modrzew i dąb Zbyszka Strzałkowskiego, modrzew Dominika Opolskiego, świerk Józka Zięby, lipa Pawła Gębala, buk Staszka Weremczuka, brzoza Stefana Aleksandrowicza. Posesja ma sto pięćdziesiąt metrów długości. Zdołam tam posadzić jeszcze kilkanaście a może i kilkadziesiąt drzew pamięci.

Kiedyś, kiedyś jeden z moich znajomych, sadownik, kiedy sączyliśmy piwo w niedzielne popołudnie, użalał się na brak ogrodników potrzebnych do pracy w sadzie. – Mam nasadzić hektar ziemi jabłonkami, a teraz o robotnika trudno – narzekał. Pomogę – zadeklarowałem.

Zdziwił go mój zapał i moja deklaracja. Uporaliśmy się w tydzień. – Ile? – zapytał. – Ile zarobiłeś? – Każdego roku skrzynkę jabłek, dopóki sad będzie owocował. Przystał bez ociągania.

Klemens Podsiadło

Henryk Radej

Do lipy

(litania przed posadzeniem)

Kruszyno nieśmiała
gałązko miękkości
listku serdeczny
korzonku wieczności
panno drobnolistna
przez aniołów niesiona
zieloności gęstwino
zaledwie zapowiedziana
a już umiłowana
kapelo wiejska nut pełna
– rośnij mi do nieba!

Miłości pachnąca
lipiec przywołująca
żywicielko pszczela
złotem sypiąca
miodarko najsłodsza
nektarem lejąca
roju miododajny
uzdrawiający
matko matek nasiennych
królowo drzewna
mocarko odrośli pełna
kolumno długowieczna
– bądź mi ocaleniem!

Kapliczko świętych
– osłoń przed wichrami
Namiocie zacieniony
– broń przed piorunami
Gospodo umocniona
dla wnuków posadzona
– głoś chwałę Pana
i imię moje.

Amen!

Stanisław
Rogala

Opowiadania

Laska

Z wielkiego rozgoryczenia nie było mi do śmiechu ani nie zbierało się na płacz… na płacz byłem już za stary. Do tych przypadkowo spotkanych ludzi nie miałem żalu, oni chyba działali w dobrych intencjach. Myślałem o tej dziwnej sytuacji, którą niespodziewanie przeżyłem podczas powrotu do domu…

Wszystkiemu zawiniła laska pozostawiona w domu i…

Przyjechałem do biblioteki miasteczka położonego na wysokiej górze, z której te jagiellońskie mury można było oglądać niemal ze wszystkich miejsc regionu. Poznawałem je już wielokrotnie podczas licznych odwiedzin i dzisiaj nie one były celem mojego przyjazdu. Biblioteka była zamknięta, zawróciłem więc na szkolnym podwórku i zamierzałem jechać do innej miejscowości, ale… moja dokuczająca mi od kilku lat dolegliwość znowu dała o sobie znać. Ryzykować nie chciałem. Zauważyłem w pobliżu bramy wyjazdowej z podwórka kilka drzew jeszcze osłoniętych dość gęstymi liśćmi. Zatrzymałem samochód na niewielkim parkingu przed bramą. Wysiadłem… i dopiero wtedy zauważyłem brak laski, z którą od pewnego czasu zawsze podróżowałem, a co ostatnim razem zdarzało mi się dość często, zapominanie o niej. Kupiła ją żona na imieniny Stanisława. Była mi bardzo pomocna, już wiele razy uchroniła przed przypadkowym upadkiem.

Rozglądając się niby dyskretnie, ruszyłem w stronę drzewek… Wszystko poszło dobrze. Wydawało mi się, że nikt z ciekawskich nie zauważył mnie przy tej niewdzięcznej czynności. Już wsiadałem do samochodu, gdy obok niego pojawiła się wysoka szatynka i nakazała mi natychmiast wysiąść. Co mi tam… Bez zastanowienia wysiadłem, jak zawsze zachwiawszy się nieco, bo bez laski…

– Pan jest pijany – niespodziewanie naskoczyła na mnie szatynka.

Ja i pijany? To chyba z tego powodu, że zachwiałem się przy wysiadaniu, co w moim przypadku bolących nóg zdarza się też dość często.

– Proszę dać mi kluczyki. Już! – jeszcze mocniej natarła na mnie.

Tego było za wiele. Dać przypadkowej babie kluczyki…

– Szybko! Zaraz dzwonię po policję. Pan jest pijany…

Baba nie dopuszczała mnie do głosu.

– Co pan robił przy drzewkach? Szczał…, a z okien przyglądali się uczniowie… jak tak można?

Acha. Już wiem, o co chodzi. Zaczynałem coś bąkać o moich nogach, zawrotach głowy, ale… szans na pełne wytłumaczenie baba mi nie dawała.

– Za mną! Idziemy po policję – Baba komenderowała mną, a ja wykonywałem jej polecenia mechanicznie…

Przed szkołą pojawił się zdrowy osiłek i kilku chyba uczniów. Baba popchnęła mnie w stronę szkoły. Mogłem tylko tłumaczyć się, ale baba… głośno pokrzykiwała. Poszedłem więc za nią jak lunatyk.

– Panie Franku, dzwoń pan po policję. Ten człowiek jest pijany. Chce jechać samochodem – wydała na mnie wyrok i znikła w długim korytarzu...

– Co panu jest. Czy dobrze się pan czuje? – życzliwie pytał „pan Franek".

Wreszcie ktoś odezwał się do mnie normalnym słowem.

– Tak, ale... Ja mam chore nogi.

W pokoiku, do którego trafiliśmy i przed nim szybko uzbierało się sporo ciekawskich oczu. Chyba dawno nie było tu większej sensacji? Wszyscy oglądali mnie z ciekawością. Pojawiła się też nowa osoba. Jakby życzliwie spojrzała na mnie i odezwała się również po „ludzku":

– Dzień dobry, panu.

– Dzień dobry – odpowiedziałem życzliwie.

Przybyła położyła coś na biurku, co mogło być dziennikiem i wyszła. Nie zdążyłem się jej przyjrzeć. Czy to może była jakaś moja znajoma?

Miałem wielu znajomych po szkołach. Tylko nie zawsze je zapamiętywałem. Trzydzieści lat pracy w szkolnictwie i ze studentami na uniwersytecie powodowały, że

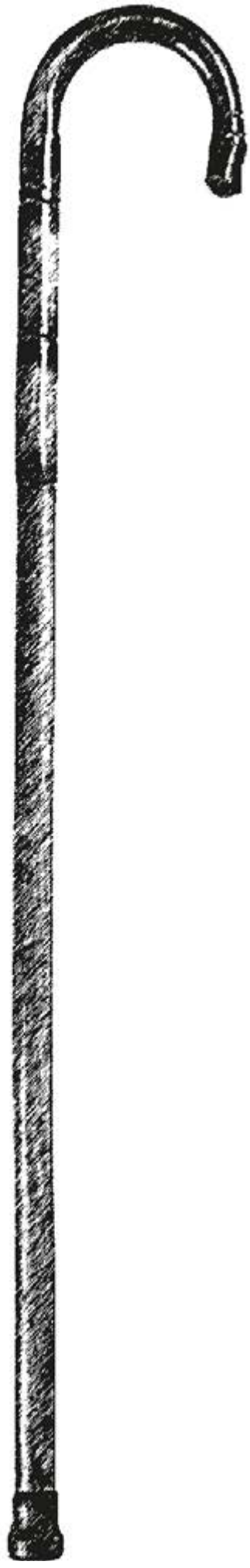

znajomych miałem bardzo dużo, choć raczej nie zapamiętywałem ich twarzy, bo po co? Miałem z tym dość duży kłopot. Niby życzliwa mi osoba za szybko wyszła, chyba nawet nie zauważyłem jej twarzy.

– Niech pan spocznie – odezwał się pan Franek, którego niesprawiedliwie uznałem za „osiłka", podsuwając mi szerokie krzesło. – Może podać panu wody? – dalej pytał życzliwie? – Janek przynieś mineralną – osiłek polecił chłopakowi stającemu w drzwiach.

– Tak jest, trenerze – po wojskowemu odpowiedział chłopak i pobiegł gdzieś. Nie było go tylko przez niedługą chwilę.

– Niech pan siada – tym razem do mnie – powiedział „trener".

Woda była wyśmienita, aż szczypała w zęby.

Cicho podziękowałem za wodę.

– Proszę też podziękować uczniowi. Bardzo usłużny chłopak…

– No… niechby… – zdecydowanie odezwał się trener Franek.

To szkoła, internat, czy… – Gdzie ja trafiłem? – zastanawiałem się nieustannie. Jedni podejrzewają mnie, że od samego rana jestem pijany, drudzy są bardzo grzeczni albo nieoczekiwanie władczy. Przecież nie mogłem pomylić tego miasteczka z innym. Ruiny zamku na bardzo wysokiej górze były znakiem wystarczającym. Kiedyś nawet pisałem o nim…

Postanowiłem jak najszybciej skończyć tę nieoczekiwaną komedię, w którą tak przypadkowo wpadłem z powodu głupiej laski.

– Dziękuję bardzo, panie trenerze…

– Proszę bardzo.

Określenie, jakim zwróciłem się do pana Franka-trenera, uznał za normalność. Może rzeczywiście był trenerem czegoś lub kogoś…

Z wdzięczności nisko pochyliłem głowę i zacząłem wychodzić.

– Może pomóc panu? – Znowu przemówiła przez pana Franka-trenera tylko życzliwość. – Policją niech się pan nie przejmuje… ona zawsze tak. Ta stara… – połknął następne słowo albo z wrażenia nie usłyszałem go…

– Nie, nie. Jakoś dojdę… – ledwie wybąkałem.

– Jak pan woli.

– Dziękuję za życzliwość…

Bardzo zaskoczony i jeszcze więcej rozgoryczony z powodu mojej zapomnianej laski, która tego dnia przysporzyła mi tyle kłopotów, powoli ruszyłem do samochodu. W dużych oknach – chyba jednak szkoły – roiło się od ciekawskich głów, które – wydawało mi się – uważnie mnie obserwowały… ■

Anioły

Spotykałem go wiele, wiele razy, nieraz nawet niespodziewanie bardzo długo rozmawialiśmy, gdyż zawsze zaskakiwał mnie swoimi dziwnymi opowieściami o ptakach, aniołach, ziołach i Bóg wie jeszcze o czym… Nie zaprzeczałem jego słowom, wierzyłem im niemal tak bardzo, jak on sam im wierzył. Wierzyłem lub udawałem, a może tylko udawałem, że wierzę… w ten sposób zawsze miał bardzo uważnego słuchacza, albo bajarza… Oto jedna z jego pięknych opowieści, jak większość z nich, niemal niewiarygodnych…

Dni płynęły mu bardzo wolno. Nie narzekał, że słońce grzeje, aż trzeba zdejmować złachmanioną jesionkę, wytarty waciak, sweter pamiętający matkę, a nawet zzuwać gumowce. Nie psioczył na deszcz, chociaż nieraz zmoczył go do przysłowiowej suchej nitki. Każdą pogodę przyjmował ze spokojem. Tylko anioły nastręczały trochę kłopotu, ale i tego nie krzywdował sobie.

Anioły pojawiały się zawsze przed południem w upalne dni. Ledwie przymknął zmęczone słońcem oczy, zaczynały krążyć. Początkowo, niby pożerając soczystą trawę, obchodziły go dookoła, jakby sprawdzały zamknięcie oczu. I… nagle zrywały się do szaleńczego biegu, przepadały w zbożach albo w lesie.

Były to bardzo kalekie Anioły. Nie miały skrzydeł ani złotych kędziorów wokół uszu, tylko po cztery nogi zakończone racicami i nieustannie liniejącą sierść na grzbiecie. Jeden nawet kulał na przednią nogę. Mimo niesympatycznego wyglądu i innych braków, mogły znienacka podkręcić ogony i niemal poszybować nad polami.

Podnosił się dość ociężale... Już ledwie zamykał oczy, wiedział, że zaraz będzie musiał podnieś się i „polecieć" za swoimi aniołami. Patrząc na nie, wyobrażał sobie, że są prawdziwymi aniołami, niemal boskimi. Nawet czekał na ten moment ich ucieczki. Przed południem kilkakrotnie przymykał oczy, ale jego anioły zrywały się tylko jeden niespodziewany raz. Musiał od razu zrzucić jesionkę, mocno chwycić kostur i dyrdać za nimi. Po kilkudziesięciu metrach przystawał, starczymi płucami łakomie chwytał powietrze i patrzył, jak aniołom odrastają duże skrzydła, a złote pierze pokrywa liniejącą na grzbietach sierść. Anioły dostawały skrzydeł i stawały się prawdziwymi aniołami. Wtedy zrzucał stary waciak i biegł dalej. Potem zrzucał sweter, rozpinał koszulę, na koniec zzuwał gumowce. Nigdy jeszcze nie dogonił swoich aniołów, ale za każdym razem czynił nadludzkie wysiłki. Szybko znikały za górą. Już domyślał się, że poszybowały prosto do wioski, więc zaczynał iść wolno, nawet się wlec.

Góra, oddzielająca ich od wioski, była wysoka, należało częściej i dłużej odpoczywać, niż podczas biegu za aniołami. Mocno wspierać się na kosturze i dłużej odpoczywać. W pogoni za aniołami utytłał się zawsze do pasa, porozrzucał ubranie na polach. Szybko chwytał powietrze i odpoczywał bardzo długo. Gospodarz ciągle był niezadowolony z jego powrotów bez aniołów, chociaż one już stały w cieniu wiśni i spokojnie przeżuwały trawę. Wszystkie złości gospodarza skupiały się teraz na nim. Musiał z pokorą przyjmować przekleństwa, bolesne kije i głodować przez resztę dnia. Ciało i tak było obolałe, więc kije nie bardzo odczuwał, głód zaspokajał starą marchwią albo chlebem od sąsiadów.

Mimo licznych przykrości, zadowolony był ze swoich aniołów. Cieszył się każdą ich ucieczką. Jeszcze kiedyś, dwa, trzy lata temu nazad, w pół drogi doganiał je i dalej „leciał" z nimi razem. A jeszcze dawniej, dawniej temu nawet lepszy był od aniołów – o ho, ho, ho! doganiał je i wyprzedzał. Jakby jemu także odrastały duże skrzydła,

a złociste pierze pokrywało łachmany. Czuł się wtedy również aniołem – o ho, ho!!!

To na świętego Tadeusza tak go połamało. Nie chciał iść wtedy z aniołami. Nie lada przymrozki już były. Czuł się zmęczony. Chrześniak go odwiedził, wódką poczęstował, a on niezwyczajny był żadnych trunków. Sołtys na nic nie zważał, kategorycznie polecił iść z aniołami. Poszedł, choć od tego trunku chrześniaka mentlik miał w głowie. Pod starą gruszę tylko doszedł i spoczął pod nią na swoje nieszczęście. Najpierw mróz, potem spory deszcz poszedł z nieba. Przemoczył go dokładnie, choć spało mu się smacznie… i zaniemógł wtedy. Nie mógł rozgrzać prawej nogi, od kolana do stopy. Zimna była i bardzo bolała. Od kilku lat słabował nieustannie na tę nogę. Kostur wiele nie pomagał. Już tylko kilka metrów mógł „polecieć", ale potem brakowało tchu i długo odpoczywał. Mimo wysiłków, coraz bardziej zostawał w tyle. Anioły odlatywały same. Bał się tych samotnych odlotów, bo mogły wejść w szkodę, a wtedy zawsze kończyło to się wielkim rabanem. Ale najbardziej obawiał się dnia, w którym zasłabnie całkowicie i nie wyjdzie z aniołami na pastwisko. Kto wtedy będzie patrzył na ich odloty? Czy nowy pastuch przyjmie obelgi gospodarza, żeby anioły mogły sobie polatać? Czy za ucieczkę nie będzie aniołów bił? Bał się tego dnia bardzo i czuł, że zbliża się on coraz szybciej. Mógłby już powiedzieć gospodarzowi, że dzisiaj, jutro i każdego następnego dnia nie pójdzie z aniołami na pastwisko. Nawet wieczorem, gdy nogi bolały bardzo, szczególnie to prawa, a płucom brakowało powietrza, obiecywał sobie, że jutro będzie leżał cały dzień… Tak sobie obiecywał, ale rankiem zwlekał się z barłogu i szedł z aniołami. Pokonywał starość, choroby i wychodził.

Opowiadał też o diabłach, ale rzadko, bo nie chciałem zbyt długo go słuchać. Obawiałem się tych diablików z rogami, szczególnie właśnie ich rogów. Zawsze mogli nadziać na nie największego świętego i unieść gdzieś w przestworza. I ich ogonów merdających wokół ciała i kujących okrutnie też się obawiałem. Dlatego wolałem jego anioły.

Wreszcie nadszedł ten najgorszy dzień. W nocy nic go nie bolało, ale rano nie miał siły się podnieść. Nie słyszał pomstowań gospodarza, nie czuł razów jego kija. Cały dzień przeleżał w komórce przylegającej do chlewa i czekał. Nie mógł doczekać się powrotu aniołów. Usiłował wyobrazić sobie, jak krążą wokół nowego pastucha, żeby uśpić jego czujność, jak nagle podkręcają ogony i odlatują... Ale anioły spokojnie pożerały trawę i ani razu nie chciały poderwać się do lotu mimo jego próśb i nawoływań. Przyleciały dopiero późną nocą, kiedy zasypiał... Długo lizały jego zimne ciało. ■

Brzoskwinia

Powróciliśmy z dwutygodniowego „wypoczynku" u córki, której dzieciakami należało się teraz opiekować. Żona pragnęła już odpoczynku „na swoich śmieciach", ja także. Po przyjeździe do domu, następnego dnia od rana należało się zabrać przede wszystkim za ogród, który porósł tu i ówdzie wysokimi chwastami, kępami dzikiej trawy, a opaski wokół murów pokryły liście łopianu, rdestu i ostu. Wyglądały niewyobrażalnie brzydko. Zobaczywszy to, żona najpierw chwyciła się za głowę, potem rozpłakała. To, czemu zawsze poświęcała każdą wolną chwilę, teraz prezentowało „obraz nędzy i niemal rozpaczy".

Bez słowa ruszyłem za nią do pielenia. Po kilku minutach, żeby przyspieszyć ruchy rąk, zrzuciliśmy robocze rękawice. Zdecydowanie przeszkadzały przy pieleniu. Ręce, gdyby nawet pojawili się jacyś niespodziewani goście, wyszoruje się proszkiem, a czasu na pielenie niczym nie nadgoni. Pierwszy odpoczynek przypadł dopiero po trzech godzinach – na kawę. Picie wody kubkiem bezpośrednio z kranu dla małej ochłody nie należało do odpoczynku. Drugi odpoczynek przypadł dopiero po południu, kiedy pielenie zostało zakończone i żona oceniła je nie nazbyt krytycznie.

Siedliśmy na płaskim kamieniu w cieniu rozrosłego orzecha. To było największe drzewo w naszym ogrodzie. Nieoczekiwanie żona przytuliła się do mojego spoconego ramienia i filuternie zapytała.

– Pamiętasz?

Nie zrozumiałem pytania, dopóki nie spojrzałem na nią i nie zobaczyłem jej lekko uniesionej głowy i ciepłych oczu skierowanych na niskie drzewko. Blisko orzecha, jakby również w jego cieniu, rosła brzoskwinia, która miała już dojrzałe owoce. Nie było ich dużo, ledwie dziewiętnaście. Liczyłem je przy każdym „obchodzeniu" ogrodu i delikatnie dotykiem sprawdzałem stan twardości. Musiałem uważać, żeby nie odgnieść owoców. Dziś już wydawały się w pełni dojrzałe. Różowo-złoty kolor, nabrzmiałość od soku i ta „włochata" delikatność, prowokująca do zanurzenia zębów w miąższu z całą łapczywością, kusząca do rozsmakowania w jego świeżości, najlepiej o tym świadczyły. Szczególnie ten owoc na najwyższej gałęzi, najmocniej wystawiony na deszcz i słońce nęcił najmocniej.

Nieoczekiwanie i ku własnemu dużemu zaskoczeniu powrócił czas pierwszych naszych małżeńskich wakacji ledwie zobaczyłem oczy małżonki. Mieszkaliśmy w Lublinie na stancji przy ulicy Kalinowej w willi, której właścicielem był ojciec dwóch córek. Starszej byłem wychowawcą, młodszą uczyłem języka polskiego. W tym wyrażała się moja naiwność życiowa – mieszkanie u uczennic. →

Wiosną żona zaszła w ciążę. Znosiła ją dość dobrze, nieraz jednak miewała wielką ochotę „na coś mało określonego". Przed oknem naszego pokoju na niskim parterze rosła mała brzoskwinia. Tego lata wydała piękny owoc, ale tylko jeden – taki wybryk natury. Gospodyni często podlewała ją tak samo, jak i inne owocujące drzewa, jakimiś miksturami, ale tylko owoc brzoskwini urósł szczególnie piękny. Żona poświęcała mu swoją uwagę w każdej wolnej chwili. Najczęściej stała przy oknie lub siedziała na parapecie i przyglądała mu się niemal godzi-nami. Od pewnego czasu nawet zaczęła się zastanawiać, jak może smakować taki owoc? Ile może ważyć? Czy stać nas na jego kupienie? Czy nosi w sobie zarodek nowego owocu? Mocno mnie zaskakiwała tymi natrętnymi pytaniami. Odczytałem je jako aluzję do naszego dzieciaka, który miał przyjść na świat za kilka tygodni. Po każdym pytaniu spoglądała na mnie bardzo uważnie, w jej smutnych oczach widziałem rezygnację i pogodzenie się z faktem, że brzoskwinia nigdy nie będzie należała do niej ani nie pozna jej smaku, więc i nie odpowiemy sobie na pytanie o zarodek.

Na początku sierpnia upływał termin rozwiązania ciąży. Oczekiwaliśmy pierwszego bólu już od kilku dni. Pojawił się wczesnym przedpołudniem w czwartek, w bardzo słoneczny, piękny dzień.

– Bądź gotowy. To chyba już? – powiedziała lapidarnie moja małżonka, patrząc na brzoskwinię. – Jednak trochę się boję. Będziesz ze mną cały czas? Pytała dalej.

Małżonka pierwszy raz powiedziała o strachu, czym byłem zaskoczony, gdyż wśród koleżanek uchodziła za bardzo odważną osobę.

– Jeżeli mi tylko pozwolą… – odpowiedziałem dość wymijająco.

– Może jednak… Wanda obiecywała pomóc.

– Zadzwonię do niej albo pójdę na oddział… Może mnie wpuszczą?

Też odczułem drobny strach.

Wanda to była starsza koleżanka żony, mająca spore „chody" na położnictwie. Łączyłem z nią duże nadzieje na pomoc przy porodzie naszego malucha. Obiecała mi to dość dawno. Podczas ostatniego spotkania potwierdziła swoje zobowiązanie.

W tej sytuacji dłużej się nie zastanawiałem. Wyskoczyłem przez okno, osadzone było nisko nad ziemią, bez względu na konsekwencje zerwałem jedyny owoc w ogrodzie i wróciłem do małżonki. Przytulona do mnie, jadła brzoskwinię z wielkim apetytem, aż po jej brodzie obficie spływał sok… Nim po tygodniu zabrałem ją z córeczką ze szpitala, musiałem znaleźć nowe mieszkanie dla rodziny. Jeszcze tego wieczoru gospodarz wymówił nam stancję za „zniszczenie" owocu brzoskwini, co powtarzał już

wielokrotnie. Od tamtej pory pod dotychczasowy adres ani razu więcej nie zajrzałem, korespondencję przynosiła mi do szkoły uczennica, której byłem wychowawcą. Na nowej stancji w pierwszej kolejności prosiłem nowego gospodarza o pozwolenie na posadzenie brzoskwini. Bez słowa wyraził zgodę, jeszcze poczęstował papierosem. Również w Kielcach, w naszym miejscu docelowego zamieszkania, przy Krakowskiej Rogatce, posadziłem w pierwszej kolejności brzoskwinię.

Teraz, siedząc na płaskim kamieniu pod własnym orzechem, poczuwszy ciepły dotyk żony i zauważywszy jej oczy skierowane na naszą brzoskwinię, powróciła do mnie tamta pierwsza sytuacja, której już nie pamiętałem od wielu lat. Powróciły i następne przykre sytuacje – jak wielokrotne zmiany stancji, nim po 13 latach dostaliśmy „swoje" mieszkanie w bloku, częste choroby dzieci i moja, z których jednak zawsze wychodziliśmy obronną ręką… I tym razem zerwałem brzoskwinię bez zastanowienia, nie sprawdzając, czy jej owoc jest dostatecznie dojrzały. Żona jadła ją z wielkim apetytem, nie zważając na sok, który obficie spływał jej po brodzie. Nieoczekiwanie dopiero teraz zauważyłem, że nasz ogród, po przeprowadzce na nową stancję przy ulicy Rezedowej i po następnych, urządzany przez moją żonę, w znacznym stopniu przypominał ogród naszej pierwszej stancji i pierwszych trudnych doświadczeń, których potem było tak wiele, ale które zwykle przyjmowaliśmy przytuleniem do siebie i pogłębianiem małżeńskiego przymierza w kolejnych latach.

PS. Kiedy późnym wieczorem przeczytałem żonie tę opowiastkę, rozczuliła się do łez i powiedziała ciepło:

– Bardzo piękna. Ach, jak bym jeszcze raz zjadła taką brzoskwinię, nie wyobrażasz sobie!

Bez zastanowienia nasunąłem łapcie na nogi i ruszyłem do ciemnego o tej porze ogrodu. Spodziewałem się, że dobrze zapamiętałem miejsce na drzewie, na którym wisiała brzoskwinia wypatrzona w ciągu dnia przez żonę po naszym powrocie z „wczasów"…

Stanisław Rogala

Zbigniew
Lubaszewski

Paulina Hołyszowa

Jeśli ktoś zapytałby o pierwsze skojarzenie z chełmską poezją ludową, to niewątpliwie pojawić by się musiała Paulina Hołyszowa [1892(?)–1975].

Trzeba przyznać, że dotyczyłoby to nawet osób w dosyć luźny sposób zainteresowanych tak specyficznym nurtem literatury, jakim jest poezja ludowa. W jaki sposób ta prosta kobieta, która czytać nauczyła się przy pomocy książeczki do nabożeństwa otrzymanej od ojca (i przemyconej z Galicji), stała się powszechnie kojarzonym symbolem chełmskiej twórczości ludowej? Trzeba przyznać, że sama w sobie historia tej kariery jest niezwykła, tak jak zresztą niezwykłe jest życie każdego konkretnego człowieka o określonych zdolnościach i motywacjach działania. Chociaż, jak zwykle, niewątpliwie spory wpływ miały także określone warunki historyczne, które w znacznej mierze ukształtowały przyszłą adeptkę poezji lub miały dosyć zasadniczy wpływ na jej życie, nie mówiąc o konkretnych doświadczeniach osobistych (lub raczej pewnych komplikacjach osobistych).

Na świat przyszła Paulina Hołyszowa pod koniec okresu zaborów. Urodziła się miejscowości Strupin (z czasem podzielonej na Strupin Duży, Mały i Łanowy). Pochodziła z rodziny Hurków, w której napotkać można było zarówno katolików, jak i unitów (uznanych ukazem carskim w 1875 r. za wyznawców prawosławia). Wyrastała w atmosferze narastającej rusyfikacji. Skomplikowało to nawet kwestię daty jej urodzin. Według własnych wspomnień urodziła się 4 lipca 1892 r. Jednak z racji rusyfikacyjnych komplikacji (rodzina była zmuszana do ochrzczenia dziecka w cerkwi prawosławnej), prawdopodobnie nie została ochrzczona bezpośrednio po urodzeniu. W niektórych biogramach, m.in. w artykule Stefana Aleksandrowicza *Łozy na „Guziku"*, zamieszczonego w „Twórczości Ludowej" (1989, nr 4, s. 6–8, 16–17) pojawia się informacja, że rodzice wywieźli córkę do Lublina, gdzie miała zostać ochrzczona w kościele katolickim (podobnie zresztą jak młodsi bracia Wacław i Jan). Czasami moment chrztu w Lublinie przesuwano na wiek szkolny. Z zachowanych ksiąg metrykalnych wynika jednak, że Paulina Hurko została ochrzczona w kościele parafialnym pw. Rozesłania Świętych Apostołów w Chełmie, jednak dopiero w wieku pięciu lat (świadkami byli Karol Strelczuk i Karol Wójciuk). Taki wniosek można wyciągnąć z treści aktu urodzenia, chociaż przyszła poetka

Na ławeczce Pauliny Hołyszowej (od lewej) Zbigniew Lubaszewski, Danuta Kurczewicz, Zbigniew Waldemar Okoń

figuruje w zestawieniu osób urodzonych w 1897 r. Rodzice przyszłej poetki, Józef i Marianna ze Strelczuków, należeli do osób zaangażowanych w działania patriotyczne. W okresie zaborów dom Hurków był punktem kontaktowym dla emisariuszy z Galicji, którzy dostarczali do zaboru rosyjskiego książki i prasę (w tym wspomnianą na wstępie książeczkę do nabożeństwa). Po odzyskaniu niepodległości Józef Hurko objął funkcję wójta gminy Krzywiczki. W artykule Stefana Aleksandrowicza *Patriotyczno-religijna poezja Hołyszowej*, również zamieszczonym w kwartalniku „Twórczość Ludowa" (1995, nr 4, s. 24–25) pojawia się nawet informacja, że u Hurków na obiedzie gościł rtm. Gustaw Orlicz-Dreszer, komendant Chełma po rozbrojeniu Austriaków 2 listopada 1918 r. (i organizator 1 Pułku Ułanów, z czasem Szwoleżerów). Trudno zweryfikować tę informację, chociaż jest możliwe, że w trakcie rekrutacji ochotników lub pozyskiwania koni, Orlicz-Dreszer zawitał do chałupy Hurków (w sumie byłby to dosyć malowniczy lub wręcz filmowy epizod). Do tworzonych formacji trafił zresztą wspomniany brat Jan, który ranny w trakcie walk zmarł jako szeregowiec WP w 1921 r.

Kolejną komplikacją był wspomniany na wstępie problem edukacji. Można z dużą dozą pewności założyć, że patriotycznie nastawieni rodzice nie widzieli możliwości wysłania córki do rosyjskiej szkoły, chociaż jako osoby świadome doceniali znaczenie wykształcenia. W efekcie córka nie ukończyła żadnej szkoły w czasach młodości, a czytać i pisać nauczyła się w domu (w drugim przypadku nauczycielem był sąsiad Mikołaj Nowosad), niewątpliwie dzięki dużym wrodzonym zdolnościom. Jej edukacją historyczną zajmował się ojciec. Formalne wykształcenie uzyskała dopiero w latach 1916–1917 na przyspieszonym kursie dla dorosłych. Taką informację podał Jan Adamowski w krótkim biogramie Pauliny Hołyszowej opublikowanym w 1995 r. w „Twórczości Ludowej" (nr 5, s. 28). Rejon Chełma znajdował się wtedy pod okupacją Austriaków, którzy pozwalali na tworzenie polskich szkół elementarnych i inne działania w zakresie edukacji.

W dojrzałym życiu spotkały ją kolejne komplikacje, tym razem rodzinne. W 1918 r. wyszła za pochodzącego z Rożdżałowa Tomasza Hołysza. O decyzji w znacznej mierze zaważyła wojskowa przeszłość kandydata na męża. Tomasz Hołysz w 1915 r. został żołnierzem II Brygady Legionów Polskich (służył w 2 Pułku Ułanów) i powrócił do Strupnia w efektownym skądinąd mundurze legionisty. Niestety, małżeństwo było bezdzietne i rozpadło się po dziesięciu latach. Po odejściu męża Paulina Hołyszowa zamieszkała u rodziny, a następnie w wybudowanej przy pomocy sąsiadów jednoizbowej chałupie. Brak potomstwa zapełniała intensywnym dokształcaniem. W 1926 r. ukończyła Sejmikowy Kurs Gospodarstwa Wiejskiego w Sawinie. Brała również udział w zajęciach dokształcających w Pokrówce. Zaangażowała się

także w działalność społeczną, a trzeba podkreślić, że międzywojenny Strupin Duży był miejscowością dosyć aktywną (podobnie jak inne wioski w okolicach Chełma). Należała do Koła Związku Młodzieży Wiejskiej „Siew", a następnie do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Od 1936 r. była przewodniczącą powiatowej organizacji Kół Gospodyń Wiejskich w Chełmie.

Brak bliskiej rodziny i dzieci miał niewątpliwie duży wpływ na jej zainteresowanie twórczością poetycką. Pisanie wierszy rozpoczęła prawdopodobnie w latach 1916–1917, chociaż w 1964 r. obchodziła 40-lecie twórczości poetyckiej (czyli pierwsze wiersze mogły powstać w 1924 r.). Punktem wyjścia było gromadzenie przyśpiewek, pieśni, przysłów, wierzeń i obrzędów ludowych. Na podstawie zebranych materiałów w 1933 r. napisała widowiska obrzędowe *Dożynki* i *Nasze wesele* (ukazały się drukiem w 1966 r.), wielokrotnie wystawiane z udziałem mieszkańców Strupnia. Śpiewała także w chórze prowadzonym przez nauczyciela Bolesława Remiszewskiego (również żołnierza Legionów). Zajmowała się również rękodziełem i uprawiała malarstwo. Jej skromny dom stał się z czasem ośrodkiem kultury, gromadzącym młodzież i ludzi dorosłych przy tradycyjnych zajęciach wiejskich, którym towarzyszyły śpiewy i zabawy. Zwana przez mieszkańców Strupina „Ciotką Pauliną" cieszyła się sporą popularnością. Rzadko opuszczała swoją rodzinną miejscowość. Nie licząc kilku wyjazdów do Chełma, uczestniczyła tylko w dwóch „dalszych" wyjazdach. W 1928 r. na wycieczkę nad morze do Gdyni, a w 1939 r. do Warszawy.

Podczas II wojny światowej opiekowała się osieroconymi dziećmi. Współpracowała również z dosyć rozbudowanymi w okolicy Strupnia strukturami podziemia. Po wojnie nadal aktywnie uczestniczyła w życiu społeczno-kulturalnym swojej wsi, angażując się m.in. w budowę nowej szkoły w Strupinie Dużym oraz szosy i świetlicy wiejskiej. Działała również w Gminnej Radzie Narodowej Gminy Krzywiczki (do momentu, kiedy została skreślona z listy radnych za rzekome nieobecności). Nadal jednak przede wszystkim zajmowała się szeroko rozumianą twórczością ludową. Z publikacji Ireneusza Jana Kamińskiego *Gorące dni kultury 1944–1948*, (wydanej w 1978 r. w Lublinie) wynika, że znaną już w kręgach literackich przed wojną Paulinę Hołyszową próbowano zainteresować Wydział Kultury i Sztuki Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. Starostwo Powiatowe w Chełmie rekomendowało ją jako osobę tworzącą okolicznościowe wiersze dla dzieci szkolnych i dorosłych. Mimo deklarowanej otwartości na poezję ludową, utwory chłopskich poetów oceniono jednak jako pozbawione wartości grafomaństwo, charakteryzujące się brakiem „elementarnego poczucia kategorii poetyckich".

Dorobek Pauliny Hołyszowej był już w tym czasie tak spory, że podjęła samodzielną próbę wydania swych wierszy. Niestety, również nie znalazła zrozumienia u ówczesnych władz. Według spisanych przez Marię Ginalską wspomnień (w artykule opublikowanym w „Kurierze Lubelskim" w 1958 r., nr 135/136, s. 4): „Zaraz po wojnie człowiek nie miał do tych spraw głowy i warunków. Aż dopiero w roku 1951 zaniosłam do Chełma swoje *Dożynki* i wiersze. Ale pracownik, z którym rozmawiałam (pracuje nadal w powiatowej radzie w Chełmie), nasz wspaniały polonez nazwał burżuazyjnym tańcem i nie pozwolił go wystawić. A gdy przeczytał moje wiersze zaczął krzyczeć, że to wszystko przepisane z Konopnickiej i powinnam pisać tak, jak to wtedy, jednakowo… według wzorów nakazanych". Z relacji wynika, że Paulina Hołyszowa padła ofiarą… socrealizmu. Rzeczywiście w systemie kontrolującym wszelkie przejawy aktywności społecznej, nie było miejsca na twórczość pełną odwołań do tradycji i nasyconych religijnością zwyczajów.

Dzięki artykułom Marii Ginalskiej (opublikowała również artykuł w „Kamenie" w 1958 r., nr 16, s. 2) i Longina Jana Okonia, który opisał poezję Pauliny Hołyszowej w artykułach: *Pługiem pisana poezja* w „Nowym Nurcie" (1958, nr 27, s. 11) oraz *Wyśpiewane za pługiem* w „Sztandarze Ludu" (1958, nr 143, s. 4B), twórczość Pauliny Hołyszowej została w pełni odkryta i bardzo szybko stała się niezwykle popularna. W 1959 r. twórczość poetki ze Strupina opisała prof. Alina Aleksandrowicz w artykule *Literatura ludowa Ziemi Chełmskiej*, zamieszczonej w wydawnictwie Ziemia Chełmska (Materiały z sesji naukowej historyków odbytej w Chełmie 21 czerwca 1959 r.) (Lublin 1961, s. 234), uznając Paulinę Hołyszową za „zanikający obecnie typ pieśniarza ludowego, tworzącego dla potrzeb środowiska i czerpiącego inspiracje z tego środowiska".

Formalnie zadebiutowała na łamach jednodniówki „Ziemia Chełmska" w 1960 r. W 1966 r. zostało wydane *Nasze Wesele*. Sztuka została także sfilmowana w 1968 r. przez Amatorski Klub Filmowy „Miś" z Chełma (jako Wesele Strupińskie). Dzięki uznaniu i coraz bardziej rosnącej popularności w 1968 r. została członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Należała również do Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej oraz Grupy Literackiej „Pryzmaty" w Chełmie. Już w 1961 r. otrzymała m.in. Nagrodę Kulturalną Województwa Lubelskiego. W 1973 r. została wyróżniona Nagrodą Artystyczną im. Jana Pocka. Pod koniec życia przygotowywała inscenizację widowiska *Cztery pory roku*, której ostatecznie nie udało się wystawić (m.in. z powodu braku zainteresowania władz).

Pierwszy zbiór wierszy z posłowiem prof. Michała Łesiówa ukazał się już po śmierci poetki, w 1976 r. (*O grudko mojej ziemi*). Jej wiersze były regularnie zamieszczone w kilku antologiach poezji ludowej: *Wieś tworząca* (Lublin 1962, 1966, 1968), *Od Bugu do Tatr i Bałtyku* (Lublin 1965), *Wiersze proste jak życie. Antologia współczesnej polskiej poezji ludowej* (wstęp i redakcja Roman Rosiak, Lublin 1966), *Antologia współczesnej poezji ludowej* (opracowanie Jan Szczawiej, Warszawa 1972), *Nasz chleb powszedni* (wybór i posłowie Stefan Aleksandrowicz, Lublin 1983), *Antologia poezji ludowej 1830–1980* (wybór Jan Szczawiej, Warszawa 1985), *Całe bogactwo domu* (wybór i wstęp Stefan Aleksandrowicz, Lublin 1986), *Ojczyzna* (wybór i opracowanie Stanisław Weremczuk. Lublin 1987), *Strofy sercem pisane. Antologia poezji chełmskiej* (2000), *Z natchnienia prostego. Wiersze poetów ludowych ziemi chełmskiej* (opracowanie Zbigniew Waldemar Okoń, Lublin 2000) i *Zostaje ślad. Antologia literatury ludowej ziemi chełmskiej* (wybór, wstęp i opracowani Zbigniew Waldemar Okoń, Chełm 2001). Pośmiertnie ukazały się jeszcze zbiory wierszy: *Wiosna nad ziemią polską* (1994) i *Pieśni mojej duszy. Utwory wybrane* (2004). Pozostawiła również szereg rękopisów (m.in. *Noc świętojańska*, *Doświtki*, kilka wersji *Dożynek*), przechowywanych w Muzeum Ziemi Chełmskiej im. Wiktora Ambroziewicza w Chełmie (jako depozyt Muzeum Wsi Lubelskiej). Monografię poświęconą twórczości Pauliny Hołyszowej przygotował Andrzej Seweryn z Katedry Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego.

Wiersze Pauliny Hołyszowej posiadają kilka charakterystycznych cech. Bardzo zauważalna jest w nich szczerość oraz umiejętność niezwykle dojrzałego (w pełni świadomego) spojrzenia na swoje życie i swoją twórczość. Elżbieta Rosiak w artykule *Chełmscy poeci ludowi* zamieszczonym w „Kamenie" w 1970 r. (nr 1, s. 10) zwróciła uwagę, że w wielu wierszach (m.in. *W tych wierszach* i *O mojej ścieżynie*) poetka traktowała swoją twórczość jako bardzo nieudolną, co jej zdaniem wynikało z braków w wykształceniu. Mimo tych niewątpliwych kompleksów, kierowana głęboką motywacją, tworzyła swoje wiersze, które nadawały sens jej trudnemu życiu. Dzięki takiemu nastawieniu, w jej wierszach było dużo emocji i czasami smutna zaduma nad samotnością (Ni kolędy z kim śpiewać/ Ni do kogo gadać/ Wzięłam pióro i będę/ swoje rymy składać) oraz, chyba dosyć charakterystyczne, dla twórców ludowych pogodzenie się z losem (Łokciami się nie rozpycham/ bo by mnie bolały/ chodzę sobie tą ścieżyną/ którą losy dały). Ponadto w twórczości Pauliny Hołyszowej można odnaleźć typowe dla poezji ludowej motywy, takie jak zachwyt nad przyrodą, opisywanie trudu chłopskiej pracy, swoiste pogodzenie się z trudnym losem, religijność i przyzwyczajenie do wierzeń i zwyczajów. Nieobce były jej także motywy patriotyczne, szczególnie w wymiarze lokalnym (z wyjątkową atencją traktowała ziemię chełmską i symbolizującą ją Matkę Boską Chełmską). Znaczna część wierszy była też swoistą reakcją na bieżące i codzienne wydarzenia (np. śmierć bliskiej osoby), co również można uznać za charakterystyczną cechę poezji ludowej.

Medal PTTK 1978

Paulina Hołyszowa zmarła 7 października 1975 r. w swoim domu w Strupinie Dużym i została pochowana na cmentarzu przy ul. Lwowskiej w Chełmie. Ostatnie chwile jej życia opisał Stefan Aleksandrowicz w artykule *Dookoła pachnąca* („Kamena" 1980, nr 5, s. 12). Jej skromna chata, mimo wpisania do rejestru zabytków i dosyć zaawansowanych planów przeniesienia do Muzeum Wsi Lubelskiej (storpedowanych przez władze wojewódzkie w Chełmie), z czasem się rozpadała (przez wiele lat „społecznie" opiekował się chatą brat poetki Wacław Hurko). Poetka pozostała jednak w pamięci mieszkańców Strupina (przez wiele lat w wybudowanej przy jej udziale szkole organizowany był Gminny Konkurs Recytatorski im. Pauliny Hołyszowej) i Chełma. Dla jej uczczenia w 1979 r. Oddział PTTK w Chełmie wybił pamiątkowy medal. W uznaniu zasług jej imię w 1989 r. otrzymała jedna z ulic Chełma, usytuowana na osiedlu „Wołyńska". W specjalny sposób uczczono Paulinę Hołyszową w bieżącym roku, w 130. rocznicę urodzin. Z inicjatywy władz gminy została odsłonięta ławeczka z figurą poetyki (przy świetlicy w Strupinie Dużym) oraz zorganizowano festyn poświęcony jej twórczości. W trakcie imprezy zostały wręczone nagrody laureatom I Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Pauliny Hołyszowej oraz specjalnie wybite z tej okazji Medale Pamiątkowe z wizerunkiem poetki. Odbyła się także promocja pierwszego tomu *Dzieł zbiorowych* Pauliny Hołyszowej, noszącego tytuł *Wiersze jak moja dola*.

Zbigniew Lubaszewski

O, grudko mojej ziemi!

Paulina Hołyszowa

O, grudko mojej ziemi!
O relikwio święta!
Jakaś siła nas razem
łączy niepojęta!

Ty czujesz w mej dłoni,
jak krąży krew moja,
ta krew, co we mnie tętni,
to krew przecież twoja.

Bo te soki żywotne,
co dajesz obficie
w krew się we mnie zmieniają
i dają mi życie.

Te dziady i pradziady,
co śpią w twoim łonie,
i to co na powierzchni
twej siane w zagonie.

To wszystko jest mój pokarm,
i ciała, i duszy,
żyję tym jak roślina
deszczem w letnie susze.

Ty wszędzie jesteś moim,
ojczysty zagonie,
czy tu, czy w innej
kraju mego stronie.

Czy na szczytach tatrzańskich,
czy na pojezierzu,
wszędzie ja z tobą jestem
w jednakim przymierzu.

Boś ty jest, ziemio ojczysta,
moim miłowaniem,
Boś ty jest wszystką moją siłą
i wzrastaniem.

Nikt mnie i nic od ciebie
oderwać nie może,
choćby mnie los zapędził
za dziesiąte morze.

Wszędzie ja będę widzieć
nasze łany polskie,
gdzie dla mnie wszystko drogie
i gdzie wszystko swojskie.

Niejeden z twoich synów,
idąc w obce strony,
wziął ze sobą grudeczkę
ziemi swej rodzonej.

I schował do zanadrza
to swoje kochanie,
by czerpać na obczyźnie
siłę i wytrwanie.

A wracając z tułaczki,
dojrzał ziemię – macierz,
schylił głowę i zmówił
swój serdeczny pacierz.

Wyjął grudkę z zanadrza
i w palcach ją gniecie,
zawołał: „Oj, ziemio! Jam za ciebie
tułał się po świecie".

O, grudko mojej ziemi,
o, matko rodzona!
Gdyby cię całą mogły
objąć me ramiona,
to bym cię wywyższyła
pod stropy niebieskie.

Lecz ja jestem niezdarne,
proste dziecię wiejskie.
Cóż ja ci dam, o ziemio,
za te twoje dary,
za wszystkie twe bogactwa,
co dajesz bez miary.

O, ziemio! Ja cię swoją
pieśnią wielbić będę,
czy spojrzę na zasianą
kwieciem moją grzędę,
czy wyjdę w szczere pole,
gdzie zboże się chwieje,
czy na łąkę, gdzie słońce
do kwiatów się śmieje.

Wszędzie cię będę wielbić
pieśnią mojej duszy.
Nikt mi tego nie wzbroni,
nikt pieśni nie zagłuszy.

→

MOJE WIERSZE

Moje wiersze takie, jak moja dola.
Nie są wybujałe, jak bywa topola,
Tylko rosochate, jak ta w polu grusza.
Jak ta jabłoń krzywa, jak ma chłopska dusza.

Jak zagon konopny dziko nastroszony,
Jak ta wierzba wzrostem, gdzie ścielą się wrony.
Jak ta żerdź u płota siekierą ciosana,
nie przystała do kołka, bo nie heblowana.

O MOJEJ ŚCIEŻYNIE

Moje wiersze karłowate
po ziemi pełzają
I z wierszami panów z miasta
nigdy nie zrównają.

Ich wiersze wysokopienne,
bo z wiedzy pochodzą,
moje wiersze niziuteńkie,
bo się na wsi rodzą
.
Panów wiersze nawet w książce
memi gardzić mogą,
bo ich wiersze chodzą inno,
moje – inno drogą.

Bo ich wiersze więcej chodzą
miasta ulicami,
moje wiersze chodzą polem,
wąskimi miedzami.

Lecz ja się niczym nie zrażam
i niczym nie chwalę,
a choć czasem i co posłyszę,
to też się nie żalę.

Łokciami się nie rozpycham,
boby mnie bolały,
chodzę sobie tą ścieżyną,
którą losy dały.

W TYCH WIERSZACH

W tych wierszach nie znajdziecie,
gdzie przecinek, gdzie kropka,
bo te wiersze pisała
bez szkoły prosta chłopka.

Gdybym ja kiedyś, jak wy dziś,
po szkołach się turgała,
to bym swoje wiersze
inaczej rymowała.

A dzisiaj już za późno
babci do szkół wędrować
i z tych wierszy niezdarnych
nie ma się co dziwować.

CO JA PISZĘ

O polityce nie piszę,
bo ja ją nie rozumiem,
a jak piszę, i co piszę,
ot, tak piszę, jak umiem.

Czasem piszę, co widzę,
czasem piszę, co czuję,
i tak z tego do tego
wierszyk sobie zrymuję.

W moich wierszach jest zboże,
pola, łąki i kwiaty.
Czasem węgiel gdzieś wpadnie,
to skowronek skrzydlaty.

Czasem czas jakiś dłuższy,
coś się snuje po głowie,
siadam, piszę już zwrotkę
i już druga w połowie.

Bo ja piszę, co widzę,
czasem piszę, co czuję,
i z tego i z tamtego
wierszyk sobie zrymuję.

Paulina Hołyszowa

POLSCY ŻNIWIARZE

I poszli na trudy, i poszli na znoje,
i poszli na chłody i słoty.
Za ziemię ojczystą oddali krwi zdroje,
z nadzieją, iż zbiorą plon złoty.
Tysiące ich poszło, tysiące pobiegło
na pracę żniwiarną, na boje.
A ileż snem wiecznym przy pracy tej legło,
za Polskę, za niwę, za swoje.
A któż was nie widział, wy polscy żniwiarze,
świat w całym obwodzie wam znany.
Bo wyście we świecie kładli na ołtarze
dar krwi swej za kraj ukochany.
Z krwi, nędzy, tęsknoty,
ten dar ponadzłoty,
swój wieniec, jak z kłosów uwili.
I Panu nad Pany, za kraj ukochany,
u niebios podwoi złożyli.

DOLO MOJA, DOLEŃKO

Dolo moja, doleńko,
gdzieś ty się podziała?
Czy cię wiatry odwiały,
czy cię woda zabrała?

Wiatry cię nie odwiały,
z wodąś nie odpłynęła,
tylko ja ciebie sama,
moja dolo minęła.

Minęłam ciebie dolo
ojców mym niesłuchaniem
i minęłam cię dolo
w ludziach przebieraniem.

Ojcowie mnie radzili,
nie przebieraj niebożę,
za przebieranie w ludziach
pokaranie przyjść może.

A jakżeż było wybierać,
kiedy ich tylu było.
Dwudziestu czterech chłopców
o mnie się oświadczyło.

Mając lat osiemnaście
już zalotników miałam.
Jeszcze za mąż nie pójdę,
tak im odpowiadałam.

Byłam przecież młodziutka,
żyć zaczynałam,
a tu chcą wydać za mąż.
Nie! Nie!...
Za mąż ja iść nie chciałam.

Oj, dolo moja! Oj, dolo moja!
Oj, dolo, dolo!
Gdzieżeś się ty podziała?
Czy cię wiatr odwiał?
Czy cię wiatr odwiał?
Czy cię woda zabrała?

Wiatr cię nie odwiał,
wiatr cię nie odwiał,
z wodąś nie odpłynęła.
Tylko ja ciebie, moja doleńko,
tylko ja ciebie minęła,
samąś mnie zostawiła.

Żeby nie książki,
żeby nie książki
i tych wierszy bazgranie,
to moje życie
nie byłoby życiem,
tylko powolnym konaniem.

OJ PIEŚNI, MOJE PIEŚNI

Oj pieśni, moje pieśni,
w młodości śpiewane,
nie mogę was pozbierać,
boście rozsypane.

Wiatr was poroznosił
na różne strony świata.
Przyszła starość i wzięła
moje młode lata.

I tak mnie ze wszystkiego
starość ogołociła,
że tylko dni samotne
w darze mi zostawiła.

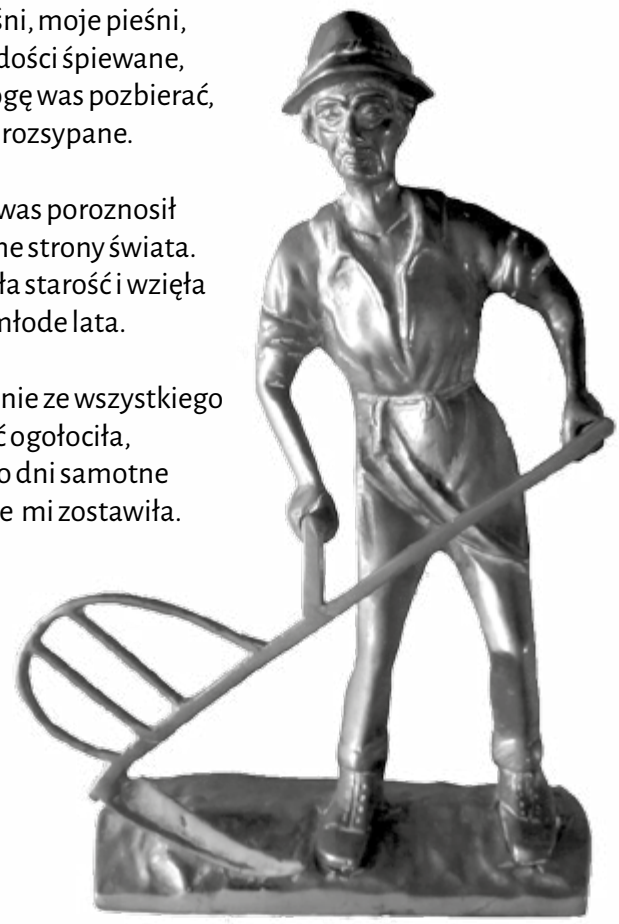

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Józefa Czechowicza

Andrzej Samborski – Nagroda za całokształt twórczości

Zbigniew Włodzimierz Fronczek – Słowo jurora

Szanowni Państwo,
w zaproszeniu na dzisiejszą imprezę, kierowanym do zainteresowanych życiem literackim naszego miasta, padły słowa „święto lubelskiej literatury". Tak, dzień wręczania Laurów Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Czechowicza to prawdziwe, światowe – rzec można śmiało – święto poezji. Konkurs – co należy przypomnieć – organizowany jest w mieście Józefa Czechowicza od lat sześćdziesięciu, od dziesięciu lat to impreza ogólnopolska. Nagroda przyznawana jest co dwa lata. Laureatami Konkursu są wybitni poeci: Elżbieta Cichla-Czarniawska, Tadeusz Różewicz, Wojciech Pestka, Bohdan Zadura, Zbigniew Strzałkowski, ale także znakomici badacze twórczości lubelskiego wieszcza, jak profesor Tadeusz Kłak, bo w myśl regulaminu Konkursu: *jury może nagradzać nie tylko poetów, lecz również badaczy spuścizny naszego wielkiego Poety.*

A teraz komunikat znany z już plakatów i zaproszeń: Jury Ogólnopolskiego Konkursu im. Czechowicza obradujące w składzie:

Prof. dr hab. Jadwiga Mizińska – Przewodnicząca
Prof. dr hab. Czesław Michałowski – członek Jury
Dr Jan Sęk – członek Jury
Red. Wojciech Pestka – członek Jury
Zbigniew Włodzimierz Fronczek – prezes Lubelskiego Oddziału SPP,

postanowiło przyznać nagrodę główną Panu Andrzejowi Samborskiemu.

Jury z niekłamaną satysfakcją uhonorowało znakomitego Poetę w uznaniu Jego lirycznych uniesień, ożywczego humoru, absurdalnej melancholii, przewrotnej dosadności oraz poetyckiego dystansu do literatury, twórczych satysfakcji i sukcesu literackiego. Andrzej Samborski ujmuje czytelników miłością do swego miasta, jego metafizycznego klimatu, księżycowej aury i szczególnej duchowości, którą zamyka we wdzięcznej frazie „Być poetą w Lublinie – wysokie ryzyko. Za to jaki honor". ■

Andrzej Samborski– Słowo laureata

Podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej im. Józefa Czechowicza na pewno paść muszą słowa, że to wielki honor i wielkie wyróżnienie. Dziękuję kapitule tej nagrody, że doceniła mój wkład w polską literaturę.

A przecież jestem, jak zwykłem mówić, tylko prostym poetą. Jeden z wielkich scholastyków średniowiecza, Bernard z Chartres, tak określił tego typu sytuację, w której się oto znalazłem:

„Jesteśmy karłami, którzy wspięli się na ramiona olbrzymów. W ten sposób widzimy więcej i dalej niż oni, ale nie dlatego, ażeby wzrok nasz był bystrzejszy lub wzrost słuszniejszy, ale dlatego, iż to oni dźwigają nas w górę i podnoszą o całą gigantyczną wysokość".

Tak też muszą wspomnieć o wielkiej robocie, którą dokonali poprzednicy. Stoi za tą nagrodą mrówcza praca Zbigniewa Włodzimierza Fronczka, wydawcy już trzech kolejnych moich książek. Stoją zasługi wcześniejszych laureatów Nagrody im. Józefa Czechowicza, wielkich pisarzy takich jak: Tadeusz Różewicz czy Józef Fert.

Im wszystkim i Państwu serdecznie dziękuję. ■

Andrzej Samborski i Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Jadwiga
Mizińska

Zaczarowane ulice,

zaczarowane stworzenia, zaczarowany poeta. Oczarowany czytelnik

Na okładce tomiku poezji Andrzeja Samborskiego „Zwierzę się wam…" widnieje staroświecki aparat telefoniczny wyobrażający okazałe ucho z przylegającą do policzka słuchawką (projekt graficzny Patrycji Sus-Lutyńskiej). Ów obrazek można uznać za klucz do pozostałych utworów Andrzeja Samborskiego, również do „Ulic Lublina".

Czym są zwierzenia? Etymologia podpowiada, iż to słowo pochodzi od „wiary". Nie tylko, i nie wyłącznie od religijnej, również od wiary jako dowierzania człowiekowi. W miłej rodzince wyrazów toczy się cichy spór: między „dowierzaniem" a „niedowierzaniem". W szczęśliwym przypadku, decydujemy się na z w i e r z e n i a się komuś, zatem na p o w i e r z a n i e w sekrecie swoich najgłębszych tajemnic, licząc na lojalność i dyskrecję bliskiej osoby.

Żartobliwa przewrotność poety wyrażona w tytule „Zwierzę się wam…" polega po pierwsze: na zamiarze upublicznienia sekretu, po wtóre – na grze ze słowem „zwierzęta" (czy można zwierzyć się zwierzęciu?) Przytoczmy pełne jego brzmienie: „Zwierzę się wam… czyli zwierzęta, rośliny, zjawiska przyrody, wśród nich człowiek". Krótko mówiąc, chodzi o stworzenia. To piękne, choć nieco zapomniane słowo, odwołuje się do stwarzania i kreacji. W chrześcijańskiej wizji, Bóg-Stwórca wszechświata, ukończywszy swoje dzieło, orzekł: „wszystko było dobre". W każdym sensie dobroci i doskonałości: jej moralności, etyczności, estetyczności, a przede wszystkim – w znaczeniu ontologicznej wiarygodności. Bóg stanowi opokę Prawdy: „Jam jest Który Jest".

W mniejszej skali – już nie kosmicznej, lecz codziennej – Andrzej Samborski, zawiera pochwałę najdrobniejszych tworów przyrody. Ich apologię. Jak też ich wzajemne zależności, czy wręcz – przemienności. Tak jak w utworze:

Na cmentarzu
Życie po życiu,
mrowi się wśród mchów
i powiędłych liści.
Wyobraź sobie:
Nigdy wcześniej

Andrzej Samborski i prof. Jadwiga Mizińska

nie byłeś mrówką,
ślimakiem, ważką.
Teraz jesteś.

Wspomniana przemienność i przechodniość obejmuje nie tylko wszystkie stworzenia , ale też struktury, architektoniki, układu osi świata, jego centrum – axis mundi:

Prawie jak w raju
niebo jak spłoszony ptak.
kołuje nad moją głową
Sfruwa
gdy zastygam jak drzewo...
i znów się zrywa.
Bo już do niego pełznie
strach, jak wąż zaczajony w korzeniach.

Autor zdaje się jednak kwestionować pewność i stałość boskiego wszechświata.

Najwyżej umieszczone Niebo, jego niebiańska kopuła, w jego oczach okazuje się niepewna i ruchoma. Może pofrunąć! Pion i poziom również falują. Gdzie więc jest Bóg? Czyżby wszędzie? Zamiast twardej, fundamentalnej w i a r y, poeta woli się z w i e r z a ć ze swoich wątpliwości.

Ludzkie z w i e r z e n i a odwołują się więc niekiedy do ukrytych w nas „gadzich mózgów", nie ma sensu wypierać się wcześniejszych stadiów Pani Ewolucji! Wszyscy jesteśmy mniej czy bardziej udanymi – niekiedy upośledzonymi – jej dziećmi. Taki na przykład „ptasi móżdżek" zawiaduje lotem wróbla, ale i samego orła! Znakomite fotografie Jerzego Liniewicza, ilustrują tę sprawiedliwość – równość bytów. Ich braterstwo. Na jednej płaszczyźnie stawiają ptaki, pisklęta, psy, lisa, mikrofon, pień drzewa, odwróconą twarz kobiety. Wszyscy się ze sobą komunikują, spotykają pod jedną okładką, bezsłownie się sobie zwierzają.

Osobista kosmologia Andrzeja Samborskiego, uchwytuje mini kosmos w mega kosmosie – w tym się przejawia jego wytrawna sztuka miniatury. Lotem ptaka ogląda poeta nie tylko przyrodniczy lecz i urbanistyczny kosmos. Tym razem – kosmos Miasta

Spacer „Ulicami Lublina" wiedzie go – na wyrywki i zygzakami – po tym Kozim Grodzie. Fotograf Stanisław Turski dokumentuje ulubione widoki obu artystów, wybrane i ułożone w alfabetycznym spisie.

Mimo pozoru to nie jest zwykła, obrazkowa mapa. Raczej poetycki przewodnik. Autor słownych miniaturek bawi się nazwami ulic. Mruga do nas okiem, uprawiając ich żartobliwą genealogię. Przy okazji udając, iż kieruje się zasadą nomen – omen. Czyli – przyleganiem słowa do rzeczy. Z tych igraszek wynikają całkiem poważne odkrycia, czy chociażby przypomnienia socjologicznych i politycznych perturbacji. Okazuje się bowiem, iż czasem trzeba specjalnie z a p o m i n a ć poprzednie nazwy ulic, wstydzić się ich, zrywać dawne tabliczki z ich ścian. Oto wymowny przykład:

Singera Izaaka Plac – Bieruta Bolesława Plac

Plac Bieruta Bolesława – kiedyś
W myśl hasła, by burząc
pomniki, oszczędzać
cokoły, Bieruta
miejsce miał zająć ktoś...
Kto? Wybuchły spory.
Singera Izaaka Plac – teraz
„Sztukmistrz z Lublina"
Tu czekał już cokół,
na którym mógł stanąć
Izaak Baszewis.
Singer nie przyjechał.
Cokół rozebrano.

Satyryczny wdzięk tego wiersza ukrywa morał: nie warto d o w i e r z a ć pomnikom bohaterów, a nawet ich cokołom. Ludzka wdzięczność, ludzka pamięć jeździ na pstrokatym koniu. Stanowi kaprys historii. Jedynie czasem nie udaje się – jak w Budapeszcie – zgruzować pomnika Stalina – zostały jego monumentalne buty…

Dlatego poeta opowiada się za skromnością i prostotą:

Krótka
Krótka – taka
jest w sam raz, jak
krótki wiersz, jak
proste słowa.
Tę ulicę
lubię, bo jest
taka jak jest. I krótszej
chyba nie ma.

Nie dajmy się jednak zwieść wielbicielowi prostoty. W istocie jest on niezwykle wyrafinowany. Autor „Ulicami Lublina" w swych miniaturach zawiera głęboką filozofię. Niby najstarsi greccy mędrcy, poszukuje arche – fundamentalnej zasady Bytu.

Gliniana
Wszyscy – z jednej gliny.
Tak , wszyscy jesteśmy

z Glinianej.
Tylko, że
z jednych wyszły cegły,
z innych – porcelana.

Nie ma się czym szczycić.
Ktoś wybrał za nas.

Podziwiając myślową głębię Andrzeja Samborskiego, oraz jego historyczną wiedzę, chce się ją niekiedy uzupełnić. Zwłaszcza, gdy mamy do czynienia ze zjawiskiem „przemianowywania ulic". Wskutek politycznych przewrotów, zwłaszcza w trakcie ustrojowych rewolucji, pojawił się dziwaczny fenomen zacierania poprzednich nazw. Młodsze pokolenia nie mają już pojęcia, iż jedna i ta sama ulica, dzieląca (łącząca?) dwie lubelskie uczelnie: KUL i UMCS, w mojej młodości nosiła miano „ulicy Nowotki", zaś wkrótce potem „ulicy Radziszewskiego". Mało tego! Pod nimi obiema, na nieco starszej mapie, odkryłam „ulicę Dreszera"!

Zupełnie jak w archeologii: warstwa na warstwie, pod nimi – kolejna warstwa!

Komu więc ufać, komu dowierzać? Komu się z tego zwierzać? Najlepsze w takiej sytuacji okazuje się wyznanie Andrzeja Samborskiego „nie pamiętam".

Magnolia
Magnoliowa—tu
człowiek powraca
na wiosnę życia,
na szkolne lata.

Aż jesienią się
zbierze komisja
orzekająca,
czy już nie pora

na człowieka. Są
szkoły, jest urząd
stosowny, wreszcie
furtka cmentarna

A magnolie? Czy
są? Nie pamiętam.
Kiedyś tam wrócę
wiosną. Poszukam.

Władysław Broniewski, niegdyś ze zgrozą wykrzyknął: „Ulica Miła, wcale nie jest miła!". I przestrzegł, by jego „miła nią nie chodziła". Poeta Andrzej wykazuje więcej ufności do nazw ulic. Dziękując mu za to uzupełniam informacje: obok gmachu biblioteki UMCS co roku zakwita drzewo magnolii – wówczas egzotyczne. W Botaniku obok przystanku „dziewiątki" rósł jeden jedyny krzew magnolii. Tam się spotykały zakochane pary studentów. Tak się lękam sprawdzić, czy to jest wciąż prawda… Prawda tkwi w naszych przeżyciach. To one są najwierniejsze. Poszukam magnolii na Magnoliowej, gdy ich nie znajdę, zadowolę się wspomnieniem z młodości.

*

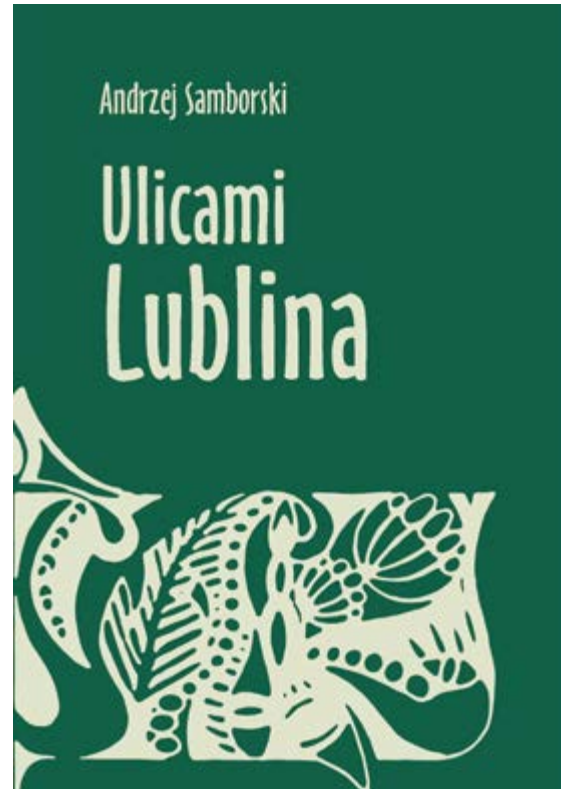

Nie jest moim zamierzeniem jakiekolwiek podsumowanie dotychczasowej twórczości Andrzeja Samborskiego, którą śledzę od wielu lat. Jest to zadanie dla wytrawnych znawców, takich jak Mariusz Solecki. Jego opinię wyraża erudycyjny esej „Miniaturzysta maksymalista" opublikowany w I tomie „Szkicownika. O pisarzach lubelskich". Dla mnie samej najwięcej radości przysparzają jego utwory z pogranicza poezji, muzyki, teatru i fotografii, w których sprzeciwia się pompatyczności czy bufonadzie. W czasach politycznej poprawności, nadętej pychy, zajadłej ideologicznej nienawiści, artysta uwielbia żart, dowcip, lekkość. Błyski liryzmu przetkane przekorą. Wyznaniem prawdziwie dziecięcej bezradności. Zarazem wiedzą o swojej przewadze nad małością tych, co wszystko „lepiej wiedzą". On, jak mądry Sokrates, „wie, że nic niewie"…

Róży Wiatrów
Kiedyś na Róży Wiatrów
zgubiłem się, płakałem.
Byłem małym odkrywcą.
Jeszcze zbyt wielki był świat.

Teraz na Róży Wiatrów
Wszystko jest takie małe,

ja taki stary,
aż strach.

Aż chce się powiedzieć; „Nie lękajmy się strachu"

Jadwiga Mizińska

Andrzej
Samborski

EKSLIBRISY LITERACKIE

CZECHOWICZ JÓZEF

To Józef Czechowicz.
Jeśli jego księgom
ekslibrisu trzeba,
byłby to kogucik
na tle barwy nieba.
Kogucik blaszany
znad lubelskiej wieży,
który świt przyzywa,
w swą moc święcie wierzy.

BOJARSKI JERZY

Jerzy Bojarski
rycerz to prawy,
który smoka zmógł.
Nie, to nie smok był.
To ptak z dwojgiem głów.

FRONCZEK ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ

I rzekł Bóg: Niech się stanie
Zbigniew Włodzimierz Fronczek.
Zbigniew – wyzbyty gniewu.
Włodzimierz – władca świata.
Fronczek – jak w maśle pączek.

HADRIAN EWA

Wiosna, lato,
jesień, zima.
Ewa Hadrian.
„Poranek u
Hieronima".

KARAPUDA MICHAŁ

Aniołem stróżem mu archanioł.
Michał anielskie zastępy wiódł.
Karapuda – w języku nieba
czy nie znaczy aby: Któż jak Bóg?

KIEROŃSKI STANISŁAW

Imć Stanisław Kieroński
z niejednego powodu
jest sławą swego rodu,
sławą rodu Kierońskich,
stąd liczne obowiązki.

KOBIELSKI-GRAUMAN PIOTR

Gdy słyszę: Kobielski-Grauman,
wyobrażam sobie: sklep, kosz
zakupowy, szary człowiek –
statystyczny Polak, Polak
z przebogatym rodowodem.
My – z całej Europy rodem.

MAZUREK ANNA

Mazurek. To coś z Chopina.
Anna. Tonacja a. Opus 68, nr 2.
Zamknij oczy i wyobraź
sobie—Chopin dla ciebie gra.

MIZIŃSKA JADWIGA

Jest gwiazdą Mizińska,
jak Mira Zimińska.
To z klasą Jadwiga—
kobiet pierwsza liga.

ORKISZEWSKI TOMASZ

Orkiszewski—
orkisz mu obrodził.
Ile obsiał—
z wszystkich pól plon zwozi.
Camerata
Lubelska—zwycięska.
Polihymnia—
to także nie klęska.

PACZUSKI KRZYSZTOF

Paczuski—
czyżby od Paca?
Tego, co
był wart pałaca?
Na pewno
warte sonety,
pisane
z serca podniety.
Jakże was
kochał, kobiety!

PAJDOSZ ANNA

Pajdosz pajdą chleba.
Anna kromką nieba.

PESTKA WOJCIECH

Wojciech ma duszę wojownika.
Walki, gdy słuszna, nie unika.
Karnie w szeregu trwa do końca.
Mężne to serce, krew gorąca.

SAWIC JAROSŁAW

Sawic—to od świętego Sawy.
Jarosław—ten, kto żądny sławy.
Jarosław Sawic z tych Sawickich
z Wielkiego Księstwa, z dawnej Litwy,
znanych z męstwa z niejednej bitwy?

ŻUK KRZYSZTOF

Krzysztof—patron kierowców,
zadbał o naprawę dróg.
Tak się nazywa swojsko,
niczym auto marki Żuk.

ŻUREK STANISŁAW

Rymem do Stanisław Żurek—
nie tylko kiełbasa, sznurek.
Ja widzę bieszczadzką górę.
A Stach to stan natchnienia.
Czego tknie, w poezję zmienia.

Bernard
Nowak

Angelus

Pamięci Andrzeja Widelskiego

Byłem spóźniony. Jechałem za szybko, ale tylko raz przejechałem na żółtym. Na świetle czerwonym stałem niczym koń w bramce, przebierając nogami po pedałach. Wszystko dlatego, że wyjechałem za pięć dwunasta. Że w ostatniej chwili, tuż przed wyjściem, rzuciłem się do prasowania. Koszuli i spodni. Bo jednak nie wypada iść na galę w golfie i dżinsach. Szczególnie, gdy się wygłasza laudację.

Trochę mnie w tę sytuację wrobiono. Gale nie są ani moją specjalnością, ani ulubioną formą życia kulturalnego. A tym bardziej towarzyskiego. Jednak, poproszony przez ważną osobistość, nie mogłem odmówić. Tym bardziej, że łączy mnie z nią perspektywa obopólnie korzystnych interesów.

No i z tego pośpiechu wydarzył się na parkingu incydent. Jedyne wolne miejsce było tak wąskie, że wciskając mojego rzęcha między samochody, otarłem zderzakiem o sąsiada. Pozostała na karoserii zupełnie niezła rysa. A że na czarnej, więc zauważalna z daleka. Świadkiem była rozmawiająca przez telefon dziewczyna. „Nic nie widziałam… – powiedziała, odsuwając od ucha aparat – nic nie widziałam…". Wycofawszy, zaparkowałem już bez kłopotów. Szybko starłem dłonią lakier ze zderzaka.

„Już odjeżdżam – poinformowała mnie dziewczyna. – Chce pan bilet? Ważny do osiemnastej dwadzieścia". Wziąłem i wrzuciłem za szybę. I na tym by się skończyło, gdyby nie nadszedł właściciel. Tego auta. Jak pech, to pech. Oczywiście od razu zauważył. „Ooo!… – zdziwił się. – Ktoś mi porysował bok". Po czym, zwracając się w moją stronę: „Nie widział pan może, kto?". Nie – odparłem bez wahania. – Tyle, co podjechałem. „Trzeba będzie sprawdzić kamery…" – dodał pstrykając kluczykiem. Zdążyłem zerknąć na sąsiadkę. Puściła oko i wsiadła do swojego samochodu. Odetchnąwszy, pobiegłem w stronę magnackiego pałacu. Tego odzyskanego przez rodzinę, a po generalnym remoncie ofiarowanego miastu. Tam odbywała się tegoroczna gala.

Uroczystość właśnie się zaczynała. Mój ważny znajomy siedział w pierwszym rzędzie. Trzymał miejsce, przywołał mnie ruchem dłoni.

Konferansjer mówił o laureatach. Mówił to, czego się można spodziewać. Że to osoby szerzej nieznane, a czyniące po cichu dobro. „Dziś nieznane podwójnie, bo w maseczkach". Że gdyby znajomi z ich środowisk nie zgłosili, nikt by się o nich nie dowiedział. Że wywodzą się ze starej rasy, o której wspomina opowieść o dziesięciu sprawiedliwych. Tych, na których opiera się świat. Dodał też, że bez nich by się zawalił. Uniesiony natchnieniem, posunął się w elukubracjach najdalej, jak się da. Stwierdził, że gdyby ich nie było, zapanowałaby Sodoma i Gomora.

Wychodzili kolejni wyróżnieni. Kobiety i mężczyźni, także jeden ksiądz. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że jest wśród nich dość znany piosenkarz. Okazało się, że dał wiele koncertów charytatywnych, zaś dwa czy trzy razy przeznaczył na tego rodzaju cele całe honorarium. O jego zasługach powiadomiła nas wygłaszająca mowę pani dziennikarka. Podkreślała gotowość do niesienia pomocy o każdej porze. W dzień i noc. „Nieraz dzwoniłam grubo po dwudziestej drugiej i pytałam: Krzysiu, możesz? Mógł zawsze". Prócz niego, nie znałem nikogo. Jeśli można mówić w tym przypadku o znajomości.

Mojej laureatki wcześniej też nie znałem. Na szczęście ważny znajomy wskazał dyskretnie miejsce, gdzie zasiadła. Gdybym dwa dni wcześniej nie poszedł do pewnej instytucji, nie znałbym nawet nazwiska. Grzmiały oklaski, ściskano dłonie, wręczano wiązanki. No i statuetki, zresztą gustowne.

Nadeszła moja kolej. Odbębniłem swoje – poszło zupełnie nieźle – i wróciłem na miejsce. Znajomy uścisnął mi dłoń. „Dobrze pan to ujął – szepnął przez maseczkę. – Rozumie pan temat miłosierdzia". Po mnie przemawiała pani w amarantowym szalu i trzewiczkach o wytwornie dobranych, tak samo amarantowych, sznurówkach. Później na scenę wkroczył emerytowany pan ambasador. Zszedł z widowni lekkim krokiem tenisisty. Mówił ze swadą, zawieszając głos, gdy trzeba i dobrze rozkładając

akcenty. Dwa czy trzy razy, z podziwu godną finezją poczęstował nas smakowitym, podprawionym angielskim ziołem, żartem. „Stary wyga – mruknął mój sąsiad. – Czuć światowy sznyt".

Uroczystość dobiegała końca. Na proscenium wyszedł główny organizator, prezes fundacji przyznającej owe Angelusy. Mówił krótko. Wspomniał o nieobecnych akurat wśród nas pomysłodawcach, a także innych, których już nie ma. „Którzy – niczym nasze anioły – odlecieli do innego świata". Na koniec poprosił oraz zachęcił, abyśmy troszkę baczniej rozglądali się dokoła. Wśród tych, którzy jeszcze są. A jeśli uznamy, że ktoś z owych „cichych i pokornego serca" jest godzien wyróżnienia, zgłaszali kandydatury. Bo choć dobro chwali się samo, to czasem trzeba mu pomagać.

Siedziałem wyluzowany i zastanawiałem się, czy właściciel samochodu sprawdzi kamery. Czy ma taką możliwość – czy tam w ogóle są? A jeśli, to jaki będzie dalszy ciąg.

Zapalono więcej świateł, laureaci ustawili się do zbiorowej fotografii. Czekając na przejście do sali bankietowej, przebiegałem w myślach kręgi, wśród których się poruszam. Czy jest wśród nich ktoś, kto czyni takie rzeczy. Czy miałbym kogo zgłosić. I doszedłem do wniosku, że jeśli kogoś, to samego siebie. No, ale nie wypada robić takich numerów. Nie dlatego, bym nie zasługiwał. Przy dobrym marketingu, każdy może stać się wybitny. Nie zgłosiłbym z zupełnie innego względu. Śmialiby się za moimi plecami w kułak. To jedyny poważny powód. ■

Cieszysz się, skarbie?

Muszę to opowiedzieć. Choćby przez wzgląd na osoby, które planują weekend. Otóż umówiłem się w ubiegły piątek z pewną damą. Która zaraz po zamknięciu biura – bo dama pracuje w urzędzie – miała do mnie przyjść. W celu zdjęcia maseczek oraz przeprowadzania wspólnej dezynfekcji. Schłodziłem płyny, nakryłem stół, przygotowałem folię. Spodziewałem się wizyty około 17-tej, dama dotarła kilka minut po 19-tej. Akurat w czasie nadawania wiadomości. Zaś gdy dotarła, zasiadła przed telewizorem. Żeby posłuchać ostatnich danych. Kiedy nasyciła się notowaniami o zachorowaniach i zmarłych, odważyłem się spytać o przyczynę spóźnienia. Ją, sumienną urzędniczkę.

– Daj spokój, nie pytaj – wyrzuciła z westchnieniem. Z godnych piersi.

– Coś się stało?

Wzruszyła ramionami. Ramiona również godne.

– Najpierw nie mogliśmy wyjść z pracy… – zaczęła. – Bo kierownik zapodział gdzieś klucz. Rozumiesz?

– Nie rozumiem.

– No, zamykamy się od wewnątrz.

– Od wewnątrz?

– Przed interesantami.

– Szturmują bramy?

– Gdzie tam, nikt nie przychodzi.

– No to po co?

– Zarządzenie takie jest.

– Nie wystarczy kartka na drzwiach?

– Kartek nikt nie czyta.

– No bo nikt nie ma odwagi.

– Czytać?… – zdziwiła się.

– Przyjść.

– A gdy klucz się znalazł… – zrobiła przerwę. Znów westchnęła. – Wyobraź sobie, przypiął go do domowych…

– Zamknął domowników też?

– Jako urzędnik, bynajmniej mógł. No więc, gdy się znalazł, poszłam od razu na przystanek.

– Bardzo dobrze zrobiłaś.

– No i nadjechał autobus.

– Punktualnie?

Kiwnęła główką.

– Ale nie zdążyłam wsiąść.

– Czemu?

– Nie zdążyłam policzyć.

– A do ilu masz zwyczaj liczyć, nim wsiądziesz?

– Nie wygłupiaj się, sprawa jest poważna.

– To znaczy?

– Na drzwiach pojazdu była kartka.

– Nie czytaj kartek na drzwiach.

– …że w środku nie może być więcej, niż dwadzieścia osób. Nim policzyłam, autobus odjechał.

– Trzeba było do takiego, gdzie może dwanaście.

– Nadjeżdżały same przegubowce. Zresztą, gdy nadjechał mały, też nie zdążyłam.

– A do ilu zdążyłaś?

– Do trzech.

– No tak…

– A na drugiej kartce…

– Drugiej?

→

– Na żółtej, bo były dwie…
– Na drzwiach?
– Na żółtej był zakaz dotykania ciepłego przycisku.
– Jakiego przycisku?
– Ależ ty jesteś upierdliwy! Od otwierania drzwi.
– Ale jak sprawdzić, że ciepły?
– Też tak pomyślałam.
– No i…?
Po godzinie podjęłam decyzję.
Szybka jesteś.
Poszłam na końcowy.
– Po co?
– Było pusto.
– Nikt końcowych nie lubi.
Ty naprawdę jakiś niemądry. On dla jednych końcowy, dla innych początkowy.
Aha…
Nieważne – powiedziała, przytulając się – jestem. Cieszysz się, skarbie? ■

Na postoju

Ten pan z taksówki mógł mieszkać gdzieś niedaleko, bo często widywałem jego beżową wołgę na postoju. Ale mogło też być inaczej, skoro jego samego, poza samochodem, nie widziałem nigdy. Nie natknąłem się na niego ani w sklepie, ani w kościele, nie widywało się go też na którejś z przyblokowych ławek.

Poznałem go bliżej w czasach toczącej kraj transformacji. Starszy pan wiózł mnie kilka razy do banku. Z pełnym pieniędzy neseserem. Podwiezie mnie pan? – spytałem kiedyś. „Nu czemuż nie?", odpowiedział ze wschodnim zaśpiewem.

Mógłbym jeździć autobusem, nie jestem z lękliwych, jednak głupio wieźć taką furę pieniędzy wśród ludzi, którzy nic nie posiadają. Mieli niewiele, a wtedy zabrano im także to nic. Ich nędza była widoczna z daleka. Dawała się wyczytać z napiętnowanych beznadzieją twarzy oraz sposobu, w jaki siedzieli. Pasażerowie tamtych autobusów wyglądali jak złamani. Jakby ktoś przetrącił im kręgosłup.

Widywałem tę wołgę często, właśnie na postoju. W oczekiwaniu na pasażera pan taksówkarz albo czytał gazetę, albo słuchał radia. W czasie jednego z przejazdów zorientowałem się, że to nie radio a ścieżka dźwiękowa filmu. „Obejrzę wieczorem – wyjaśnił. I dodał: – Teraz w telewizji same powtórki".

Zimą kurs dolara skoczył w górę. Jak się okazało, na jeden dzień. Wyjąłem z bieliźniarki zaskórniaka i popędziłem do banku. Taksówka czekała na postoju. Oszroniona, wyglądała jak zamarznięta. Jakby nikogo w niej nie było. Gdy otworzyłem drzwi, pan taksówkarz wysiadł. By zdrapać z szyby szron. W burej kurtce, filcowych butach i uszatce przypominał pensjonariuszy łagrów. Zamarznie pan na amen… – odezwałem się, gdy ruszyliśmy. „Spokojna głowa – odpowiedział z uśmiechem. – Mam tu coś, co mnie grzeje…". Co to takiego? – dopytywałem, jak zawsze wścibski. „Buty, proszę pana, buty. – Zerknął we wsteczne lusterko i dodał: – Buty pilota. Prosto z Anglii. Podłączam do akumulatora i jest okey". Nie kryłem zdziwienia. Musiał uznać mnie za godnego kilku słów, bo nim dotarliśmy do banku, starszy pan objaśnił mi resztę.

„Przyjechałem, proszę pana, po wojnie. Do brata. Zachęcali, żeby wracać. Ja, kochany panie, nie naiwniak, z daleka było czuć, że pachną sowietem, wybrałem się tylko w odwiedziny. Z tymi filcakami. Żeby je sprezentować. Przyszli po mnie po tygodniu. Wiedzieli łobuzy, że służyłem w lotnictwie, proponowali różne rzeczy. Nie zgadzałem się, zamknęli na dwa lata.

Po wyjściu na tę waszą swabodu nie mogłem dostać zajęcia. Gdzie nie zaszedłem, patrzyli jak na zjawę. Gdyby nie brat, umarłbym z głodu. W sezonie wynajmowałem się u chłopa, zimą siedziałem jak emeryt. Dopiero za tego całego Gierka kupiłem ten ruski czołg, żona przysłała trochę grosza. Wyremontowałem pudło – i jeżdżę. Ot i takie te moje jołki połki" – zakończył z westchnieniem. Nie chce pan wrócić? – spytałem. „Do czego, panie kochany, do czego?"

Wysiadłem przy banku. Nim znalazłem mojego cinkciarza, ten zobaczył mnie pierwszy. Machał rękami niczym ktoś, kto ogania się od pszczół – w środku zimy. Gdy znalazłem się blisko, waluciarz podniósł dłoń do ust, jakby miał zwymiotować. „Jestem pełny – wybełkotał. – Zaraz się tymi dolarami porzygam…".

Następnej zimy miliony zamieniły się w makulaturę i przestałem taksówkami jeździć. Rzadko też wsiadałem do autobusu. Wolałem, gdy to możliwe, chodzić. Coś się zmieniało. Tylko wołga stała w zatoczce jak zawsze. Beżowa, z zaszronionymi szybami, nieruchoma niczym w hibernacji. Czekała. Potem zniknęła.

Któregoś dnia zatrąbił koło mnie czarny mercedes. Przez otwarte okno pomachała przyjazna dłoń. „Dzień dobry panu!…" – zawołał mężczyzna o wyglądzie wczesnego biznesmena. Z trudem rozpoznałem w nim chłopaka, który przez lata kręcił się w pobliżu banku. ■

Karnawał sztukmistrzów

Popołudnie, niedziela. Odłożyłem słuchawkę, by poprawić wiszącą w drzwiach moskitierę. W ostatniej chwili. Bo siedząca na poręczy mucha już się szykowała, by lotem koszącym wpaść do chłodnego pokoju.

Wczoraj wieczorem, gdy zelżał upał, wychynąłem z mojej jaskini do miasta – zobaczyć ludzi. By do cna nie zdziczeć. Z trudem znalazłem dziuplę dla zaparkowania, po czym wtopiłem się w tłum. Płynął wszystkimi ulicami: deptakiem, Królewską, Wyszyńskiego w dół, wciskał się przez Bramę Krakowską – aby potem przepychać się przez powolne zastępy na Starym Mieście. Podniebni linoskoczkowie, którzy zjechali do Lublina na tak zwany Carnaval Sztukmistrzów, zakończyli dzienne występy, zastąpili ich połykacze ognia i wody. W tych miejscach tłum twardniał jak kauczuk, otaczając magików tak szczelnie, że chcąc nie chcąc uczestniczyło się w widowisku.

Znalazłem w kawiarni Vanilla wolny stolik z jednym krzesłem oraz zalanym colą blatem – i rozsiadłem się niczym na Champs-Élysées. By gapić się na przechodniów. Zdążyłem w ostatniej chwili, następnych boy z wydatną szczęką zatrzymywał krótkim żołnierskim: „Już koniec!"…

Ludzie szli całymi rodzinami. Z dziećmi dużymi i małymi, czasem w wózku, czasem w brzuszku. Pobudzeni i rozbudzeni, mimo późnej pory, a może właśnie dlatego. Szczęśliwi że – chyba bezwiednie – zaczerpnęli żywotnych soków z jaspersowskiej *Nocy*. Mógł się człowiek nacieszyć do syta. Szli różni. Dłudzy, krótcy, grubi, chudzi, w trzymających się za rękę parach i luzem, liżący lody i popijający z butelek. Wytatuowani i z pofarbowanymi włosami, w strojach luźnych i opiętych na brzuszyskach. Byli też łysi i owłosieni jak Samsony, z klatką wdepniętą albo wypięci jak przystało na bywalców siłowni. Szły panny na koturnach i męczennice na szpilkach, silikony z chwytnymi usty – istne targowisko próżności. Sącząc colę myślałem sobie, że wszyscy oni jak jeden mąż szczęściarze – tak kolorowi, swobodni, rozgadani, syci wrażeń i wszelakich potraw, gadający z przyjaciółmi czy osobami całkiem przypadkowymi… Szczęściarze niczym linoskoki – co najmniej w oczach tych, którzy mają w pamięci lata, gdy deptak nie był deptakiem, ubrania nie tak kolorowe a kraj ani zamożny, ani wolny.

Myślałem sobie o znajomych, którzy czasów nie doczekali. Oraz innych, których na deptaku nie ma. Zaś nie biorą udziału w targowisku nie dlatego, że zostali w domach albo wyjechali nad swojskie morze czy jakąś Teneryfę. Są niedaleko, w tym samym mieście – tyle że na Jaczewskiego, Staszica, Kraśnickiej. Czasem już na Lipowej lub Majdanku. Ci, których zmiótł covid lub inne raczysko. I wydawało mi się, przynajmniej wczorajszego wieczoru, że jednym z zadań kronikarza jest o tym pamiętać. O tej ciemnej nitce, z której splatają się także nasze, dziś szczęśliwe, dni. ■

Na Bobolanach

Sobota. Zaraz po wstaniu, jeszcze zaspany, maszeruję w dresie i klapkach na zakupy. Do pana Józia, osiedlowego dostawcy. Rozkładającego towar na płytach chodnika. Jak za dawnych czasów. Kto kupował, ten wie – albo kto czytał. Wyszedłem, by kupić na weekend kwiaty. U pana Józia towar świeży, prosto ze wsi. I wszystko jest. Niczym przed wojną, od jajka do jabłek. Zaś jaja z pierwszego tłoczenia. Jednak kwiatów już nie było. Mimo to zająłem kolejkę, razem z innymi mieszkańcami osiedla.

Słońce jak niewrześniowe, wiaterku na lekarstwo, szeleszczą poruszane wiatrem liście. Kilka żółtych spada pod nogi, a wiatr posuwa je po asfalcie, jakby się ze mną ścigał. Ale na drzewach ciągle gęsto. Tylko kasztany brązowe i skręcone. Jakby ktoś palił pod nimi ognisko.

Przy rozłożonym na chodniku towarze spora grupa. Przeważają siwe głowy, jest jednak i młody ojciec z trzymanym za rączkę chłopcem. Jest matka z dzieckiem w spacerówce. Ojciec jest z inteligencką brodą i inteligenckimi, przeciwsłonecznymi okularami.

Pan Józio pochylony. Przez koszulkę prześwitują równe jak u gimnastyczek kostki kręgosłupa. Zgięty nad skrzynkami w pałąk, wkłada dary do plastików, odważa, inkasuje.

Z przodu znajoma pani profesor. Cała w ciemnych i gęstych, zmysłowo związanych włosach. Pani profesor, a jednocześnie profesorowa, bo mąż też profesor. Nabywa jabłka, potem marchewkę. Prosi pana Józia, by wybrał średnią. Wiadomo – profesorowie dużych marchewek nie jadają. Chodzi o złoty środek. Po jabłkach i marchewce kilo węgierek. Następnie papryka – trzy czerwone, trzy żółte. Oczywiście, że tak. Rzeczą ważną jest dbałość o symetrię.

Pani profesor pyta o pomidory.

– Tylko tyle – odpowiada pan Józio, pokazując na skrzynkę.

– Same zielone?

– Ale zdrowe. Dojdą – zapewnia pan sprzedawca. – Było dużo, wszystkie poszły.

Konwersacja zaczyna się rozkręcać. Tylko pani o wąskich ustach milczy. Widać, dla niej za wcześnie. W prawym kąciku ma reszkę wilgotnej jeszcze pasty.

– A od której pan dziś jest? – pyta ktoś z kolejki.

– Od siódmej – odpowiada znad skrzynek pan Józio.

– Od siódmej?!

Pan Józio prostuje się. Jego twarz uśmiecha się. To, co robi, sprawia mu radość. To człowiek handlu.

– Było towaru… Wszystko poszło.

– Nie wolno tak wcześnie wstawać, panie Józiu. Szczególnie w sobotę.

Wśród stojących trochę z boku pań jedna niespodziewanie uderza się w szyję. Potem patrzy na pustą dłoń i wzrusza ramionami.

– Nic – wzdycha. – Dwa razy mnie ugryzł. Myślałam, że trafiłam, a on się tylko przesunął.

Tymczasem pani profesor dobiera. Teraz cebulę. Też średnią. Nic ponad miarę. No i kabaczka. Kto by się spodziewał, że państwo profesorstwo dadzą temu radę. Takiej ilości. Znam pana profesora, szczupły, wysportowany, podąża na zajęcia młodzieńczo żwawym krokiem. No ale może właśnie dlatego, że karmiony zieleniną.

– Ależ pogoda… piękna.

– No, można się opalać.

– Bo to jeszcze lato. Chociaż kalendarzowe.

– Które to kabaczek a które cukinia?

– Ten zielony.

– Cukinia jest bez metali ciężkich. Ponadto warzywo odkwasza organizm i pozytywnie wpływa na proces trawienia. Można ją podawać małym dzieciom – mówi ktoś, a wszyscy odwracają się w tę stronę. To matka z wózkiem.

Nabrała pani profesorowa tyle, że musi podzielić transport na dwa kursy. Odchodzi z pierwszą partią; trzy ciężarne siaty. Odchodzi fertycznym, lekko rozbawionym krokiem.

Zaczynam się bać, czy starczy dla mnie. Bo sporo chętnych, w tym małżeństwo z wózkiem. Z przepastną torbą na czterech kółkach.

– Trzy kilo pomidorów – zaczyna małżonka. Pan Józio odmierza. Tymczasem mąż milczy – i tylko wkłada do torby siatkę. Widać, emerytowany specjalista od transportu.

– Pani, zostaw pani trochę dla innych! Ja chcę tylko kilo, po starej znajomości.

– Ale dożyliśmy czasów… – wzdycha ktoś z kolejki. – Pomidory po znajomości.

– To wina pisiorów – wtrąca brodaty pan z dzieckiem u nogi. – Albo Tuska. – Nikt jednak się nie śmieje. Tylko siwa pani pochyla się do drugiej, też siwej, i szepce jej na ucho. Potem dodaje:

– Po co on w ogóle tu wrócił?

– No właśnie. Mógł sobie zostać tam.

– Ale młode są głupie i mu wierzą.

Przesuwam się do przodu, w pełne słońce. Świeci teraz prosto na plecy.

– Lubię paprykę, ale mi się odbija – mówi inna pani.

– Mnie się odbija, ale jem.

– Ja też, chociaż troszkę. Lubię sobie pochrupać.

– Kupię pięć. Przyjdą synowe, to im dam po jednej.

– Żeby tylko węgierek starczyło…

– Pani też lubi?

– Lubię, nie lubię, ale to pomaga.

– Ano pomaga, to prawda.

Z osiedla wyjeżdża samochód. Przejeżdża koło nas. Szybko i tuż obok. Jakby chciał nas rozjechać. Albo wjechać w środek zawiązującej się akcji. Dziwne, bo za kierownicą nie młodzik, lecz całkiem starszy pan. Jego rozlewność przepełnia fotel. Na drugim siedzi Jej Grubość Małżona.

Kolejka powiększa się, na szczęście już za mną. Dołączają dwie panie. To widoma podprowadza niewidomą.

– Kto z państwa ostatni? – pyta niewidoma z wystawionymi na wiatr zębami. Tej drugiej uśmiech również nie schodzi z twarzy. I co bardzo przyjemne, z oczu.

– Ja.

– To my za panem.

Wraca pani profesor. Szybko się uwinęła. Postawiła widać urobek w przedpokoju – i marsz po resztę. Bierze dwie pozostawione na trawniku siatki. Prawdziwa przyjemność widzieć, jak się porusza. Jak podąża rozhuśtanym w biodrach krokiem.

Matka z wózkiem wyjmuje telefon.

– Są jabłka, kartofle, śliwki – mówi do słuchawki. – Papryka też. Co? Jest marchew. Mamy cebulę? A gruszki? – Przerywa, słucha. – Nie mów tyle, napisz esemesa. Albo ubierz Klaudię i przyjdź.

Nie mija chwila, gdy mąż się zjawia. Mieszkają więc w pobliżu, ale nigdy ich nie widziałem. Wysoki, sympatyczny blondyn, z dziewczynką na ręku.

– Puść ją, daj jej pobiegać.

Mąż stawia dziewczynkę na asfalcie, ta od razu rusza przed siebie. Zbiega na trawnik i biegnie w stronę drzew. I prawie zaraz wraca.

Zobacz, mamo, kasztany!…

– Wrzesień to jesień – mówi na to pani niewidoma. Tak naprawdę, nic w tym dziwnego. Homer też miał wszystko wykute.

Pan Józio dzieli. I rządzi. I pyta.

– Teraz kto? – podnosi na chwilę głowę.

– Ja.

Kupiłem cztery papryki – dwie czerwone i dwie żółte. Dla symetrii z panią profesorową. Również kilogram cebuli, analogicznie średniej. Oraz trzy marchewki, z niedużych. Poza tym (muszę się przyznać) z pół kilo węgierek. Z jabłek nie wziąłem nic.

Tak zaczął się dzień. No, niezupełnie tak, bo najpierw, na wpół przytomny, bazgroliłem coś na kartce. Po czym odwróciłem się na drugi bok. I spałem dalej. Później, znów się ocknąwszy, coś tam dopisałem, też po omacku. Ale po przebudzeniu nie założyłem okularów. Na wszelki wypadek. Teraz, gdy wróciłem od pana Józia, gdym zupełnie rozbudzony, będę musiał się z tymi bazgrołami zmierzyć. Może być ciężko.

Zerkam przez okno. Volkswagen pana Józia stoi. Obok dwie osoby. Jakby ostatnie. No cóż, czasem nie udaje się sprzedać. Ale najczęściej około jedenastej jest po wszystkim. Dziś ładna pogoda, można postać dłużej.

Potem pan Józio odjedzie. I zaprawdę powiadam wam, nie pozostanie na chodniku ani skrzynka. Aż do środy. Bo nasz dostawca lubi dwa razy w tygodniu. W pozostałe dni można go ponoć spotkać na elesemie. ■

Maszynopis znaleziony przy śmietniku

Poprosiłem syna, by wyrzucił śmieci – dwa ciężkie wory poszatkowanych na kapustę dokumentów. Gdy wrócił, wręczył mi kartkę papieru. Formatu A4, zadrukowaną z obu stron. Po brzegu kartki biegł delikatny ślad adidasa.

– Coś dla ciebie – powiedział. – Ty lubisz makulaturę.

– Czytałeś? – spytałem.

– Tak.

Serce wypełniła mi radość. Nieodrodny syn. Odłożyłem na bok przygotowywane dla pani księgowej kwity.

Wyglądało to na kawałek prozy. Było zatytułowane: „Rękopis czasów zarazy". Jak z Defoe. Poczułem dotknięcie starej różdżki. Wróciły dawne wspomnienia. Jakbym znalazł butelkę. Taką z listem. Wszystko wskazywało na to, że gdzieś w pobliżu ukrywa się jeszcze jeden grafoman. →

Oto kartki treść:

„Zgodnie z instrukcją, stawiłem się punktualnie o szesnastej. Adres otrzymałem od Jurka, znajomego, jeszcze ze studiów. Ta kobieta to jego sąsiadka. Ponoć, bo nigdy nie widziałem tam żadnej sąsiadki. Sąsiada zresztą też.

Znalazłem miejsce z pewnym trudem. Rząd bloków na zapleczu supermarketu. Nowych, to znaczy ogrodzonych. Rolety w oknach opuszczone. Tak samo, jak w pozostałych, znajdujących się na parterze zakładach. Wybrałem przycisk „Fryzjer", nacisnąłem dzwonek. Jeden długi, dwa krótkie. Tak jak umówione. Furtka drgnęła. Pchnąłem ją – była ciężka jak wejście do schronu.

Dokładnie w chwili, w której stanąłem przed drzwiami, odezwał się brzęczek. Przyznam, że poczułem się nieswojo. Jakby ktoś śledził mnie zza firanki. Korytarzyk, wykonany z nowoczesnych materiałów, prowadził prosto do salonu.

Widziałem tę kobietę po raz pierwszy. Czterdziestolatkę o dziewczęcej figurze, z włosami zaplecionymi w warkoczyk.

Nie byliśmy sami. Na fotelu siedział mężczyzna. Z głośnika płynęła muzyczka. Ale poza nim nikogo. Pani fryzjerka uśmiechnęła się na mój widok. Tak, jakby znała mnie od lat.

– Przyszedłem za wcześnie?

– Już pana kończę – odpowiedziała. A potem, zwracając się do klienta: – Wszystko odwołane, człowiek nie wie, co robić. Dzieci będą całe wakacje w domu.

U nas – odpowiedział mężczyzna, podnosząc ciało z fotela – na dwunastu, siedmiu zarażonych. O tym się w telewizji nie mówi – dodał.

Pogładził dłonią ostrzyżoną na krótko głowę. Masywny i wysportowany gość. Może trochę, jak na swój wiek, przyciężki. Zapłacił i wyszedł. Siadłem na jego miejscu. Do zabiegu. Tajnego tak, jak przyjście.

– Ten klient to policjant – powiedziała pani fryzjerka, gdy zamknęły się drzwi.

– Oooo – zdziwiłem się. – Oni też są w podziemiu?

– Takie czasy – westchnęła. – Pandemia pandemią, ale strzyc się trzeba. Pan od pana Jurka?

Już po kilku ruchach nożyczek było czuć, że to fryzjerka z zamiłowania. Dotykała głowy, jakby pieściła. Przyglądałem się jej ruchom spod powiek. Jej samej też. Jurek, gdy podawał adres, poinformował, że to rozwódka. „Ale z trójką dzieci", dodał.

Znałem kilka fryzjerek. Każda prędzej czy później potwierdzała, że strzyżenie ma w sobie coś z gry wstępnej.

Tych dzieci trochę za dużo, szczególnie na czas pandemii, ale jej głowa, by się wyśliznąć.

Zapłaciłem gotówką. Tylko w ten sposób można dać napiwek. Również przez wzgląd na dzieci. Poza tym nic. Żadnego ruchu ani dwuznaczności. Niech myśli: „Hojne panisko". Na początek wystarczy. Pandemia potrwa kilka miesięcy.

Ostrzyżony, poszedłem do Jurka. Siedział na kwarantannie. Sam, bo całą rodzinę zatrzymano we Francji.

– Wejdź – powiedział. A po westchnieniu dodał: – Chyba zwariuję.

– Co się dzieje?

– Stary, czwarty dzień w zamknięciu. Ile można spacerować po domu?

– O cholera…

– Od okna z kuchni do balkonu kroków dwadzieścia pięć. Z ostatniego do salonu trzydzieści siedem.

– Macie za duże mieszkanie – zaśmiałem się. – Powinni wam kogoś dokwaterować.

– To nie jest do śmiechu. Ile dasz radę oglądać telewizję? Albo czytać? Trzy dni? Pięć? – I, zmieniając ton: – Wypijesz jednego?

– A ty?

Jurek szedł już do barku.

– Żeby chociaż jakaś robota – mówił odwrócony plecami. – Żeby się chociaż gniazdko zepsuło… A tu, jak na złość, nic!

– Nie możesz na spacer?

– Sprawdzają trzy razy dziennie. Podjeżdżają pod blok, a ja wychylam się i macham – mówił, stawiając butelkę.

– No to wynajmij kogoś. Żeby machał za ciebie. Przecież stać cię. A ty na działkę

Jurek wyjmował wędlinę. Potem położył na deskę coś z warzyw. Nic szczególnego: ogórki, pomidory, dwie małe cebulki.

– Nie ma kogo wynająć – odpowiedział. – Ci, których mógłbym, też na kwarantannie.

– Wychodź nocą.

– Byłem dwa razy – odpowiedział, krojąc pomidora.

– No i – lepiej?

– Ile możesz włóczyć się nocą po własnym osiedlu?

– No tak… Trafisz na partol i…

– Przepraszam, że tak kroję… rzucił znad deski. – Jak na wieczór starych kawalerów.

Usiedliśmy w salonie. Jurek nalał. Pierwszego gruchnęliśmy jak furmani.

– Polej od razu drugiego.

Napełnił. Poszło, przyjemnie rozgrzewając przełyk.

– Nic nie jesz? – spytał.

– Po trzecim.

Po trzecim sięgnąłem po wędlinę. Jurek wstał i poszedł po coś go kuchni.

– Kiedy wracają? – spytałem.

– Majka mówiła, że jeśli ich puszczą, za dziesięć dni.

– O cholera.

Wypiliśmy.

– Gdyby nie telefony, to bym oszalał – powiedział, znów w drodze do kuchni. – Majka dzwoni co wieczór. Czekam na tę dwudziestą jak na zbawienie – mówił przez otwarte drzwi.

I znów wrócił bez niczego.

Po piątym, gdy wyszedł, wychyliłem się za nim z miejsca. Jurek siedział przy kuchennym. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Więcej nie było widać.

– Co ty tam robisz, jeśli wolno spytać?

– Jeszcze mogę dwa – odpowiedział.

– Co dwa?

– Kieliszki. Mierzę ciśnienie".

Tu tekst urywa się. Reszta w pojemniku. Próbowałem szukać, nic z tego. Jeśli jest, to pod toną papieru. Ale jeżeli ktoś poważnie traktuje literaturę, mogę podać adres. ■

Pan Piotr z działu rybnego

Mężczyzna z supermarketu, który sprzedawał ryby. Pogodny, skłonny do żartów. W fartuchu rybaka. Brałem zawsze dwa kotlety i zjadałem na miejscu. Opakowanie wpychałem gdzieś między regały.

– Więcej nie zjem – wyznałem kiedyś. – Zanim dotrę do kasy. Myśli pan, że ci z monitoringu widzą?

– Gdyby widzieli, dawno bym tu nie pracował – odpowiedział.

Któregoś razu zagadnął:

– Widziałem pana przy Puławskiej…

– Pan mieszka w tych okolicach?

– Byłem na pogrzebie.

– Ach, przykro…

– Nie… – wyjaśnił. – Dorabiam. Noszę z kumplem trumny. Z tej tu pracy bym nie wyżył.

Przez jakiś czas zachodziłem do marketu rzadziej. Ale gdy zachodziłem, nie widywałem go. Była zmienniczka, pani o nieruchomej ze zmęczenia twarzy. Śledzie czy mrożonki, ale także przy żywych jej mimika nie zmieniała się. Aż ciekawiło, czy dzieje się coś przy frutti di mare.

Spytałem o kolegę sprzedawcę.

– Umarł – powiedziała głosem nieruchomym jak twarz.

– Co pani mówi! Przecież to młody mężczyzna.

– Młodzi też umierają. Zdenerwował się na klienta. Tak, że w drodze do domu zmarł. Trzydzieści cztery lata Piotrek miał.

Wracałem ze świątecznymi zakupami i myślałem o tym szczęśliwcu. Którego nigdy nie zobaczę. Mimo, że mieszkamy w tym samym mieście. Tym kliencie. Do którego nigdy nie dotrze, że kogoś zabił. ■

Przystanek nawróceń

Gorąco… Duchota… Skwar… Nie chce się wychodzić ani wracać, nie chce czytać ani pisać. Prysznica też brać nie ma sensu, bo niewiele daje. Jeśli człowiek nie wstanie przed dziewiątą, potem lepiej leżeć, bo mimo rolet będzie jak spuchnięte mięso.

W głowie tli się podziw dla Aborygenów. Że też chciało im się wykombinować taki styl. Tych rysunków. A na dodatek bumerang.

Popołudnie, na przystanku kilka osób. Łapią powietrze jak rzucone na chodnik ryby. Młode wyciągają z plecaków butelki, stare karpie wtuliły się w okrawki cienia.

Jedna para nie milczy. Pan w średnim wieku siedzi, pani stoi obok. Stanęła, by pogawędzić. Mimo skwaru.

– To takie małe – mówi kobieta i kreśli w powietrzu coś na kształt kuli.

Mężczyzna słucha, przytakując głową..

– Gdy zmarł brat, zrobiłam mu pogrzeb z trumną, a jak mama, też normalny.

Mężczyzna patrzy na czubki butów. Trochę za solidnych, jak na taką pogodę.

– Z córką musiałam się zgodzić… Nie ma w tym powagi, proszę pana.

Nadjeżdża przegubowiec. →

– Muszą tak chować, z braku miejsca – odpowiada mężczyzna i wstaje.

– Ja rozumiem, ale żeby w pudełku…

– Przepraszam, wsiadam – rzuca w biegu. – Niech Bóg ma panią w opiece…

Wskakuje do środka, a kobieta obraca się na pięcie i rusza przed siebie. Idzie powoli, zacienioną stroną ulicy. Obrócona plecami nie może widzieć, że tamten wyskoczył z autobusu drugimi drzwiami.

Śledzę go spod przymrużonych powiek. Gość pokręcił się, rozejrzał po czekających, przysiadł do małżeństwa – znów w średnim wieku. Taką obrał grupę docelową. I od razu zagaduje.

Nie, nie do nich. Mąż w zimowym obuwiu zwraca się tym razem do Najwyższej Instancji.

– Dla Jego bolesnej męki miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

Gdy powtarza czwartą prośbę, kobieta pyta:

– Musi pan tak trzymać ten różaniec na wierzchu?

– To różaniec wykonany ręcznie. Przez pewne małżeństwo posiada cudowne właściwości, zbliża się apokalipsa, trzeba się modlić, aby uratować świat. Pomódlmy się razem, proszę państwa.

– Chodź, to nasz autobus – mówi jej mąż i wstaje.

Wsiadam razem z nimi. Choć też nie jest mój. ■

Przed lustrem

Majka, moja żona, gdy ruszam uszami, zaśmiewa się zawsze do rozpuku. To w mojej rodzinie, takie ruszanie, normalna rzecz. W dzieciństwie to była nasza ulubiona zabawa. Strzygę słuchami, podczas gdy reszta twarzy jest zupełnie sztywna. Nieruchoma jak kość nosa.

Z nosem podobnie. Niby umie taką sztuczkę każdy, ale nie w ten sposób. Górna warga marszczy się wtedy i podnosi. Efekt jest tak komiczny, że w internacie otrzymywaliśmy za tę sztuczkę smakołyki. Z przysyłanych paczek. W domu siadaliśmy w kółku i prześcigaliśmy się, kto lepszy. Cała piątka. Szczególnie zimą, gdy nie było co robić. Wprawialiśmy je w ruch, pokazując sobie nierówne, jak to u dzieci, zęby. Nierówne, ale ostre. Zaś najstarszy z nas, brat przyrodni, zwijał język w rurkę i wydobywał specjalne dźwięki. Jak marcowy kot. My, pozostali, tego nie umiemy. Zaśmiewaliśmy się z siebie aż do płaczu. Gdy płacz cichł, zaczynaliśmy od nowa.

Dzisiaj wigilia, będą goście. Ma ich przyjść sporo. Nikt z rodziny, sami dobrzy znajomi. Choinka jeszcze nieubrana, widzę ją przez drzwi w drugim pokoju. Majka twierdzi, że ze wszystkim zdąży. Choćby na ostatnią chwilę. Więc jak zwykle, w nerwach i galopce. Na stole też nic, nawet obrusa. Nie mówiąc o prezentach. Niespakowanych. Zresztą nie wiem, czy w ogóle jakieś prezenty są.

Nie chciałbym, aby znajomi trafili na takie byle co. Mówię to głośno, Majka jakby nie słyszała. Obraca się plecami i wychodzi – chyba do kuchni. Jej słynne „nie – bo nie". Jak nie nazwać takiego uporu tępym. Także dzieci, nasza trójka, zupełnie nieświąteczne. Kręcą się po mieszkaniu bez zajęcia, w codziennych ubrankach. Czuję że robi mi się gęsia skóra. Gdyby nie to, że zazwyczaj zdąża, no i że wigilia, zrobiłbym jej awanturę.

Wychodzę do ogrodu, zawołać najmłodsze. Naszego jedynaka – bo tamta dwójka to bliźniaczki. Te potrafią zajmować się sobą same, z tym jest ciągły ambaras. Wiecznie czegoś chce i chce. Mały męczybuła. Bez przerwy domaga się uwagi. Przede wszystkim mojej. Właśnie mojej. Majka załatwia sprawę kilkoma całuskami, a ode mnie mu to nie wystarcza. Przecież daję to samo. Przybiega i przybiega, jakby się uwziął.

Niepotrzebne nam to trzecie dziecko, to było lekkomyślne. Słabym pocieszeniem jest, że mi Majka tego nie wypomina. Czasami, jeśli chce być miła, mówi z tajemniczym uśmiechem, że też ma uczulenie na lateks. Smutne będą w tym roku święta. Zupełnie bez śniegu. Czarna stopa i czarna ziemia.

W dalekim rogu ogrodu, niknąc w mroku, kręcą się psy. Ni duże, ni małe. Są jak czekająca na hycla czereda. A może to wilki, tyle że wychowane blisko zagród. Czemu sześć – myślę – lepiej byłoby siedem.

Wołam Piotrka. Chłopiec przybiega i wchodzi do domu. Sam zostaję na zewnątrz i siadam na progu. Wilki są daleko, musi tam być w siatce dziura. Nawet gdyby chciały, nie odważą się podejść. Jest za widno, nie ukazała się jeszcze wigilijna gwiazdka.

Nic nie widzę. Są tam czy ich nie ma? W tych ciemnościach. Nasłuchuję. Cisza. Nic. Najmniejszego skowytu. To chyba samice, bo mniejsze. Cała wataha. Stoją nieruchomo, zwrócone w moją stronę. A teraz popiskują. W ciemnościach można by uważać, że to kojoty. W samym rogu siedzi spory basior, z daleka wygląda

na samca. Ale nie jest na tyle blisko, by wyczuć zapach feromonów.

Przysunęły się czy nie? I z której strony? Chyba z prawej. Uderzam na oślep butelką, na wyciągniętej ręce, ale nie wiem, czy celnie. Coś tam jest, na coś butelka trafiła, ale bez odgłosu. Jakbym walił w kłęby wełny.

Leżę w ciemnościach. Nie mam siły się podnieść. Nie mam nawet, by podnieść rękę i uderzyć któregoś w łeb. Pierwszego z brzegu, najodważniejszego. Są w pobliżu, czuję to, czuję ich sierść. Gdy Majka otwiera na chwilę drzwi, światło z mieszkania oświetla dwa najbliższe. Widzę wtedy przez moment ich cierpliwe oczy.

Cofnęły się w mrok. Doprawdy, popiskują jak kojoty. Albo małe szczury. Gdy Majka zamknie, będą się powoli przysuwać.

Zamknęła. Słyszę przez drzwi jej skierowany do gości głos: „Chce sobie uciąć małą drzemkę…".

Wilki są, choć ciemno. Trzy w pobliżu. Nie wiem, co dzieje się z pozostałymi. Trzymam butelkę, ale nie mam siły. Omdlały mi ręce. Nie całe, dłońmi mogę poruszać, ale co z tego. Przeguby i przedramię są jak z waty. Ratunku… – próbuję wołać, lecz głos zupełnie się nie rozchodzi. Mam słów pełne usta, aż mnie dławią, nie potrafią się jednak wydostać. Bełkoczę to całe „Ratunku…", raz za razem, z małymi przerwami na odzyskanie sił.

Bełkoczę coraz słabiej. Wiem, że za chwilę nie będę nawet mruczeć. Gdy ucichnę, najodważniejszy ugryzie. Dwa kolejne doskoczą, gdy poczują krew. Ręka z butelką leży bezwładnie na trawniku. Ratunku… – wzdycham i szepczę.

Ratunku. Więc tak się to kończy. Rano mnie znajdą, a raczej resztki tego, co było mną. Różowe, nie do końca obgryzione kości. Może także pozbawiony uszu i nosa łeb. Zaś po świętach pojawi się na ostatniej stronie lokalnej gazety tekst: „Zagryziony w Wigilię przez wilki". ■

* * *

Naprzeciw dobrze znana ściana. Chropawa biel. Obok regał, na którym trzymam podręczne tomiki poezji. Czy słyszeli je sąsiedzi? Te moje wołania? W środku nocy. O ratunek. Ten bełkot przez sen. Bo to musi brzmieć jak bełkot, mowa z zamkniętymi ustami. I te wszystkie jęki. Które słyszałem, gdy się budziłem. Nawet jeśli coś dolatywało, nie dadzą nic poznać. Nieraz musieli słyszeć, ale sąsiadów mamy porządnych. Będą mówić „dzień dobry" jakby nigdy nic.

W łazience myję zęby. Z resztek pokarmów – bo nim się zdrzemnąłem, zjadłem tatara. Co prawda wersja uproszczona, z cebulą i pieprzem, ale to nic nie zmienia. Nieprawda, zmienia, teraz jednak to nieważne. Zęby trzeba myć, mam to z dzieciństwa. Jem tatara od tygodnia, jeśli nie na śniadanie, to na kolację. Tak już mam, że jeżeli mi coś zasmakuje, będę jadł i jadł. Aż do zanudzenia. Zaś po nasyceniu zachcianki popadam w drzemkę. Która zmienia się w pełny sen.

Czasami zasypiam przy telewizorze, czasami robię to świadomie. Lubię zasnąć, mając w ustach smak tego, co jadłem. To przedłużenie przyjemności przeżuwania. Zazwyczaj zdarza się po mięsie, nie zawsze oczywiście surowym. Majka złości się, że wszędzie pełno wykałaczek.

Patrzę w lustro. Patrzę długo. W swoje oczy. Nie są małe ani kaprawe. Są tylko zaspane. Płuczę usta. Dokładnie i długo. Nalewam pół nakrętki dentoseptu, trochę go rozcieńczam. Wolę czerwony od miętowego, lubię ten lekko metaliczny smak. Stawia do pionu. Miętowo-słodki ma w sobie coś osłabiającego. Wypluwam zaróżowioną pianę do umywalki.

Szczerzę się do lustra. Zęby wypucowane, można się kłaść. I wtedy, gdy już mam wrócić do betów, zupełnie bez zamiaru ruszają mi się uszy. One mi. Nie ja nimi. To ta sztuczka – tyle, że teraz strzygę bezwolnie. Zaś włosy, przycięte wczoraj przez zaprzyjaźnioną panią Kasię, stroszą się. Właśnie jak sierść. Nie od razu na całej głowie. Stopniowo, falami. Jak fala kibiców.

Patrzę ślepkami w lustro. I zaczynam powoli rozumieć. Powoli, ale szczerze. To jasna myśl. Jedno z tych zwykłych olśnień. A więc to tak. Teraz rozumiem, teraz wreszcie do mnie dotarło. Więc to ja. To ja jestem tym wilkiem. Swoim wrogiem. Swoim – i nie tylko swoim. Którego wszyscy unikają. Omijają. Nie podchodzą. Zaś jeśli, to w jakiejś sprawie. W tak zwanych interesach. Albo z innym kijem.

Wilk więc. Który sam siebie atakuje. Który podchodzi przez noc. Wchodzi we mnie przez sen. To on. To ja. Ja sam. Ja – mój największy wróg. Wcielone zło. Jeszcze czegoś próbuję, ale przecież to skazane na przegraną. Jak każda walka. Resztę łatwo przewidzieć.

Jeszcze nie teraz. Nie. Na pewno nie. Nie wiem, kiedy będzie, ale będzie. Może za kilka lat – albo za chwilę. Prędzej czy później, skoczę sobie do gardła. ■

Kartka na święta

Na moim parkingu sporo pustych miejsc. Kto mógł, musiał lub chciał, wyjechał na groby. Za to przy kwiaciarniach i cmentarzach ruch. Również placyki przy sklepach zajęte. Wieńce, wiązanki, imponujący wybór zniczy. Ceny różne, również wysokie. Handlowcy i handlarze mają pretekst: inflacja. Ponoć są rodziny, które przez cały rok przygotowują okolicznościową ofertę – a potem przez rok z tych pieniędzy żyją.

Nigdzie w tym roku nie pojadę. Za daleko. I za szeroko. Rodzina rozsypała się po całej Polsce. Ojciec koło Kwidzyna, mama prawie na Warmii. Zresztą jestem z nimi codziennie. Oni też patrzą na mnie z wiszących na ścianie portretów.

Cmentarze. Porządkowania, zaduma i smutek. Każdy ma tyle, ile mu potrzeba. Ile chce mieć. Każdy ma swoje groby.

Rano na Czechów, do fryzjera. Spóźniony. Parkuję przy supermarkecie i biegnę. Niewielkie spóźnienie, spowodowane kolizją na rondzie. Zderzyła się karetka z osobowym. Przepraszam panią Kasię, a ona na to:

– Nic się nie stało, mam dziś wolne.

– Przyszła pani specjalnie?

– Byłam poumawiana z klientami. – I dodaje: – Gdy mam wolne, mogę spokojnie pracować.

Ostrzyżony, zatrzymuję się przy panu sprzedającym z chodnika tak zwane owoce jesieni. Pan rozłożył się wzdłuż ślepej ściany marketu, na całej jej długości. Zaś na końcu swojego sklepu umieścił wagę.

– Jeżeli postawi pan w połowie – mówię – będzie bliżej.

– Chodzi o to, by dalej – odpowiada z uśmiechem. – Żona dokucza, że urósł mi brzuch.

– Niech pan postawi pod tamtym blokiem – doradza ktoś z kolejki.

Zaglądam do stojącego obok kiosku. Z pieczywem i wędlinami. „Z Roztocza" – głosi reklama. Ujmująco szczupła dziewczyna potwierdza: — Prosto ze Szczebrzeszyna.

Wierzę, bo ma szparkę między jedynkami. Mimo to a raczej właśnie dlatego dopytuję:

– Kiełbasa naprawdę z szynki?

– Jeśli lubi pan suche, ta u mnie najlepsza. Proszę spróbować – i kroi spory plaster.

Kupiłem kiełbasę. Ciężki kilogram. Oraz salceson z nóżek. I świeżutki, żytni chleb.

Wracam do domu. Ledwie zaparkowałem i wyjąłem siatki, nadchodzi pani profesorowa.

– Idę po żeberka – zwierza się. – Nastawiłam kapustę, trzeba ją uszlachetnić.

– A ja nabyłem kilo kiełbasy – chwalę się i rozwijam papier. – Z Roztocza.

– Ależ pachnie… – mówi pani profesorowa.

– Mimo dystansu społecznego?

– Tak. Aż tutaj.

– A teraz? – pytam, robiąc krok w tył.

– Też.

– A teraz? – powtarzam z odległości następnego.

– Już nie.

Za trzy dni Zaduszki. Mamy na parkingu swoje miejsca. Ale kiedyś je chyba zwolnimy. Mówię to Marcie, a ona:

– My już coś podejrzewamy, młodsi uważają, że to ich nie dotyczy.

– Tak właśnie powinno być.

Bernard Nowak

Stanisław Ostoja Chrostowski, *Ptak na śniegu*, drzeworyt, 1931, zbiory POLONA

(KS)

Malarstwo
Kamili Kowalik

foto Artur Kowalik

Maluje od najmłodszych lat.

Urodziła się w Lublinie 23 czerwca 1975 r. Malowała już od najmłodszych lat i rozwijała swoje umiejętności plastyczne na zajęciach w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych przy ul. Grodzkiej w Lublinie. Jednak faktyczną realizację swojej twórczej pasji malarskiej rozpoczęła w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, które ukończyła latem 1995 r. Jesienią 1995 roku rozpoczęła studia na Wydziale Artystycznym UMCS, a dyplom uzyskała w 2000 roku.

Kamila Kowalik uprawia malarstwo, rysunek i grafikę. Zajmuje się również grafiką komputerową.

Malarka należy do grona tych twórców, którzy uwielbiają opisywać świat. Każdą wolną chwilę poświęca malarstwu. Pracuje impulsywnie z wielką pasją, zaangażowaniem i wytrwałością. Sama o sobie zwykła mówić:

– Gdy zamykam się ze swoimi płótnami, pędzlami i farbami, czuję się wyjątkowo. Koncentruję się na własnym wnętrzu, emocjach, nastrojach. Po prostu opowiadam kolejną historię.

Maluje też farbami akrylowymi, tuszem, czasami używa też kredek czy umieszcza na swych obrazach kawałki tektury lub błyszczące kryształki tworząc w ten sposób swoisty kolaż.

Artystka uczestniczyła w kilku wystawach indywidualnych. Pierwsza prezentowała cykl obrazów olejnych *Impresja o niej czyli Kobieta w przestrzeni*. Były to kobiece akty wtopione w osobliwą, nierealistyczną przestrzeń, tajemnicze, utrzymane w lirycznym klimacie.

Wernisaż w Domu Kultury LSM

Artystka – wernisaż w Domu Kultury LSM

Feeling, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna z cyklu *Portret natury*, kolekcja prywatna

Rzeka, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna z cyklu *Portret natury*, kolekcja prywatna

Kolejna wystawa zatytułowana *New York na czarno i w kolorze* była wynikiem odbywanych przez nią podróży. Wiele czasu spędziła w Nowym Jorku, który darzy szczególnym sentymentem. Swoje obserwacje i doznania, związane z tym miastem, chętnie przelewa na płótno. Nowojorski motyw często pojawia się w jej malarstwie. Wystawa prezentowała dwie dziedziny sztuki: malarstwo i grafikę, potraktowane jednak przez artystkę swobodnie, poddane swoistym modyfikacjom.

Ostatnia indywidualna wystawa malarstwa Kamili Kowalik miała miejsce 20 marca 2018 r. i nosiła nazwę *Portret miasta*. Autorka zaprasza widza w pełną nostalgii podróż po zakamarkach jej wspomnień w kontekście podróży po najpiękniejszych miastach świata od Barcelony, przez Rzym i Wenecję po Nowy York. Odważnie odwiedzamy wraz z nią miejsca, które z pewnością na zawsze zmieniły ją samą. Czy to tęsknota, marzenie czy zachwyt nad tymi wyjątkowymi skrawkami świata? To wielka zagadka, jakie skojarzenia i wspomnienia kryją te kompozycje na płótnach – a to jeszcze bardziej ekscytuje odbiorcę. Na jednej przestrzeni łączą się ze sobą niejako dwa tematy: portret kobiety oraz charakterystyczne elementy pejzażu znanych nam wszystkim miast. To jakby ich symbioza. To cykl portretów tworzący opowieść o klimacie miasta i kobiety. Ta ostatnia niekiedy przeszywa nas wzrokiem, innym razem ukrywa twarz pod surrealistycznym kapeluszem miasta, lub rozmywa się w niedopowiedzianym krajobrazie, przestrzeni.

Artystka w niezwykły sposób łączy ze sobą kolory. Część obrazów jest szara, ale jednocześnie wiele tam błyszczącego złota i srebra. Na innych obrazach zauważyć można jaskrawe barwy przywołujące nasz wzrok. Wszystko to składa się na całość i tworzy określony klimat i nastrój. Wzrok obserwatora mimo woli wciągany jest w głąb przestrzeni, aż do drobnego detalu umieszczonego w niespodziewanym miejscu. Nie ma na tych obrazach mężczyzn. Jest kobieta. Marząca, zamknięta w sobie, rozpoetyzowana, zagadkowa. Kobieta–tajemnica. Obrazy podszyte są nutą sentymentalną, by nie powiedzieć ckliwą. Na wielu dominuje woda – spokojna, ale są i wodospady, chmury, skrzydła, żagle. Nie ma drzew, są tunele ulic. Stara i nowa architektura, znana z innych obrazów i fotografii. Odnoszę wrażenie, że autorka prezentuje fragmenty swoich snów. Piękne sny, interesujące obrazy.

Malarka o sobie

Maluję od zawsze, od najmłodszych lat. Całe dzieciństwo spędziłam wśród malarzy, między sztalugami i w zapachu werniksu. Rodzice mieli wielu przyjaciół malarzy, a ja razem z nimi bardzo często bywaliśmy w ich pracowniach. Moja ciocia, siostra mamy pracowała w galerii

(*Architektura świata*), 120 × 90, płótno, akryl, tech, własna z cyklu *Kobieta Anioł*, kolekcja prywatna

Perfect Angel, 120 × 90, płótno, akryl, tech. własna z cyklu *Kobieta Anioł*, kolekcja prywatna

plastycznej tzw. Plastyku przy Krakowskim Przedmieściu. Tam też często bywałam i napatrzyłam się na mnóstwo dzieł sztuki. Nic więc dziwnego, że pierwszy swój obraz na płótnie, który zachował się do dziś, namalowałam w wieku chyba 11 czy 12 lat.

Dziś maluję głównie akrylami na płótnie.

Lubię mieszać różne media, eksperymentować.

Wypracowałam swoją własną technikę połączoną niekiedy z farbą olejną.

Moje obrazy nie są gładkie. Pojawia się na nich zamierzona i przemyślana faktura łącząca kompozycję. Często przyjmuje ona formę grubych nawarstwień farby, struktur.

Niezależnie od doświadczeń zawodowych zawsze powracam do sztuki, by zajrzeć w głąb mojej wyobraźni. Malarstwo to moja pasja. Maluję dla przyjemności i z chęci wyrażania siebie, ale także zawodowo.

Tematyka moich prac jest raczej zawężona. Inspirują mnie kobiece emocje, pasje. Czuję potrzebę ich uchwycenia i zamknięcia formą na płótnie. Staram się przedstawić w moich obrazach tę emocjonalną stronę kobiecości.

Kobiety są mi bardzo bliskie. Ciekawią mnie ich emocje, historie, wyjątkowość, dlatego to one najczęściej pojawiają się na moich obrazach przedstawione w różnych cyklach *Anioły miast, Portret natury, Portret miasta*.

Kobiety nie są jednak jedynym tematem mojej twórczości. Moja fascynacja cudownymi miejscami, architekturą, malowniczymi miastami, plenerami, ulicami zaowocowała cyklami obrazów *Mosty wielkich miast*, Wytchnienie.

Bardzo ważny w moim tworzeniu jest dla mnie detal. Poświęcam mu dużo czasu na moich płótnach. Detale, technika nakładania farb, tworzona struktura, ilość warstw, a także narzędzia pracy – to składowe, dzięki którym moje obrazy stają się oryginalne i niepowtarzalne.

Malowanie to mój sposób na życie. Droga, którą wybrałam, była i nadal jest niezwykle trudna, ale bardzo dla mnie ważna. Jestem szczęśliwa, że mogę oddawać się swobodzie twórczej, cieszy mnie droga niezależnej artystki. Nie jestem związana z żadną galerią na wyłączność i bardzo cenię sobie wolność działania. Ważne jest to, by żyć w zgodzie ze sobą.

Jednym z moich marzeń jest dalej nieskrępowanie tworzyć i realizować nowe pomysły, które niekiedy przychodzą nagle, zupełnie niespodziewanie.

Co powiedziałabym odbiorcom mojej twórczości?

Odbieraj sztukę emocjonalnie, nie staraj się zrozumieć co artysta miał na myśli. Twoja interpretacja jest właściwa. Świetnie, jeśli myślisz po prostu tak: Ten obraz mi się podoba. I chcę go mieć u siebie. Będzie mi bardzo miło, jeśli moje obrazy ozdobią Wasze wnętrza. Ręcznie malowane

Nostalgia w Paryżu, 90 × 120, płótno, akryl, tech, własna z cyklu *Kobieta i Architektura*, kolekcja prywatna

Bryza, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna z cyklu *Kobieta w Naturze*, kolekcja prywatna

obrazy uznawane są za oznakę luksusu, piękna i dobrego gustu.

Mimo długiej, wieloletniej już pracy twórczej i setek namalowanych obrazów mogę pochwalić się tylko kilkoma indywidualnymi wystawami. Rzadko publicznie eksponuję swoje prace. Po prostu obrazy szybko znajdują nabywców – w tym wielu z zagranicy. Marzy mi się docierać do jak największej ilości odbiorców poszukujących dla siebie sztuki.

Marzy mi się również własna galeria. Czekam więc, co przyniesie przyszłość.

Prasa o wystawach

– Nie wiem, co mnie natchnęło, ale w fatalny wtorkowy ranek 11 września 2001 roku, jak się potem okazało, na kilka godzin przed tragicznymi wydarzeniami w Nowym Jorku, wzięłam blejtram, farby i zaczęłam malować…wieże World Trade Center. Rzecz w tym, że coś kazało mi namalować jedną wieżę złamaną w pół – mówi Kamila Kowalik, absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS.

– Tak się złożyło, że świeżo po powrocie z USA przygotowuję wystawę grafiki i malarstwa. Ma ona nosić tytuł *New York na czarno i w kolorze*. Jej otwarcie zapowiedziane jest na przyszłą sobotę. Są już wydrukowane zaproszenia i katalog wystawy. Są oczywiście także grafiki i obrazy. Niektóre przedstawiają dwie charakterystyczne nowojorskie wieże, które dominują, a właściwie już dominowały w pejzażu tego miasta. Można powiedzieć, że dziś są to już obrazy historyczne. Oprócz tych gotowych prac, coś jednak kazało mi namalować jeszcze jeden obraz – kontynuuje swą opowieść plastyczka. Zabrałam się więc do malowania we wtorkowe przedpołudnie. Naszkicowałam World Trade Center z… jedną pochyloną, czy też złamaną wieżą. Gdy po południu dowiedziałam się o tragedii, najpierw zbladłam z przerażenia, a potem zabrałam się do wykończenia pracy. Na drugi dzień obraz był już gotowy.

W czwartek 13 września w specjalnym dodatku „Kuriera Lubelskiego" ukazał się powyższy tekst ze zdjęciem gotowego obrazu, pokazującego, a może raczej zapowiadającego nowojorską tragedię. Tekst popisany jest inicjałami wrr. Do dziś zachowałam egzemplarz tamtego „Kuriera Lubelskiego".

Wernisaż wystawy *New York na czarno i w kolorze* odbył się w Kawiarni Artystycznej Hades w sobotę 21 września 2001 roku o godz. 19.

Autorka nie zachowała natomiast egzemplarza „Kuriera Lubelskiego" z recenzją, jaka ukazała się po innej wystawie, której głównym tematem była kobieta, a może dokładniej – piękno kobiecego ciała. Napisał ją dziennikarz tej gazety Andrzej Kowalczyk i to on jest autorem tytułu tejże wystawy *Kobieta w przestrzeni.*

Po horyzont, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna z cyklu *Kobieta w Naturze*, kolekcja prywatna

Nostalgia z cyklu *Kobieta w Naturze*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

O następnej wystawie Kamili Kowalik napisała „Awangarda Lubelska" w kwietniu 2018 roku. Tekst wraz ze zdjęciami zamieścił Zbigniew Miazga. Oto on:

W Domu Kultury LSM czynna jest od 20 marca wystawa obrazów Kamili Kowalik. Artystka urodziła się w Lublinie w 1975 roku. Malowała już od najmłodszych lat rozwijając swoje umiejętności plastyczne na zajęciach w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych przy ul. Grodzkiej w Lublinie. Tak naprawdę jednak jej twórcza przygoda ze sztalugą i paletą rozpoczęła się w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, gdzie malarstwa uczyli ją tam tacy nauczyciele jak: M. Kosowski, J. Zyśko czy K. Turczyński. Jesienią 1995 roku rozpoczęła studia na Wydziale Artystycznym UMCS pod okiem takich nauczycieli jak W. Wróblewski i K. Rumowski. Dyplom uzyskała w roku 2000.

Kamila Kowalik obecnie uprawia malarstwo, rysunek, grafikę. Zajmuje się również grafiką komputerową. Obecna wystawa jest jej trzecim indywidualnym pokazem.

Pierwszym razem zaprezentowała cykl obrazów olejnych zatytułowanych *Impresja o niej czyli Kobieta w przestrzeni*. Były to kobiece akty, usytuowane w surrealistycznej, niedopowiedzianej przestrzeni o lirycznej wymowie. Płótna cechowała spoistość i spokój, mimo używania niekiedy odważnych kolorów. Na wielu obrazach rysowała się nieprzypadkowa faktura nadająca kompozycji całość. Często przyjmowała ona formę koła bardziej lub mniej zdeformowanego, kiedy indziej osiągała efekt zmarszczonego płótna.

Inna wystawa Kamili Kowalik zatytułowana *New York na czarno i w kolorze* była wynikiem odbywanych przez nią podróży. Dużo czasu spędziła w Nowym Jorku i zdążyła pokochać to miasto. Często przewija się to w jej twórczości i chętnie przelewa ona spostrzeżenia i doświadczenia z tego miejsca na płótno. Wystawa ta łączyła dwie dziedziny sztuki: malarstwo i grafikę, w obu z nich artystka wprowadziła znamienne deformacje.

Obecna wystawa nosi tytuł *Portret miasta*. To subtelna artystyczna projekcja przeszłości autorki, w kontekście odbytej odysei po najpiękniejszych miastach świata, od Barcelony, przez Rzym i Wenecję po Nowy York. To cykl portretów tworzący opowieść o klimacie miasta i kobiety. Wystawa czynna będzie do 6 kwietnia.

Przestrzeń i sceneria tych obrazów jest niepowtarzalna, tajemnicza, niekiedy zgoła fantastyczna. Wszystko to jednak pozostaje w pełni oryginalną autorską kreacją. Właśnie tak – kreacją, albowiem Kamila Kowalik nie tyle przedstawia świat zastany, ile raczej kreuje własne uniwersum i ów akt kreacji dokonuje się na dwóch planach: jako tworzenie obrazu, lecz także tworzenie nowego wszechświata. Tutaj również pojawia się owa charakterystyczna

Nowojorska puenta z cyklu *Portret miasta*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

Wenecja teatralnie z cyklu *Portret miasta*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

Paryż z cyklu *Portret miasta*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

(*New York—WTC*), 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja rodzinna

foto Artur Kowalik

faktura porządkująca i scalająca kompozycję. Często przyjmuje ona formę grubych nawarstwień farby, struktur, kiedy indziej jest fragmentem postrzępionego płótna. Obrazy nie są gładkie. Farba położona jest na obrazach grubą warstwą, w niektórych miejscach wręcz odstaje. To budzi zainteresowanie. Obrazy z bliska wyglądają zupełnie inaczej, intrygują, wręcz proszą czasami, aby je dotknąć, wodzić palcem po ich wypukłościach.

Obrazy Kamili Kowalik zdobią ściany licznych domówi i mieszkań nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Osiągnięty przez nią pułap wcale jej jednak nie zadowala. Tworzy nadal, maluje, szkicuje, gromadzi nowe spostrzeżenia i pomysły. Bezustannie myśli o następnych zamalowanych płótnach. Czekamy więc na… następną wystawę..

KS

Ocean girl cyklu *Kobieta w Naturze*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

Zbigniew Herbert – Rodzinny

Z Beatą Elżbietą Lechnio (z domu Żebrowską) – siostrzenicą Zbigniewa Herberta – rozmawia Jerzy Jacek Bojarski

Beato, czy pamiętasz ten moment od czego się zaczęła nasza znajomość wokół Wielkiego Poety Zbigniewa Herberta? Przepraszam, że mówię do Ciebie po imieniu, ale łączą nas więzy koleżeństwa, byliśmy studentami Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach 1978–79 studiowaliśmy na Wydziale Humanistycznym: Ty wybrałaś klasykę, ja – historię, to było 43 lata temu!

Beata Elżbieta Lechnio: Tak przypominam sobie ten fakt, powiem jednak szczerze, dość mgliście. Gdyby nie twój telefon do mnie w czerwcu 2022 roku uznałabym to za pewien rodzaj amnezji.

Po pierwsze: minęło od tamtego wydarzenia, jak już obliczyłeś, 43 lata! To szmat czasu. Umknęło to mojej pamięci. Po drugie: to ty mi przypomniałeś – w trakcie naszej rozmowy telefonicznej – że zaprosiłam ciebie do domu wuja Zbigniewa Herberta, do mieszkania na ulicy Promenady 21. Wybacz, ale ja tamtego wydarzenia po prostu nie pamiętałam! Pamiętam wiele momentów z lat studiów, choćby chwile wspólnych wykładów na Wydziale Humanistycznym KUL. Przypomniałam sobie, że byłam kilka razy u ciebie w domu przy Wileńskiej w Lublinie, pojawiłam się w twoim mieszkaniu z naszym kolegą z roku Markiem Dąbrowskim, a ty nas serdecznie gościłeś.

Zbigniew Kresowaty, *Portret Zbigniewa Herberta*, papier, pastel, kolekcja prywatna, Wikipedia

I ja pamiętam dobrze tamtą sytuację! Jeśli mnie pamięć nie myli, miałaś w tamtym czasie zagipsowaną rękę! Przypomnę również, że w roku 1979 byłem na praktyce archiwistycznej w Archiwum Miasta Stołecznego na Starym Mieście. To wtedy, we wrześniu, zostałem zaproszony do mieszkania Zbigniewa Herberta. Dla mnie było to niecodzienne, kosmiczne zaproszenie, dlatego tamte chwile tak mocno utkwiły w mojej pamięci. Być może to tak zwana pamięć historyczna? Nie wiem. Dzwoniłem do Marka Dąbrowskiego, nie pamiętał zaproszenia sprzed lat. Numer Twego telefonu uzyskałem od Twego brata Rafała, który był moim nauczycielem akademickim na III roku historii (1980/1981). Skontaktowałem się z Tobą i Markiem, drążyłem temat, przekonywałem Was o niezwykłości tamtych spotkań i odwiedzin. Rozmowy telefoniczne zrobiły swoje z czego się bardzo cieszę. Powstał zbiorowy obraz pamięci tamtego historycznego zaproszenia i pobytu!

Tak, wspólnymi rozmowami udało się przywołać obraz pobytu u Wujka Zbigniewa z 1979 roku, w jego mieszkaniu. Tu kilka zdań z historii mojej młodości. Porzuciłam przygodę naukową z klasyką na KUL i przestaliśmy się spotykać. Wyznam również, iż to Zbigniew Herbert, brat mojej Mamy Haliny Herbert-Żebrowskiej, był gorącym promotorem moich studiów w Lublinie. Mój ojciec, Tadeusz Żebrowski, lekarz, zmarł bardzo młodo. Wychowywałam się bez ojca. Wuj pomagał siostrze, samotnej →

Beata Elżbieta Lechnio i Jerzy Jacek Bojarski na dziedzińcu KUL

matce z dwójką dzieci i zasugerował studia na klasyce. Miałam traumę związaną z KUL-em i studiami. Na szczęście skończyłam inne studia, pedagogikę w Warszawie. Po przeszło czterdziestoletniej nieobecności w Lublinie odwiedziłam KUL i trauma minęła, jak ręką odjął! Teraz tamten czas uważam za błogosławiony.

Beato, wiedziałem, że jesteś siostrzenicą i chrześnicą Zbigniewa Herberta, choć się z tym nie obnosiłaś. Kiedyś na jednej z audiencji na Placu św. Piotra w Watykanie, papież Franciszek miał katechezę o chrzcie świętym. W trakcie katechezy zadał pytanie wiernym – tym zebranym na Placu i tym przed telewizorami, przy odbiornikach radiowych – „a czy ty pamiętasz datę swego chrztu, to jest ważniejsza data niż sam fakt urodzenia!? Bo chrzest to są narodziny dla Nieba, to życie wieczne!" Pójdę śladami Ojca Świętego Franciszka i zapytam Ciebie o datę chrztu?

Tak, znam tę datę! Byłam chrzczona 31 maja w 1961 roku w Otwocku w kościele parafialnym pw. świętego Wincenta a Paulo. Niedawno z kancelarii parafialnej, po wielkich przygodach, dostałam wreszcie wypis z mojego chrztu i ksero z Księgi Chrztów. Moimi rodzicami chrzestnymi byli: brat mojej Mamy Haliny – Zbigniew Herbert i siostra Taty – Irena Orłożyńska. Wydobycie dokumentu było dla mnie niezwykłym przeżyciem. Od najmłodszych lat wiedziałam, że wuj Zbigniew był moim ojcem chrzestnym. Dzisiaj, kiedy trzymam w ręku artefakt w postaci wypisu, jestem dumna i szczęśliwa... Wielki poeta Zbigniew Herbert – moim ojcem chrzestnym! Wielki poeta chrzestnym w Otwocku! To jest także niezwykła gratka dla parafii w Otwocku i herbertologów.

Dobrze, skoro jesteśmy już przy chrzcie, to powiedz, kiedy i gdzie był ochrzczony Twój ojciec chrzestny – Zbigniew Herbert? Wiesz, gdzie się urodził, gdzie mieszkał i wychowywał? Potrafisz powiedzieć coś więcej o rodzinie, rodzeństwie i mieście za którym bardzo tęsknił, wszak to ono ukształtowało jego wrażliwość i patriotyzm!

Zgoda. Ale najpierw wyjaśnienie. Nigdy nie udzielałam wywiadów. To pierwsza taka moja rozmowa, mam więc tremę. Nie wiem czy udźwignę ciężar wywiadu. Strażniczką pamięci wybitnego Poety była zawsze moja Mama, cóż, zmarła 29 września 2017 roku. Po jej śmierci pragnę podjąć się tego trudnego zadania, chcę strzec dobrego imienia wybitnego poety, wielkiego patrioty! Ale należy pamiętać, że Zbigniew Herbert był także znakomitym eseistą, rysownikiem, podróżnikiem, historykiem sztuki, wreszcie myślicielem i filozofem. Z bólem wyznaję, że wcześniej nie próbowałam podjąć się tego zadania, na przeszkodzie stał brak czasu, wyczerpująca praca nauczycielki, mnóstwo obowiązków zawodowych. Obecnie jestem na emeryturze i usiłuję wyrównać straty, nadrobić, jeśli to możliwe, utracony czas. Muszę jednak z pokorą wyjawić, że nie jestem herbertologiem, historykiem, krytykiem literackim, ani znawcą twórczości mego wuja. Wiem i to jest dla mnie najważniejsze, że był człowiekiem prawym, pokornym, zawsze stawał po stronie słabszych, skrzywdzonych, a w życiu wybierał zawsze najtrudniejszą z dróg.

Urodził się we Lwowie, było to 29 października 1924 roku. Ochrzczony został 29 grudnia tego samego roku w kościele pw. św. Antoniego na Łyczakowie. Był

młodszym bratem mojej mamy Haliny Herbert-Żebrowskiej. Najmłodsza zaś latorośl w rodzinie Herbertów – Januszek, przyszedł na świat 19 marca 1931 roku, stał się obiektem zachwytu i miłości starszego rodzeństwa. Przyszły poeta spędził dzieciństwo we Lwowie w mieście wielokulturowym, wielonarodowościowym... To przepiękne miasto, położone wśród pagórków i lasów, mnóstwo pięknych zabytków: Rynek, Ratusz, pomniki, kościoły, arsenał, Baszta Prochowa, kopiec Unii Lubelskiej, Ossolineum, Uniwersytet, Politechnika, pałac Lubomirskich, kamienica Bandinellich, teatr... Było to przede wszystkim miasto polskie, „axis mundi". Zbigniew został wychowany w kulcie Orląt Lwowskich i od najmłodszych lat wraz siostrą odwiedzali cmentarz mauzoleum obrońców Lwowa. Obserwował też defilady 3 maja i 11 listopada dumny z odzyskanej niepodległości przez Polskę. Pierwsze lata życia spędził z rodzicami Marią (z Kaniaków) i Bolesławem Herbertami, babcią Marią z Bałabanów Herbertową i jej siostrą Haliną, w mieszkaniu przy ulicy Łyczakowskiej. W roku 1932 Herbertowie przeprowadzili się na ulicę Piekarską, potem przenieśli się na ulicę Tarnawskiego, zaś pod koniec lat 30. zamieszkali przy ulicy Obozowej, niedaleko parku Stryjskiego. Matka nie pracowała, zajmowała się domem, dziećmi, ojciec był prawnikiem, miał zainteresowania humanistyczne i potrafił je przekazać swoim dzieciom. Zarówno Zbigniew, jak i moja Mama uwielbiali słuchać opowieści babci – Marii z Bałabanów, znała mnóstwo baśni, legend, dzieci chłonęły przygody bohaterów „Trylogii" i rozczytywały się w „Panu Tadeuszu". Zbigniew z domu rodzinnego wyniósł (m.in.) dwie ważne rzeczy: miłość do podróży, która została zaszczepiona przez ojca Bolesława, a drugą do czytania książek. Wszystko to co opowiedziałam, dowiedziałam się ze wspomnień mojej mamy Haliny. Potrafiła, jak jej babcia, opowiadać barwnie, jej język był bogaty, giętki, żywy i interesujący. Dzięki uważnemu słuchaniu wiele rzeczy przetrwało w mojej pamięci. Ważną funkcję w życiu rodziny spełniał domek letniskowy w Brzuchowicach pod Lwowem. Dzieciństwo Zbigniewa było wspaniałe, szczęśliwe, ale przerwane brutalnie wojną, wygnaniem z ukochanego Lwowa, rodzinnego domu i wielką osobistą tragedią – śmiercią dwunastoletniego Januszka.

Joanna Siedlecka, autorka dzieła „Pan od poezji"

Zbigniew Herbert to wielki poeta ale i niezrównany nauczyciel patriotyzmu. Z ludźmi, z którymi nie było mu po drodze, odważnie zrywał znajomości, zerwał też współpracę z „Gazetą Wyborczą". Jednak po śmierci męża, półtora roku później, a przeszło dwadzieścia lat temu, Katarzyna Dzieduszycka-Herbert udzieliła wywiadu „Wyborczej", choć poglądy męża nie były jej obce. Na wstępie rozmowy z dziennikarzem przeprowadzającym wywiad wymienili kurtuazyjne uwagi, niczym przed meczem piłkarskim kapitanowie drużyn proporce, napomknęli, że w gruncie rzeczy boją się tej rozmowy. Dlaczego więc się zdecydowała na ten wywiad!? to dla mnie wielka tajemnica! A może wcale nie? Bowiem pani Herbertowa nadmieniła wręcz, że chce wiele rzeczy prostować i wyjaśniać. Qui bono? Dla czyjego dobra? – chciałoby się zapytać.
Pytam więc per analogiam czy Ty również boisz się tej rozmowy i czy masz coś do wyjaśniania i prostowania miłośnikom Herberta?

Strach nie jest dobrym doradcą. Nie boję się tej rozmowy, mimo tremy, bowiem uważam, że Herbert był →

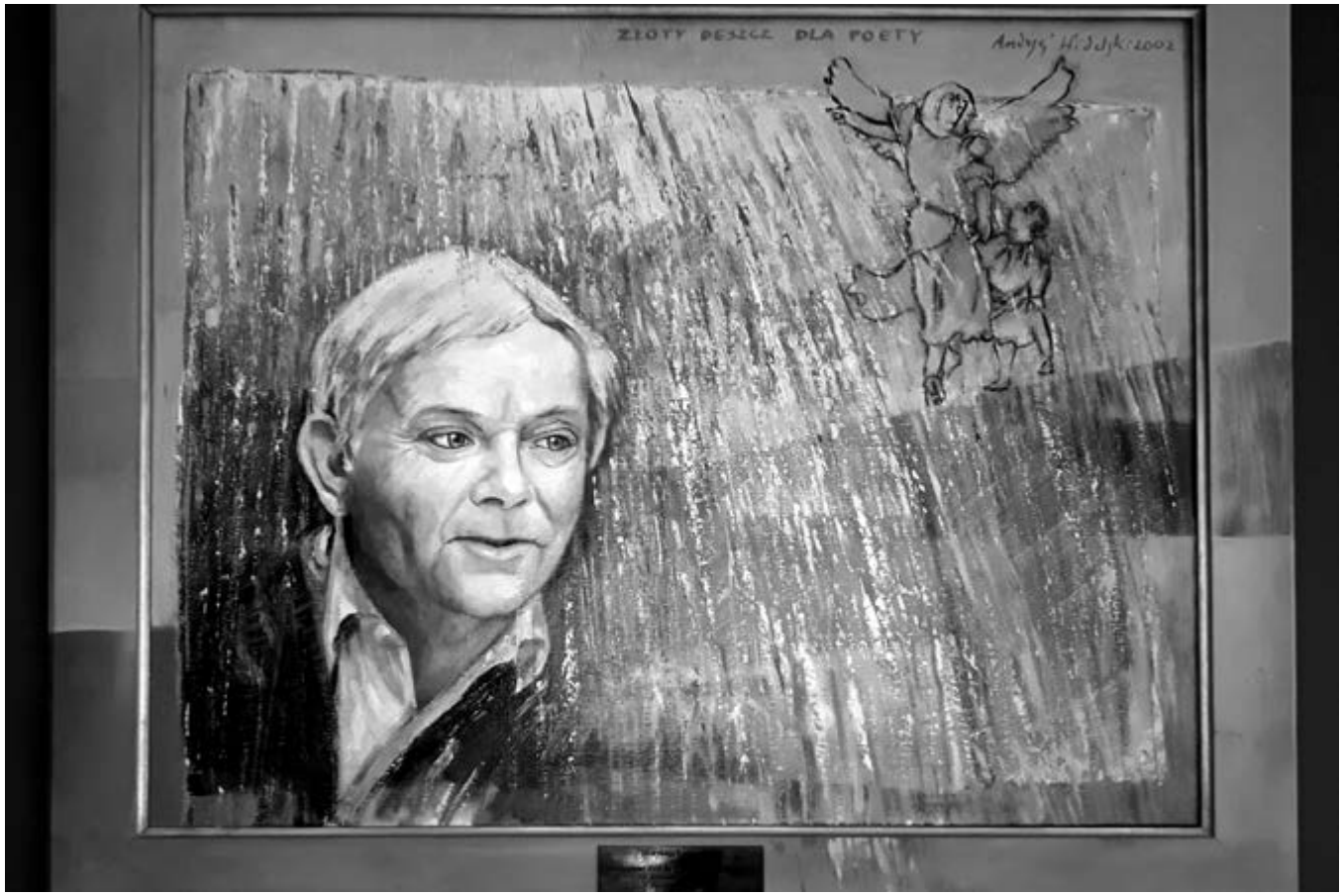

Złoty deszcz dla poety. W prawym rogu Anioł Stróż ze szkicownika Z. Herberta

człowiekiem odważnym, konsekwentnym w odrzucaniu stalinizmu czy tzw. realnego socjalizmu. Jego nawracające niedyspozycje zdrowotne nie miały żadnego wpływu na postrzeganie ówczesnej rzeczywistości, jak próbują mu imputować biografowie. Niepodległy, niepokorny, nie uznający życiowych kompromisów. Ostro wypowiedział się o kolegach-literatach w książce Jacka Trznadla „Hańba domowa", ta rozmowa nosi tytuł „Wypluć z siebie wszystko!" Mówił, że literaci zapewnili władzy legitymizację. Sam nie dał się zniewolić stalinizmowi, rok 1945 widział jako jeszcze trudniejszą okupację, a nie wyzwolenie. W tym okresie, według Herberta, nie powstały żadne wybitne dzieła. Słusznie nazywany jest Księciem Niezłomnym. Nie mam nic do wyjaśniania i prostowania. Niech to robią ci, którzy na Zbigniewie Herbercie chcieli zbić kapitał popularności, lansowania się i uderzyli niegodziwie w Jego osobę!

Propaganda komunistyczna używała eufemizmu „Ziemie odzyskane", by nie padł prawdziwy termin „ziemie zdobyczne". Natomiast przez wiele lat komuniści przemilczali o „Ziemiach utraconych" – to jest Kresach Wschodnich wraz z Lwowem na korzyść sowietów. Po II wojnie światowej Zbigniew Herbert musiał w pośpiechu opuścić ukochany Lwów, dokąd się udał wraz z rodziną?

Po klęsce, 17 września 1939 roku, okupacji sowieckiej na Kresach wschodnich, nastąpiło załamanie nadziei na niepodległość Polski w 1945 roku. Dlatego też rodzina Herbertów ostatecznie postanowiła wyjechać ze Lwowa w marcu 1944 roku. Z perspektywy mieszkańców Warszawy czy Lwowa, którzy znaleźli się w Krakowie, miasto wydawało się oazą spokoju. Choć i tutaj miały miejsce uliczne łapanki i egzekucje, ale jakby ginęły w atmosferze miasta. Zbigniew Herbert opuścił swoje miasto ukochane Lwów, które ukształtowało wrażliwość przyszłego poety.

Krakowskie lata to pierwszy w Jego życiu okres samodzielności. Kraków miasto na wskroś akademickie, którego uczelnie szybko wznowiły działalność, miał dużo do zaoferowania młodemu człowiekowi. W 1945 roku rozpoczął studia w Akademii Handlowej. Zdecydował się na studiowanie ekonomii, chociaż nie miał do tego szczególnych predyspozycji. Zapewne chciał sprawić satysfakcję ojcu i zademonstrować, że naśladuje jego wybory. W 1947 roku po trzyletnich studiach uzyskał dyplom Akademii Handlowej. Ponadto uczęszczał na wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, słuchał wykładów na Wydziale Prawa, uczęszczał na zajęcia Akademii Sztuk Pięknych. Akademia nie ukształtowała go jako malarza, ale ugruntowała w nim osobowość rysownika. I tak autor „Studium Przedmiotu" do końca życia chętnie rysował.

Rozpoczęte w Krakowie studia prawnicze kontynuował na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie w 1949 uzyskał tytuł magistra praw. Ciekawe, że nigdy nie wspominał o Lwowie. Czy rodzinne miasto wykreślił z pamięci? – milczał na ten temat. Dopiero w ostatnich dniach życia wyraził pragnienie, aby pochowano go w rodzinnym ukochanym Lwowie. To w lipcu 1998 roku na cmentarzu Powązkowskim mój wuj w martwych dłoniach trzymał ziemię ze Lwowa. Na pogrzebie tym byli obecni m.in. nobliści Czesław Miłosz i Wisława Szymborska, obecny był także Jerzy Buzek.

Co dalej działo się w życiu Zbigniewa Herberta? Gdzie ostatecznie zamieszkali Jego rodzice? Czy rozpoczął swoją pierwszą pracę? Czy już wtedy dał się poznać jako przyszły poeta, jeśli tak, to jakie utwory o tym świadczą?

Maria i Bolesław Herbertowie przeprowadzili się z Krakowa do Sopotu w 1946 roku i tutaj na stałe zamieszkali przy ulicy Bieruta 8, dzisiaj Haffnera.

Zbigniew przenosi się z Krakowa do Sopotu w roku 1947, zapewne w wakacje przez kilka miesięcy dzieląc swój czas między oba miasta: u rodziców jedząc do syta, korzystając z kąpieli morskich i słonecznych, w Krakowie zdawał egzaminy. Miał zaliczone studia ekonomiczne i dwa lata prawa, nic więc nie stało na przeszkodzie, by te ostatnie studia dokończyć bliżej domu, w Toruniu. Podejmował się różnych zajęć. Pracował w Narodowym Banku Polskim w Gdyni (od 1 marca do 30 czerwca 1948 roku), redagował „Przegląd Kupiecki", pracował w biurze Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich (1949–1950). Tutaj poznaje w 1950 Halinę Misiołkową, swą wielką miłość. Był to związek gorący i dramatyczny, wybranka była kobietą o dziesięć lat starszą, matką dwóch córek. Znalazł u niej zrozumienie dla swoich aspiracji, podtrzymywała je w nim, czytała i przepisywała jego poezje, opowiadania, dramaty. Poświęcał jej młodzieńcze wiersze, których potem nie opublikował. Ich związek przetrwał do roku 1957. „Listy do Muzy" – stanowią bardzo interesujący zbiór i cenny dokument do poznania życia i poglądów młodego poety z tamtych lat. W tym czasie pisze do szuflady. Pierwsze wiersze ukazały się drukiem na łamach czasopisma „Dziś i jutro" (nr 37/1950). Były to „Napis", „Pożegnanie września". Drukował je pod pseudonimami Patryk oraz Stefan Martha.

Właściwym poetyckim debiutem było opublikowanie wiersza „Palce wrzeciona dźwięków" w „Tygodniku Powszechnym" (nr 51), koniec roku 1950.

Czy możesz wskazać problemy, jakie Herbert poruszał w swojej twórczości? Przypomnieć ważniejsze wiersze, tytuły książek...

On –Książę Niezłomny – zapisał się jako niekwestionowany autorytet moralny. To dla mnie najważniejsze. Cała ta niezwykła twórczość to filozoficzna zaduma nad człowieczym losem i światem, a przy tym – o czym nie wolno ani przez moment zapomnieć – niepokorna, niejako „pod prąd", z prądem bowiem jak mawiał sam poeta – „płyną tylko śmiecie". Stąd słynne „Przesłanie Pana Cogito" można uznać za motto jego pisarstwa „Ocalałeś nie po to, aby żyć, masz mało czasu, trzeba dać świadectwo". Sam pominięty wśród laureatów Nagrody Nobla w literaturze polskiej jest zjawiskiem niezwykłym. Całe jego życie naznaczone było tragizmem wynikającym z postawy życiowej nie uznającej żadnych kompromisów. Uznawał jedynie życie w „postawie wyprostowanej" nawet „wśród tych co na kolanach". W swych utworach – co dostrzegło wielu badaczy jego twórczości – odwoływał się do kultury śródziemnomorskiej, często z tradycji antycznej czerpał inspiracje. Uczył, przekonywał, że zagłębianie się w przeszłość wzbogaca człowieka i może być fascynującą przygodą. Stosunek pisarza do historii budzi szacunek. Zbiór esejów „Barbarzyńca w ogrodzie", „Martwa natura z wędzidłem" są ciekawą i nowatorską lekturą. Okazał się człowiekiem bezkompromisowym i nigdy nie próbował się przystosować do koszmarnego, nieludzkiego stalinizmu. Ze złem trzeba walczyć – to przesłanie jego wierszy, człowiek zasługuje na godny los.

Herbert to nie tylko poeta, eseista, rysownik ale i podróżnik. Jakie kraje odwiedzał?

Faktycznie, lubił podróżować, podróżował wiele i do swoich wypraw przygotowywał się z wielką starannością. Podróże i ich ślady zapisane są w wierszach. Włochy, Grecja, Holandia oraz bliższe okolice Europy w esejach zebranych w tomach „Barbarzyńca w ogrodzie", „Labirynt nad morzem", „Martwa natura z wędzidłem". Przez jakiś czas mieszkał w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, gdzie przez semestr wykładał na jednym z uniwersytetów kalifornijskich. Odwiedzał też Francję, Anglię, Austrię. Podróżując wiele rysował. Kiedyś, jak wspomniałam, uczył się malarstwa i chciał malować, potem chętnie posługiwał się ołówkiem i piórkiem. Nietuzinkowy twórca, człowiek wrażliwy! Umiał patrzeć i potrafił utrwalić to, co uważał za interesujące. W dziełach mistrzów późnego średniowiecza i renesansu znajdował to, czego poszukiwał czyli doskonałości. Wielbiony przez niego Piero della Francesca stał się spośród malarzy głównym bohaterem „Barbarzyńcy w ogrodzie". (początek rozpoczął pisać w Otwocku).Tak więc widzimy podróżnika i w chwili, gdy odjeżdża pozostawia za sobą „Martwą naturę z wędzidłem".

→

Ważne rzeczy z kalenadrium Poety i nominacje do nagrody Nobla czy jesteś w stanie wymienić?

Postaram się skrótowo przedstawić kalendarium Zbigniewa Herberta posiłkując się różnymi ściągawkami, bo rzecz obszerna, inaczej bym tego nie ogarnęła. Był kilka razy nominowany do Nagrody Nobla, cóż, nieprzychylne mu środowiska w Polsce, których nie brakowało, robiły czarny pijar, negatywną antykampanię, w konsekwencji nigdy nie dostał tej nagrody, choć – jestem o tym głęboko przekonana – należała się Herbertowi, bardziej niż innym!

Wybiórcze kalendarium z życia poety

29 X 1924 roku – urodził się we Lwowie Zbigniew Herbert

1938 – rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie, 1944 zdał konspiracyjną maturę.

1944 – ucieczka przed wkraczającymi do Lwowa Sowietami, przeprowadzka do Krakowa

1947 – uzyskał dyplom Akademii Handlowej, kontynuacja studiów na Akademii Sztuk Pięknych, rozpoczęcie studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, które kontynuował na Wydziale Prawa i Filozofii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (dyplom 1949)

1949–1950 – pełni funkcje kierownika biura Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich w Sopocie.

1950 – przenosi się do Warszawy. Żyje w bardzo trudnych warunkach, dzieli powierzchnię małego mieszkania z 12 sublokatorami. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym", redaguje miesięcznik „Poezja"

1951 – rezygnacja z członkowstwa w Związku Literatów Polskich

1953–1956 – był kierownikiem biurowym w kilku instytucjach, żył w bardzo skromnych warunkach

1956 – wychodzi tom poezji „Struna Światła", dramat „Jaskinia Filozofów"

1957 – ukazuje się tom „Hermes, pies i gwiazda"

Lata 60. XX stulecia. Podróżuje do Włoch, Grecji, Niemiec, Holandii. Wyprawy zaowocowały utworami: „Barbarzyńcą w ogrodzie", „Martwą naturą z wędzidłem"

1961 – ukazuje się „Studium Przedmiotu"

1962 – ukazuje się pierwsze wydanie zbioru esejów „Barbarzyńca w ogrodzie"

1963 – nagroda im. Kościelskich

1968 – podróże po USA i wykłady na zaproszenie Lincoln Poetry Center

Ślub z Katarzyną Dzieduszycką w Paryżu, którego udzielał konsul Mickiewicz a świadkiem cywilnego wydarzenia był Jan Lebenstein

1969 – wychodzi tomik poezji „Napis", cykl odczytów w RFN

1973 – nagroda Gottfrieda von Herder w Wiedniu

1974 – wydanie tomu poezji „Pan Cogito", podpisanie „Listu 15" w sprawie udostępnienia Polakom zamieszkałym w ZSRR kontaktu z polską kulturą

1975 – był jednym z sygnatariuszy „Listu 59", protestu przeciwko projektowanym zmianom w Konstytucji PRL

1975–1981 – mieszka w Austrii, RFN, we Włoszech, w 1980 ukazuje się wiersz „Przesłanie Pana Cogito"

1983 – w Paryżu ukazuje się „Raport z oblężonego miasta"

1986–1991 – mieszka w Paryżu, podróże po Europie, wywiad w książce Jacka Trznadla „Hańba domowa", ostro zdystansował się wobec kolegów, którzy tworzyli w poetyce socrealizmu i bez skrupułów korzystali z przywilejów jakie władza PRL-owska zapewniała sprzyjającym jej literatom

1990 – ukazuje się tom poezji „Elegia na odejście". Poeta zdystansował się wobec środowiska „Gazety Wyborczej" zarzucając sprzyjanie postkomunistom

1993 – wychodzi „Martwa natura z wędzidłem"

1994 – wywiad w „Tygodniku Solidarność", zaostrzenie oskarżenia wyłożonego z „Hańbie domowej", krytyka Czesława Miłosza, zarzuty konformizmu i tchórzostwa, zainicjowanie zbiórki pieniędzy dla pogrążonej w wojnie Czeczenii, list otwarty z poparciem dla Dżochara Dudajewa

1995 – domagał się rehabilitacji ppłka Ryszarda Kuklińskiego

1998 – ukazuje się „Epilog burzy"

28 lipca umiera ciężko chory na astmę w wieku 73 lat. Prezydent RP odznaczył go pośmiertnie Orderem Orła Białego.

2000 – ukazuje się „Labirynt nad morzem"

2007 – Sejm ogłosił rok 2008 rokiem Zbigniewa Herberta.

Konflikt ze środowiskiem literackim na jakim tle, a szczególnie z Czesławem Miłoszem

Zbigniew Herbert był wzorem twórcy niezłomnego, który szanując ojczystą tradycję, nigdy nie dał się skusić komunistycznym władcom. Angażował się w działalność opozycyjną, w 1974 roku podpisał tzw. „List 15", autorzy domagali się umożliwienia Polakom zamieszkałym w ZSRR kontaktu z polską kulturą. W grudniu 1975 roku wobec projektowanych zmian w Konstytucji, zwłaszcza wpisania do niej kierowniczej roli PZPR i przyjaźni ze ZSRR, podpisał „Memoriał 59". Po roku 1980 wiersz Herberta „Przesłanie Pana Cogito" stał się hymnem ruchu społecznościowego jakim był NSZZ „Solidarność".

W 1986 roku środowisko pisarzy oburzył wywiad, który znalazł się w książce Jacka Trzandla „Hańba domowa", Herbert skrytykował kolegów, którzy tworzyli w poetyce socrealizmu i bez skrupułów korzystali z przywilejów, jakie PRL – owska władza zapewniała sprzyjającym jej pisarzom. Na początku lat 90. zarzucił środowisku „Gazety Wyborczej" sprzyjanie poskomunistom. W listopadzie 1994 roku Herbert udzielił „Tygodnikowi Solidarność" wywiadu, w którym zaostrzył oskarżenia z „Hańby domowej". Skrytykował też ostro swojego przyjaciela, Czesława Miłosza zarzucając mu tchórzostwo i konformizm. Pisał między innymi: „Jest człowiekiem rozdartym, o nieokreślonym statusie narodowym, metafizycznym, moralnym". W 1994 roku zainicjował zbiórkę pieniędzy na pomoc pogrążonej w wojnie z Rosją Czeczenii, a także napisał list otwarty z poparciem dla nieuznawanego przez Rosję prezydenta Czeczenii Dżochara Dudajewa. W 1995 roku Herbert napisał list do ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy. Domagał się w nim rehabilitacji ppłka Ryszarda Kuklińskiego. Pan Cogito nie mógł się z tym wszystkim pogodzić. Słyszał niezwykle wyraźnie stukot kołatki: „tak-tak, nie-nie".

Ostatnie mieszkanie na Promenady 21, tam gdzie zostałem zaproszony we wrześniu 1979 roku. Co byś o Nim powiedziała?

Od września 1979 roku, kiedy cię zaprosiłam na Promenady 21, wiele się zmieniło, ale i moja wiedza o tym mieszkaniu jest inna. W tamtych czasach byłam lokatorką tamtego mieszkania, zajmowałam je z matką Zbigniewa – Marią (moją babcią), którą się opiekowałam aż do jej śmierci 1980 roku. Wówczas studiowałam pedagogikę. W tym okresie wuj przebywał za granicą. Dopóki nie spotkałam się z Joanną Siedlecką, to było w listopadzie, autorką publikacji „Pan od Poezji" o Zbigniewie Herbercie, (w 2018 roku ukazało się drugie wydanie rozszerzone) nie znałam tajemnic kamienicy przy ulicy Promenady 21. Tam w uroczej, małej, cichej, wąskiej uliczce, naprzeciwko parku Morskie Oko, niedaleko Belwederskiej, Łazienek znajduje się ta przedwojenna willa. Spacerując ulicą i przyglądając się zabudowie, nie można tego nie zauważyć, jak kamienica pod numerem 21 wyróżnia się spośród innych domów, posiada rozbudowane poddasze oraz wmurowaną tablicę pamiątkową, na wysokim parterze tego domu. Jak poeta trafił do tamtego mieszkania? To zajmująca historia. Mój wuj, który został lokatorem mieszkania pod numerem 4, na początku lat 70. minionego wieku był w nienajlepszej formie, zmęczony terminową pracą, paszportową szarpaniną z urzędami, mieszkaniową walkę – a więc szukanie nowego lokum – powierzył swojej żonie. Wtedy właśnie Katarzyna

Beata Elżbieta Lechnio i Katarzyna Dzieduszycka-Herbert

Dzieduszycka-Herbert postanowiła zwrócić się o pomoc do KC (Komitetu Centralnego), konkretnie do Jerzego Łukaszewicza, kierownika Wydziału Kultury. Mieszkanie zostało przyznane. Czy poeta wiedział o wizytach swojej żony w KC? Jak to zresztą możliwe, że nie będąc członkiem PZPR dotarła do kierownika Wydziału? Czy wuj wiedział o tym spotkaniu? Tego już nie jestem pewna. Jedno nie ulega wątpliwości, że bardzo chciał zdobyć wymarzoną przystań, a ta, którą mu podsunięto bardzo mu się podobała, choćby ze względu na metraż i cichą lokalizację. Najprawdopodobniej w czasie remontu został założony podsłuch telefoniczny i pokojowy tzw. pluskwy w ścianie. I tutaj nasuwa się kolejne pytanie, jak do tego doszło i kto nadzorował prace remontowe? Założony podsłuch w roku 1973 działał od momentu wprowadzenia się lokatorów aż do roku 1985 czyli dwanaście lat. Szalenie intrygującą rzeczą jest to, że w tej kamienicy piętro wyżej zamieszkał Marek Piwowski, reżyser kultowej komedii „Rejs". To właśnie on dostał pozwolenie na rozbudowanie poddasza i donosił na swojego sąsiada →

Herberta. Z akt IPN-u wynika, że był TW (tajnym współpracownikiem o ksywce „Krost"). Warto też wspomnieć także o kontrowersyjnym wywiadzie jakiego udzieliła Gazecie Wyborczej 30 grudnia 2000 roku – 1 stycznia 2001 Katarzyna-Dzieduszycka Herbert. Nosił znamienny tytuł „Pani Herbert". Ukazał się w niecałe dwa lata po śmierci poety. Zbigniew Herbert z całą pewnością nie byłby z tego zadowolony, bowiem za życia nie chciał współpracować z GW. Adama Michnika nazwał manipulatorem i kłamcą. Siostra Herberta, Halina, była także zniesmaczona z tym wywiadem, gdyż wspominała mi o tym. W roku 2004 roku umieszczono tablicę pamiątkową na froncie kamienicy Promenady 21, „W tym domu w latach 1973–1998 mieszkał i tworzył Zbigniew Herbert, Poeta". Tablica została zaprojektowana przez Baltazara Brukalskiego, a ufundowana przez miasto Warszawa. W uroczystościach uczestniczyła między innymi Katarzyna Dzieduszycka-Herbert. Obecnie w budynku, w mieszkaniu nr 4, znajduje się Fundacja im. Zbigniewa Herberta, której fundatorką była wdowa po poecie, a obecnie jedyna lokatorka. Ciśnie mi się wiele pytań, odnośnie „Promenady 21, ale czy uda mi się znaleźć odpowiedź? Warto szukać – jak nie ja, to może jakiś badacz biografii Zbigniewa Herberta rozsupła tę zagadkę?

Zbigniew Herbert Rodzinny, więc trudno nie wspomnieć o „Korespondencji rodzinnej" opracowanej i wydanej przez Halinę Herbert-Żebrowską, w Archidiecezjalnym Wydawnictwie „Gaudium" w 2008 roku w Lublinie…

Zbigniew Herbert lubił pisać listy i z zasady na nie odpowiadał. Korespondencję przechowywał starannie. Cenił ją nie tylko jako pamiątkę, ale również jako dokument. Z czasem w Jego domu powstało duże archiwum. Znalazły się w nim listy m.in. do profesora Henryka Elzenberga, Stanisława Barańczaka, Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich a także korespondencja z Czesławem Miłoszem, Jerzym Turowiczem. „Korespondencja rodzinna" to listy Zbigniewa Herberta do rodziców Marii i Bolesława Herbertów, do matki Marii Herbert, do siostry Haliny Herbert-Żebrowskiej. Tom korespondencji skomponowano z trzech rozdziałów, pierwszy to korespondencja z rodzicami (1951–1963), drugi: korespondencja z matką (1964–1979) i trzeci: korespondencja z siostrą (1953–1997). Publikację wydano z okazji Roku Herberta. Lektura listów to sama przyjemność. Można w nich znaleźć informacje o sprawach codziennych, kłopotach zdrowotnych, finansowych. Uchylają one zamknięte dotąd drzwi domu rodzinnego poety, pozwalają poznać Jego nastrój i relacje z najbliższymi. Był człowiekiem życzliwym, ciepłym, serdecznym, dbał o relacje rodzinne i podtrzymywał kontakty. W listach zabiegał też o dobrą więź ze mną jak i z moim bratem Rafałem. W listach do matki pisał: „Mój Kochany Ptaszku". Kończąc listy pisał: „Całuję Halinkę – Siostrzyczkę, Szwagroszczaka, dla Fafy i Atki wujowskie uściski. Fafą nazywał mojego brata, mnie Atką. We wszystkich listach jawi się jako kochający, troskliwy, czuły i bardzo rodzinny syn, brat, wujek i szwagier. Lektura ciekawa i chwilami bardzo wzruszająca. Znakomite źródło wiedzy o pobytach i przemieszczaniu się Poety w czasie i przestrzeni!

Po śmierci Herberta Jego pamięć żyje w licznym patronowaniu szkół, ulic, wydawano pamiątki numizmatyczne, karty pocztowe, pomniki itd? O czym to świadczy?

Zaraz po śmierci Poety nadano Jego imię pierwszej szkole, to było w 1999, teraz mamy około 15 szkół herbertowskich, w tym jedna szkoła mieści się w USA, powstał Klub Szkół Herbertowskich, na jego czele stoi dyrektor Wojciech Kalicki z Lublina. Autor „Pana Cogito" jest patronem ponad 80. ulic, w 2008 roku – w 10. rocznicę śmierci wybito dwuzłotowe monety z popiersiem poety, wydawano pamiątki numizmatyczne, okolicznościowe kartki pocztowe, wzniesiono kilka pomników. To wszystko świadczy o jednym, jakby to ujął Witold Gombrowicz – Herbert wielkim Poetą był! Od siebie dodam: jest i będzie. Zachwyca i zdumiewa swoją oryginalną twórczością, posiada wielu swoich wielbicieli, oddanych czytelników, intryguje również znawców historii sztuki.

Na koniec zapytam, co sama zrobiłaś dla swojego wuja Herberta? Co zamierzasz w niedalekiej przyszłości?

Nie uwierzysz! Twój czerwcowy telefon dotyczący „mieszkania Herberta na Promenady" obudził mnie z letargu emeryckiego. Zdałam sobie sprawę z tego, że więzy krwi to jedno, a promocja to kolejny etap! Pewne kroki przedsięwzięłam wprawdzie już przed laty, wspomnę choćby mój udział w kołobrzeskiej „Herbertiadzie" i współpracę z państwem Katarzyną i Jackiem Pechmanami, inicjatorami niezwykłego artystycznego wydarzenia poświęconego Zbigniewowi Herbertowi, „Księciu Poetów", jednemu z najwybitniejszych polskich twórców XX wieku.

Co zrobiłam w ciągu minionego półrocza? Unowocześniłam swój laptop, muszę być skuteczniejszą i słyszalną! Doszłam do wniosku, że najszybciej i bez wydatków (skromne finanse są bardzo ważne dla emerytki) będzie założyć konto na facebooku: Beata Elżbieta Lechnio, posty są poświęcone Księciu Poetów, chcę założyć także konto dla samego Zbigniewa Herberta. Odwiedziłam kancelarię parafialną w Otwocku w parafii pw. św. Wincentego a Paulo, gdzie Wuj trzymał mnie do chrztu i mam wypis z tego wydarzenia. Także z Archiwum KUL mam

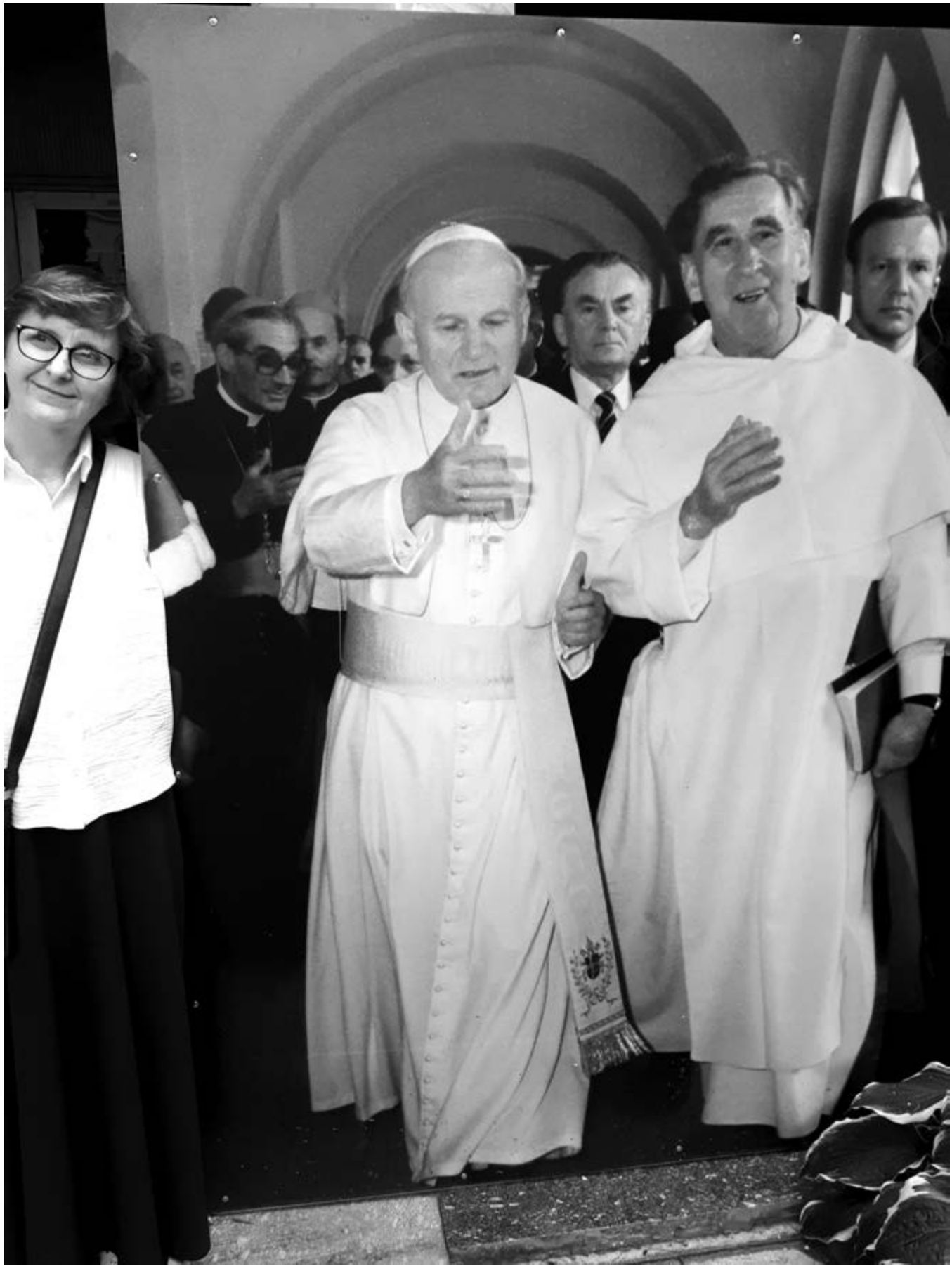

Beata Elżbieta Lechnio, papież Jan Paweł II, o. profesor Mieczysław A. Krąpiec

świadectwo, że studiowałam na Wydziale Humanistycznym kierunek, który zasugerował mi mój Ojciec Chrzestny. Doprowadziłam do pierwszego spotkania z Joanną Siedlecką, autorką publikacji „Pan od Poezji". Chcę bronić dobrego imienia Poety, on już sam bronić się nie może! Kiedy wypoczywałam tydzień w Kazimierzu Dolnym odnalazłam, dzięki „Korespondencji rodzinnej" opracowanej przez moją Mamę Halinę Herbert-Żebrowską, trzy miejsca, gdzie przebywał i tworzył twórca „Struny światła", te punkty znajdują się na ulicy Krakowskiej pod numerami 16 i 41 oraz w Spichlerzu PTTK. Moim marzeniem jest, aby w tych miejscach zamontowane zostały tablice informacyjne. Jestem w stałym kontakcie dyrektorem Wydziału Kultury Maksem Skrzeczkowskim, który obiecał wesprzeć moje działania.

Odwiedziłam Lublin i spotkałam dyrektora Wojciecha Kalickiego, wzięłam udział w Zaduszkach Herbertowskich, czytałam jeden z jego utworów, wpisałam się do Szkolnej Księgi Pamiątkowej, obejrzałam wszystkie gabloty. Obdarowano mnie monetą wybitą w 2008 roku, to dwa złote polskie z popiersiem Zbigniewa Herberta. To wtedy padł pomysł rozmowy: „Zbigniew Herbert Rodzinny", a mający ujrzeć światło dzienne w czasopiśmie „Lublin".

W listopadzie, kiedy przebywałam w Otwocku u swojej córki Magdaleny, spadł na mnie obowiązek czuwania nad jej „chłopakami" (nie o dzieci jednak chodzi, lecz o żywy inwentarz: psa Bobika i kota Filemona), zdałam sobie sprawę, że jedno rondo im. Zbigniewa Herberta w Otwocku to za mało! Zadzwoniłam do Ratusza, aby umówić się na spotkanie z prezydentem Jarosławem Margielskim. Pierwszy termin, który sekretarka zaproponowała, był bardzo odległy, 26 września 2023 roku. Zaprotestowałam, pierwszy raz w życiu powołałam się na Zbigniewa Herberta. Cud, termin spotkania skorygowano na następny dzień, to jest 29 listopada 2022 roku. Prezydent przyjął mnie bardzo serdecznie. Będzie więc ścieżka rowerowa im. Zbigniewa Herberta, tablica na domu przy ulicy Reymonta, tablica informacyjna przy rondzie. Prezydent zapewnił mnie, że Miejska Biblioteka Publiczna w Otwocku otrzyma imię Zbigniewa Herberta. Z radości obdarowałam go monetą z popiersiem Herberta, którą otrzymałam w Lublinie.

Ponadto pracuję nad zawartością strony o nazwie domeny www. pancogito.zh.eu. Budowanie strony trwa. Zacznie funkcjonować z nowym rokiem 2023. I ostatnią rzeczą, o której nieustannie marzę, to założenie Stowarzyszenia Zbigniewa Herberta. Na razie to plany. Czy będą zrealizowane – nie wiem Tak więc nadrabiam utracony czas. Dziękuję za inspiracje i rozmowę.

Beato, czy chciałabyś coś jeszcze dodać na koniec naszej rozmowy, to taki bonus, że zniosłaś tyle uciążliwych pytań. Ostatnie zdanie należy do Ciebie, a nie pytającego!

Tak. Być może to jest dla mnie krępujące, ale chcę sprawy stawiać jasno, iść do celu jasno wytkniętą drogą, jak mój Wuj Zbigniew i wypowiem moje dwa życzenia.

Po pierwsze chciałabym ogłosić na zrzuta.pl zbiórkę pieniędzy na zbudowanie strony www.pancogito.zh.ue około 5–6 tysięcy i wykupienie domeny na kilka lat. To życzenie emerytki o skromnej emeryturze.

Drugim moim pragnieniem jest, aby opublikować pisma zebrane Zbigniewa Herberta! Marzę o publikacji dzieł zebranych Herberta! Poezja, eseje, listy, dramaty… Ukazały się dzieła zebrane wielu twórców: Witolda Gombrowicza, Brunona Schulza czy Józefa Czechowicza. Liczę gorąco na wsparcie tej akcji przez redaktora naczelnego Zbigniewa Fronczka. To osoba operatywna, szeroko znana z wielu udanych przedsięwzięć literackich. Obiecuję sobie, że ten wywiad dotrze do herbertologów, ale i poważnych sponsorów z Ministerstwa Kultury i Sztuki, do mecenasów, którzy nie szczędzą grosza patriotycznym inicjatywom poetyckim, ale przede wszystkim do miłośników twórczości Zbigniewa Herberta!

Jerzy Jacek Bojarski: Również i ja bardzo serdecznie dziękuję za spotkanie i interesującą rozmowę o Panu Cogito!

Kazimierz Dolny–Lublin, AD 8 Grudnia 2022 rok
W Uroczystość Niepokalanego Poczęcia

Adresy dla chętnych do korespondencji
Beata.lechnio@gmail.com
jjbojarski@tlen.pl

Beata Elżbieta Lechnio z domu Żebrowska, ur. 12 X 1961 roku w Warszawie, emerytka, absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie, przepracowała 40 lat w szkole podstawowej jako nauczyciel. Siostrzenica i córka chrzestna Zbigniewa Herberta.

Jerzy Jacek Bojarski ur. 5 VII 1955 roku w Zamościu, emeritus, absolwent historii KUL, b. radny Rady Miasta Lublin 1998–2002. Przepracował 40 lat: LSM 1974–1978, KUL – Księgarnia Uniwersytecka 1984–2001, MBP im. H. Łopacińskiego – redaktor naczelny „Niecodziennika Bibliotecznego" 2002–2020. Ostatnio publikuje autobiografię w czasopiśmie „Lublin" pt. „Wściekli sześćdziesięcioletni", opublikowano do tej pory 5 odcinków, w planach… 10!

ZBIGNIEW
WŁODZIMIERZ
FRONCZEK

Lublin wart jest pióra!

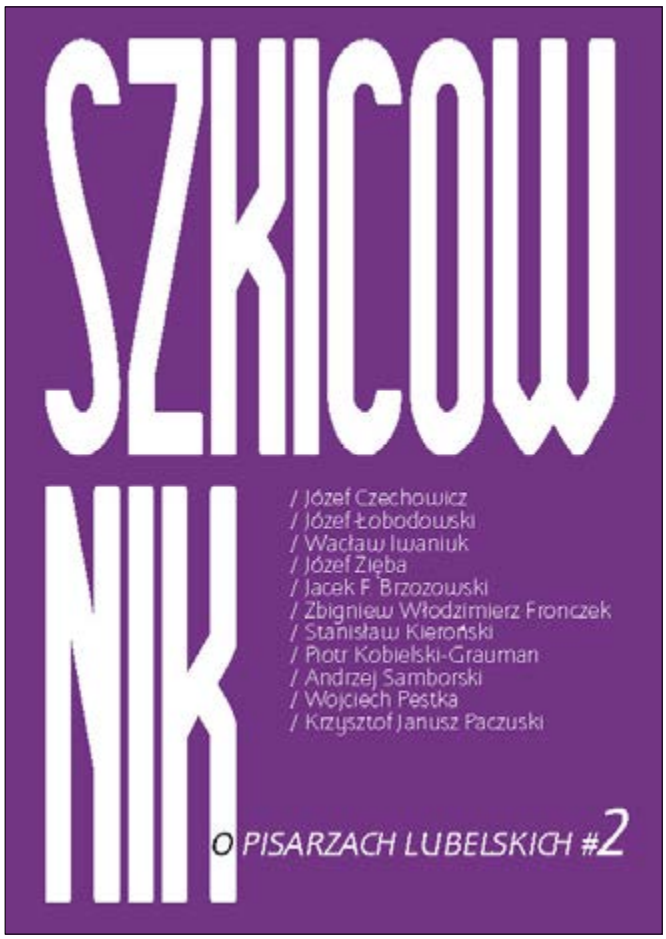

PARYŻ WART JEST MSZY! Słowa Henryka IV wypowiedziane tuż przed wstąpieniem na tron francuski przeszły do historii. Cyniczny Burbon porzucił wiarę protestancką, przeszedł na katolicką. Władza wymaga wyrzeczeń.

Lublin wart jest pióra! Autor słów pozostaje nieznany, zawołanie od kilkuset lat nie traci mocy. Stary gród na skrzydłach poezji szybuje wysoko, ale i w prozie mierzy daleko! Literatura wymaga fantazji.

Seria literacka Książki Duma Lublina firmowana przez Stowarzyszenie Pisarzy ukazuje się od szeregu lat. Od lat trzech wspierana jest przez krakowski Instytut Literatury. W roku 2020 ukazało się 11 tomów, w roku 2021 – w drugiej serii – dwanaście. Omówienie książek pierwszej serii przyniósł tom *Szkicownik. O pisarzach lubelskich.* Krytyczne refleksje o publikacjach roku 2021 znajdują się w II tomie *Szkicownika*, który w listopadzie 2022 roku trafi do księgarń.

W drugiej serii ukazały się wybory wierszy: Józefa Czechowicza (*nuta na dzwony*), Józefa Łobodowskiego (*Elegia emigrancka*), Wacława Iwaniuka (*Portret emigranta*), Mieczysława Paszkiewicza (*Tylko nie mów nikomu*), Jacka Brzozowskiego (*Kilka zdań co nienowe*), Stanisława Kierońskiego (*Bosy i bogaty*), Krzysztofa Paczuskiego (*Sonety i inne wiersze*), Andrzeja Samborskiego (*Ulicami Lublina*), tomy prozy: Józefa Zięby (*Pożegnanie Wołynia*), Piotra Kobielskiego-Grumana (*Opowiadania spod znaku ach i gadu, gadu...*), Wojciecha Pestki (*Bezsenne*), Zbigniewa Włodzimierza Fronczka (*Anioły, diabły i kobiety*).

Józef Czechowicz – najpopularniejszy autor Lublina – urodził się w roku 1903. Zachwycał go Lublin z lat międzywojennych, rodzinnemu miastu poświęcił wiele pięknych wierszy, zginął w Lublinie rażony odłamkiem bomby 9 września 1939 roku, niedaleko od miejsca, gdzie przyszedł na świat. Jego niewiele młodsi przyjaciele – Józef Łobodowski i Wacław Iwaniuk – przeżyli wojnę, walczyli na wielu frontach, zmarli daleko od Polski, na emigracji: Łobodowski w Madrycie, Iwaniuk w Toronto. I w ich wierszach pojawia się Lublin. Piękny liryczny tekst *W Zemborzycach* otwiera wybór Łobodowskiego,

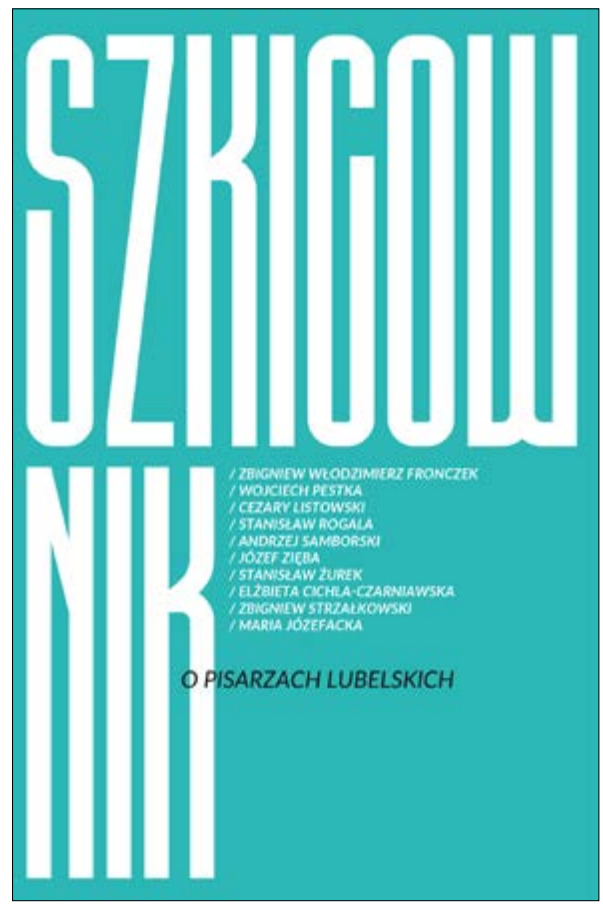

zaś w wyborze wierszy Iwaniuka zamieściłem poruszający utwór o śmierci Czechowicza *Czterdzieści cztery lata temu*, warto je przytoczyć.

Czterdzieści cztery lata temu

Józefowi Czechowiczowi

Czterdzieści cztery lata temu
Płonęło miasto Lublin;
Zranione domy padały na kolana
Umierały w gruzach.
Ulicą przechodził Poeta
O okrągłej twarzy i zwichrzonej czuprynie;
Żywy pomnik miasta.
Bomby rzucały się na ludzi z niemiecką precyzją
Której nawet nie przewidział Goethe
Piewca germańskich cnót.

Poeta wierzył w swój cudowny dar
Miał tyle w sobie głosów i podszeptów ziemi

Tyle wierszy do objawienia.
Chciał podziękować Miastu za miłość słowa
Motylom za ich lekkość
Kwiatom za aromat
Pochwalić pszczoły za ich słodki udój.
Przechodząc ulicą wśród jęku syren
Wzywających ludzi do schronów
Poeta kończył właśnie nowy wiersz
Chyba o upartych falach Bystrzycy
Przepływającej przez Miasto
Gdy nienawistna bomba
Krzyknęła w obcej mowie: HALT!

Czterdzieści cztery lata temu.

Toronto, wrzesień 1983

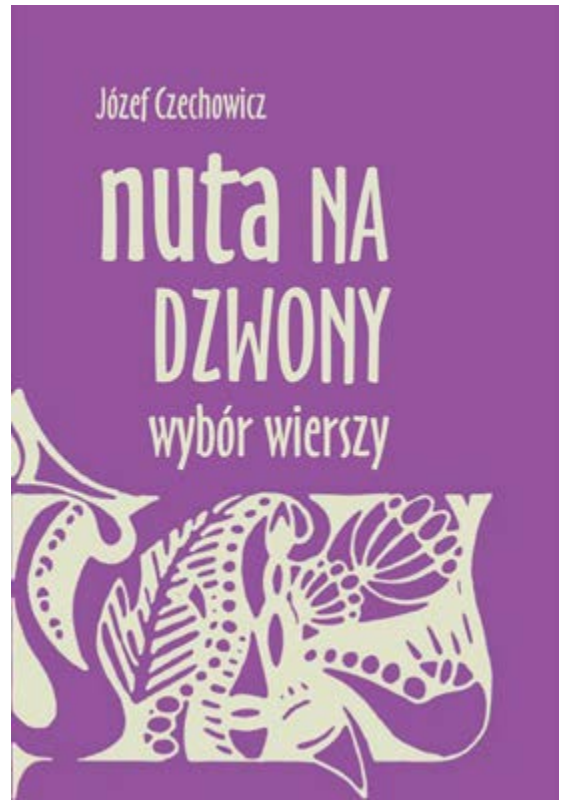

Z utworami lubelskiego mistrza zetknąłem się w 1967 roku, wpadł mi w ręce wybór jego utworów dokonany przez Tadeusza Różewicza. Po latach los dał mi możliwość dokonania swego wyboru, w Posłowiu w tomie *nuta na dzwony* zapisałem: Czechowicz sięgał po tematy lubelskie, rozwijał, smakował, delektował się lubelską nocą, księżycem, upoetyczniał odrapane mury, nadgryzione zębem czasu kamienne rzeźby, mitologizował wyszczerbione miski.

W jego wierszach pobrzmiewa muzyka, pulsuje rytmika oraz pysznią się kunsztowne – choć, jak podkreślają niektórzy – odbiegające od tradycyjnych, rymy. Muzyczność to szczególna, lubelska – powiadają jedni, inni utrzymują, że autor *nuty na dzwony* jest muzycznym strukturalistą, a Kazimierz Wyka pisał o nieśpiewnej muzyczności tej poezji. Rymy – na pierwszy rzut oka – trudno w niej dostrzec, bo okiem uchwycić je trudno, ale – tak to powiem – uchem już można! – Składnia Czechowicza zaskakuje nieobeznanych z poezją! Jest swobodna, rozluźniona, często pozbawiona interpunkcji i wielkich liter. A wymowa tych wierszy symboliczno-magiczna – dowodził z kolei Stanisław Żurek i dodawał: Metafory magiczne, sięgają po treści ukryte, a słowa – choć proste i niewydumane – okazać się mogą zaklęciami. Te zabiegi przenoszą w inny świat, odrealniony i uwznioślony. Poeta sam tego nie wymyślił, może podpatrzył, a może siły magiczne spłynęły nań wraz z oczarowaniem romantyzmem i folklorem. To jeden z nurtów jego poezji, sielankowo-arkadyjski, drugi – jak już się rzekło – katastroficzny. Tu zachwyt wypływa z innych źródeł, niezdrowych, zachłystujących się oczarowaniem śmiercią, przeczuwających jej nadejście, z lęku wdzierającego się w duszę i tym samym wypełniającego wersy wiersza. Twórczość Czechowicza to jedno z najciekawszych zjawisk dwudziestolecia międzywojennego.

Józef Łobodowski (1909–1988) to nie tylko autor znakomitych wierszy, także bezkompromisowy publicysta, świetny prozaik, dziennikarz radiowy, polityk, wielka postać europejskiej emigracji politycznej. W Hiszpanii,

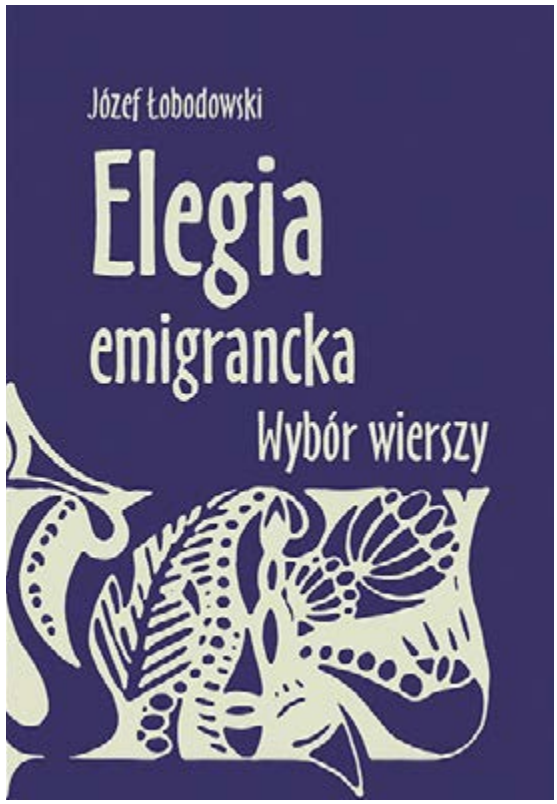

gdzie w latach 1945–1988 przyszło mu wieść ciężkie życie emigranta, obnosił się ze swym antykomunizmem, tak jak w młodości demonstracyjnie manifestował lewicowe sympatie. Był – o czym należy pamiętać – przyjacielem Ukrainy, tłumaczem ukraińskiej poezji, niezastąpionym rzecznikiem pojednania polsko-ukraińskiego, przez Ukraińców uznanym „za łącznika pomiędzy literaturą polską a ukraińską". Od roku 2015 Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Lublinie – wspierane przez fundacje „Willa Polonia" (Lublin), „Dla Pokoleń" (Lublin, Stowarzyszenie Współpracy Polska–Wschód (Oddział w Lublinie) oraz Muzeum Niepodległości w Warszawie – przyznaje nagrody im. J. Łobodowskiego. Zaszczytnym laurem honorowani są pisarze, tłumacze literatur słowiańskich oraz popularyzatorzy idei pojednania między narodami.

Urna z prochami Łobodowskiego została „konspiracyjnie" wwieziona do kraju, a na lubelskim cmentarzu żegnał wybitnego twórcę – w imieniu środowiska literackiego – Józef Zięba, ceniony poeta i prozaik. Wypowiedział wówczas słowa: „Pogrzeb prochów poety śp. Józefa Łobodowskiego każe nam nie żegnać Go, ale witać. Wraca bowiem do ojczystej ziemi, do której tęsknił i o której napisał wiele pięknych wierszy. Wraca do Lublina, na cmentarz przy ulicy Lipowej, któremu poświęcił też swoje strofy. Wraca do ziemi, która już jego prochów nie rozgubi. Spełnia się Jego wola – zostanie pochowany w grobie obok swojej matki. Łobodowski opuścił ojczyznę we wrześniu 1939 roku, aby dalej walczyć o jej wolność i niepodległość. Walki tej do końca życia nie zaprzestał. Walczył najpierw jako żołnierz, potem jako poeta i publicysta. Za tę działalność skazany był w kraju na zapomnienie". Czytał i cenił Łobodowskiego Jan Paweł II, Jan Lechoń miał go za poetę wybitniejszego od Czesława Miłosza, ale sprawujący władzę komuniści pomstowali, iż to „nacjonalistyczny agent w służbie faszyzmu". Jerzy Giedroyc powiadał: wspaniały ukrainoznawca, zaś Gustaw Herling-Grudziński: poeta niezrównany, ale agresywny w dyskusjach. Konstanty Zełenko, ukraiński historyk, doceniał rolę poety dla sprawy pojednania polsko-ukraińskiego i uważał, że żaden ze współczesnych Polaków nie ma większych zasług w wykonywaniu tej olbrzymiej pionierskiej pracy niż Łobodowski.

Piękna postać. W *Szkicowniku* – świetny szkic profesor Anny Chomy-Suwały: *Józef Łobodowski – „potomek smagłych synów, co na szlacheckie Mazowsze przynieśli oddech stepu"*.

Józef Łobodowski

W Zemborzycach Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatrzaski, więc to samo dziać się musiało w Lublinie.

Podobno młodzi ludzie wciąż całują się
w Ogrodzie Saskim,
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakami do Zemborzyc,
w tamtych lasach było dosyć mnich i czernic.
Po to właśnie wyrok bóstw nas wszystkich
stworzył,
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,
bo każda noc była znojna i gwiezdna…
I co? – Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?

Bez nas?

Portret emigranta – wybór wierszy **Wacława Iwaniuka** (1912–2001) przynosi utwory z tomów, które poeta cenił najbardziej. Jest to więc zbiór, który niewątpliwie sprawiłby poecie radość. Wierzę również, że jest to udana próba przybliżenia czytelnikowi cennej i oryginalnej poezji, to wpisanie portretu Iwaniuka, poety emigranta w kulturowy krajobraz Polski, do której bram kołatał całe lata. Nie

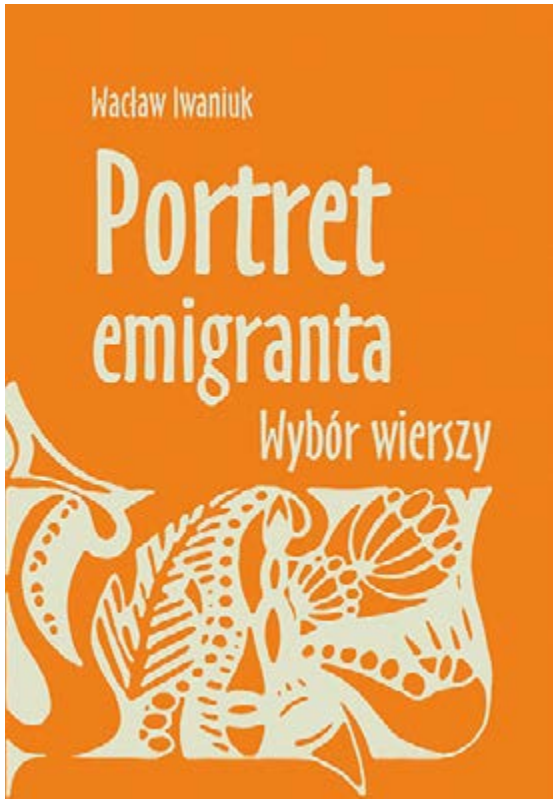

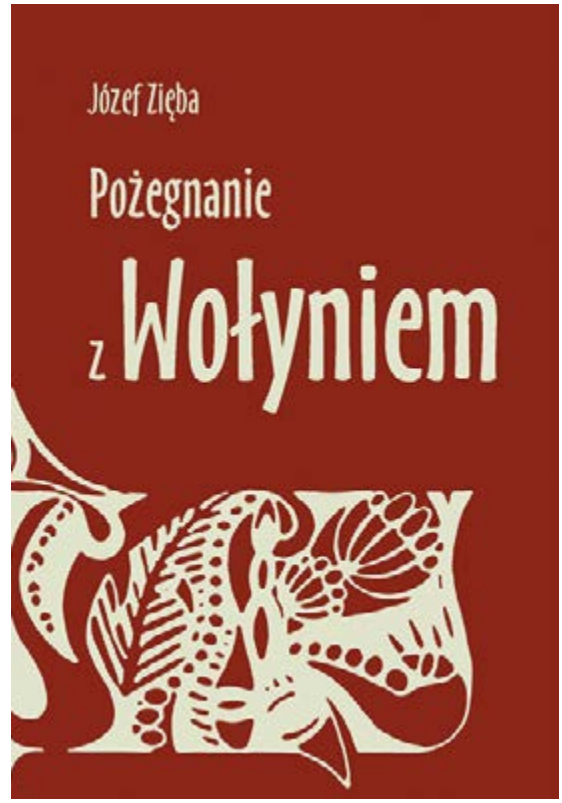

ukrywał swego osamotnienia emigranta, wykorzenienia, dojmującego smutku czy opuszczenia. „Gdy śpię jestem w kraju/gdy się budzę/ jestem na emigracji/" pisał w wierszu *Moje życie nie było łatwe*, który odczytywał na każdym spotkaniu z czytelnikami. Kiedy wreszcie, w roku 1991, mógł przybyć do Lublina, pierwsze kroki skierował na cmentarz, gdzie spoczywają jego dwaj przyjaciele: Józef Czechowicz i Józef Łobodowski. Jestem dumny, dostąpiłem wielkiego wyróżnienia, mogłem towarzyszyć poecie w tej wyjątkowej wędrówce po lubelskim cmentarzu. Do krajowego czytelnika twórczość Iwaniuka – objęta w PRL-u całkowitym zakazem – poczęła powracać w końcu lat 80. minionego wieku.

Wielki wkład w przypomnienie i promowanie dzieła Wacława Iwaniuka mają poeci chełmscy: Waldemar Taurogiński, Henryk Radej, Zbigniew Waldemar Okoń. „Chełm dla Wacława Iwaniuka stał się synonimem ojczyzny, straconej Utopii, ale także istniejącej realnie i mistycznie Itaki, symbolem ojczystej ziemi i konkretnego na niej miejsca, symbolem zagubionego w czasie dzieciństwa i młodości" – pisał Zbigniew Waldemar Okoń w jednej ze swych publikacji poświęconych autorowi tomu *Nocne rozmowy.* A w *Szkicowniku* kolejna relacja tego autora o wielkim poecie z ziemi chełmskiej.

Józef Zięba (1932–2022) urodził się na Wołyniu, rodzinne okolice przyszło mu opuścić w roku 1943, znalazł się w Chełmie (mieście ocalenia – jak napisze po latach w swych pamiętnikach), a po paru latach w Lublinie (mieście przeznaczenia). Wielokrotnie przychodziło mi pisać o książkach Józefa Zięby, mojego przyjaciela. Nie szczędziłem słów uznania autorowi cennych publikacji poświęconych miastu nad Bystrzycą, jego barwnym dziejom, lubelskim uczonym, politykom, artystom i postaciom legendarnym. Zapisał się pracowity twórca nie tylko w historii Lublina, ale i kraju, jako sumienny dokumentalista życia literackiego, animator ruchu kulturalnego, wreszcie organizator i kierownik Muzeum Literackiego oraz pomysłodawca i inicjator budowy pomnika Józefa Czechowicza.

W roku 2019, jeszcze przed pandemią, we Wschodnioeuropejskim Uniwersytecie Naukowym im. Łesi Ukrainki w Łucku odbyła się uroczystość wręczenia międzynarodowej Nagrody Literackiej im. J. Łobodowskiego. Uroczystość była jednym z punktów programu międzynarodowej sesji naukowej „Literacka spuścizna Józefa Łobodowskiego w kulturowym kontekście współczesności". W grupie prelegentów znalazł się również dr Józef Zięba urodzony

w Powursku, nieodległym od Łucka. Powursk leży na terenach krwawych walk frontowych z lat 1915–1916, toczonych przez Legiony Polskie z Rosjanami. Wyprawa na łucką sesję stwarzała grupie lubelskich literatów szansę na odwiedzenie rodzinnych stron pisarza oraz odbycie wycieczki szlakiem walk Legionów. Udało się tę szansę wykorzystać. Refleksje z naszej wyprawy znalazły się w tomie *Pożegnanie z Wołyniem*, ostatniej książce mojego przyjaciela. Doktor Agnieszka Prymak-Sawic nazywa Józefa Ziębę ostatnim świadkiem historii Wołynia, zaś Jego Pożegnanie – literackim testamentem. Jestem pod wielkim wrażeniem lektury poruszającego eseju Agnieszki Prymak-Sawic poświęconego dziełu Józefa Zięby. Urzekł mnie osobisty ton rozprawy, błyskotliwe komentarze do wspomnień „ostatniego świadka historii Wołynia", głębokie refleksje nad Jego literackim testamentem.

Nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że **Jacek Brzozowski** to literacki pseudonim profesora Józefa Jacka Ferta (ur. 1945), cenionego naukowca: literaturoznawcy i norwidologa. W *Szkicowniku* – nie tylko komentarze do tomu *Kilka zdań co nienowe* Jacka Brzozowskiego, autorstwa profesor Jadwigi Mizińskiej, ale również wypowiedź odautorska samego poety! Oto wyznanie warte przytoczenia: „Od lat publikuję swoje «wynalazki» literackie pod nazwiskiem pożyczonym od Teściów, acz i to, co ogłaszałem i ogłaszam pod mianem odziedziczonym po Ojcach, jak i to, co „ukrywam" pod pseudonimem, pochodzi od tego samego autora – ode mnie. Główny powód tej mistyfikacji wziął się z naiwnego pragnienia, żeby na rynku czytelniczym (kolejna naiwność!) nie mieszać porządków, jak kiedyś sądziłem, niemieszalnych: literackiego z badaniami literackimi, które uprawiam prawie tak dawno jak wynurzenia literackie". Tyle wyznań profesora i jeszcze kilka zdań zachwytów recenzentki. Profesor Mizińska pisze: „Bez wątpienia: przy całej zmysłowości i konkretności, i poetyczności obrazów, poeta uprawia metafizykę. Dotyka tego co niedotykalne, usiłuje nazywać nienazywalne, co nie-pojęte... Na przekór tendencji do pogoni za nowościami, stara się, wzorem Norwida, wypowiedzieć «kilka zdań o nienowym»... dialoguje z innymi poetami, szyfruje na przykład cytat z Józefa Czechowicza, polemizuje z Herbertem na temat idei doskonałości. Wykorzystuje wielorakie gatunki poezji, na przykład oktostych. W Królestwie Poezji wszystko jest dozwolone".

Zgoda. Jacek Brzozowski, mistrz niezwykłych metafor, mistrz zawrotnej lapidarności, gra konwencjami, bawi siebie i czytelnika. Literatura – jak się rzekło – wymaga fantazji.

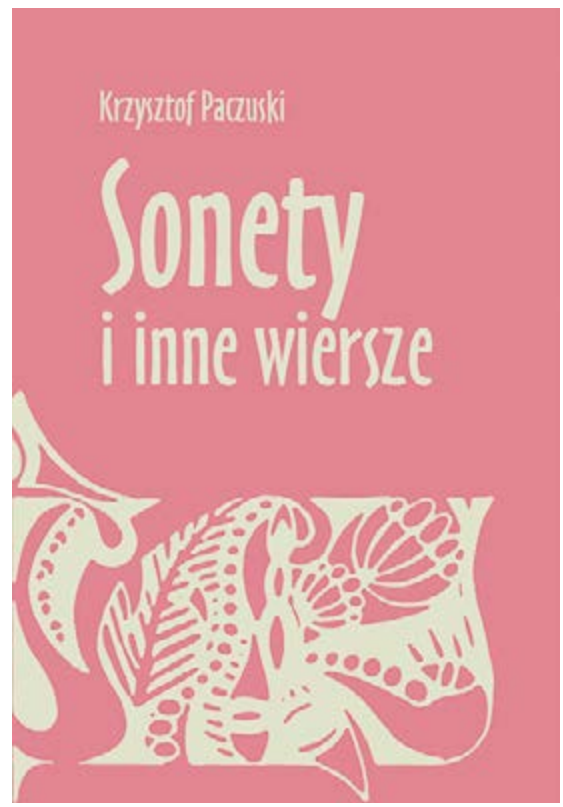

Krzysztof Paczuski (1956–2004) był poetą, w dobrym rozumieniu tego słowa, staroświeckim – pisze Stanisław Żurek i dowodzi: „Lubił rym, asonanse, fascynował go sonet. Jego liryka miłosna jest subtelna, kunsztowna – i co najważniejsze – autentyczna, jego wiersze o śmierci przywodzą na myśl sonety Sępa-Sarzyńskiego. Ale tylko w pierwszej chwili. Lubelski poeta nie epatuje grozą, nie straszy przemijaniem ni krótkością żywota, wprost przeciwnie, gustuje we frazach o rozkoszy użytkowania rzeczy dostępnych albo – mówiąc jego językiem – ziemskich specjałów! Oryginalna poezja, warta przypomnienia! Cztery tomiki liryków, które Paczuski opublikował za życia, życzliwy redaktor przypomniał w jednym pięknym tomie *Sonety i inne wiersze* z serii Książki Duma Lublina".

Doktor Zuzanna Guty, historyk literatury, autorka wielu cenionych rozpraw poświęconych sonetowi, nie zgadza się z sugestią, że Krzysztof Paczuski był autorem anachronicznym. „Może bywał takim postrzegany – przyznaje w swoim szkicu – choć formułę tradycyjnego sonetu opanował w równym stopniu co wiersz wolny. Była w tym programie jedna wspólna cecha, głęboka potrzeba dykcji klasycznej, tęsknota za ładem, potrzeba porządkowania, bez względu na to, jaką formę wiersza się wybierze. A może w rzeczywistości to, co niejasne, stało się nieprzyswojonym przez historię literatury znakiem nowego klasycyzmu?".

Autorka świadoma, iż interesującej spuściźnie Paczuskiego nie poświęcono monografii ni artykułu, podjęła wyzwanie – jak sama powiada – zmierzenia się z tą twórczością. Zadbała również o przedstawienie ważnych faktów z biografii autora. Przeprowadziła rozmowy z kolegami, przyjaciółmi i członkami rodziny. Trud wart nie tylko pięknego sonetu, ale i naukowego uznania.

O **Andrzeju Samborskim** (ur. 1967), autorze tomów *Ulicami Lublina*, powiada się, że upoetycznia lubelskie bruki. Czyni to zgrabnie, ze smakiem, dowcipnie. Zabiegi poetyckie Samborskiego podobają się krytykom i czytelnikom. Książki – co dzisiaj rzadkie – znikają z księgarskich półek, sięgnę po komentarz Stanisława Żurka, który z podziwem wyznał, że o takim prostym poezjowaniu można napisać długi i piękny wywód. W pierwszym tomie *Szkicownika* Agnieszka Prymak-Sawic w erudycyjnym wywodzie zauważa: „Samborski nie tylko posługuje się paradoksem jako środkiem poetyckim, ale też w sposób paradoksalny widzi świat i paradoksalnie go kreuje. W podobny sposób używa kalamburu, który nie jest dla niego tylko literacką zabawą, ale często esencją wiersza

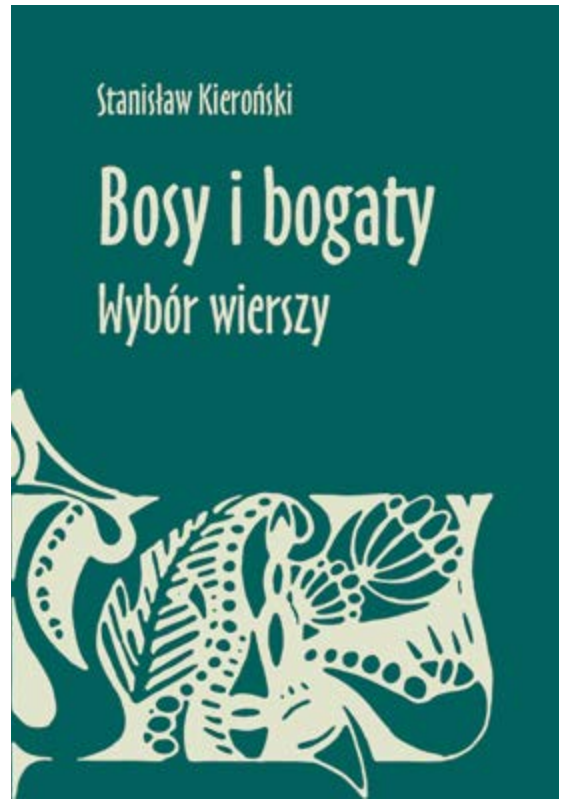

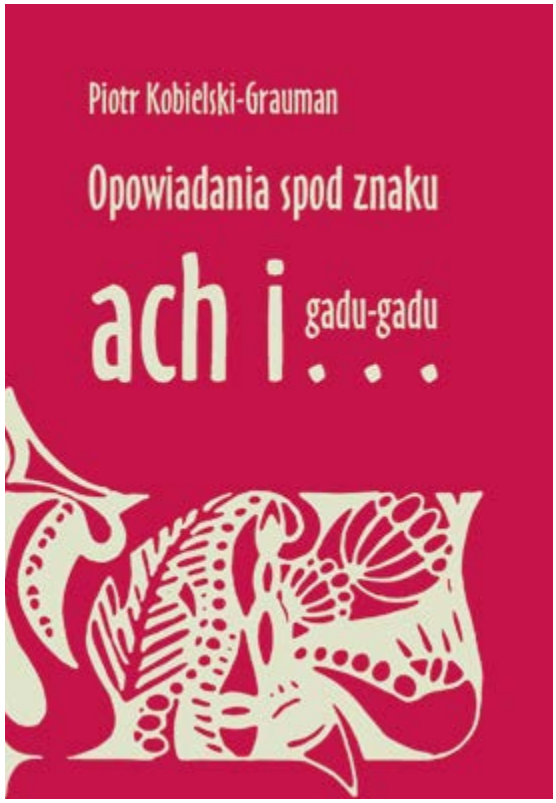

– «gwoździem», który wbija w poetycką tkankę, aby rozwiesić na nim egzystencjalną, metafizyczną lub etyczną treść". W drugim tomie Szkicownika Mariusz Solecki – w równie błyskotliwym eseju – pisze:

„Jego krótkie utwory zatrzymują jak stacje drogi krzyżowej, zapraszając do refleksji nad sprawami tego świata z wektorami tajemnicy. Niosą orzeźwienie jak długo wyczekiwany deszcz, zaskakują jak nagłe olśnienie, rozświetlają umysł przez oczyszczający wstrząs – jak jabłko poznania spadające na głowę Newtona".

Andrzej Samborski posiada licznych sympatyków, ale i entuzjastów twórczości **Stanisława Kierońskiego** (ur. 1947) trudno zliczyć. Ten pracowity poeta, energiczny samorządowiec, wzięty polityk od roku 2016 zdołał opublikować dziesięć tomów wierszy. Ładny wynik. Stanisław – co wyznałem w słowie wstępnym do jednego ze zbiorów wierszy – jest moim przyjacielem. Jego wiesze czytywałem już w trakcie naszych polonistycznych studiów. W tamtym czasie wysoko niósł sztandar młodzieńczego buntu, nie akceptował przyzwolenia na zło, piętnował obłudę, pospolitość, nie miał litości dla karierowiczów, klakierów, malwersantów, wszelkiej maści populistów. Bywało, że spieraliśmy się...

– Poezja – mówiłem – to magia słów, magią nie uleczysz społeczeństwa, nie wskażesz drogi.

– Poezja to kształtowanie sposobu myślenia – słyszałem w odpowiedzi. – To bunt przeciw skamienielinom przeszłości, przeciw skostniałym formom społecznym.

Wiersze moich przyjaciół czytałem uważnie. Podpatrywałem, jak w swych tekstach wykorzystują nasze doświadczenia, jak je przedstawiają, jak bywają nimi inspirowani i jak je pointują.

W *Szkicowniku* – interesujący esej *Vivre pour les autres* poświęcony dziełu Stanisława Kierońskiego autorstwa Janiny Szcześniak, naszej koleżanki (Stanisława i mojej) ze studiów, dziś cenionej badaczki epoki pozytywizmu, profesora UMCS. Tytuł eseju znamienny – *Żyć dla innych* – bowiem autor tomu *Bosy i bogaty* to nie tylko znakomity poeta, ale także człowiek życzliwy ludziom i światu. Profesor Janina Szcześniak przypomina więc: „Ważne miejsce w życiu poety zajmuje również działalność społeczna. Jest on twórcą Grup Wsparcia Społecznego, działaczem zaangażowanym w walkę z eksmisjami ludzi biednych, chorych, samotnych rodziców, starszych, pozbawionych środków do życia... Staszek Kieroński stara się zawsze pomagać także zwykłym mieszkańcom Lublina, którzy zgłaszają się do niego, czasem jako do ostatniej już instancji".

Piotr Kobielski-Grauman (ur. 1953) powiada o sobie: samouk, filozof i orientalista. Inni zaś mówią: „późny Paderewski" lub „wczesny Horowic".

Późny Paderewski – to określenie, którego użył również prof. Lech Giemza w eseju Mistrz w środku słowa, poświęconym dziełku *Opowiadania spod znaku ach i gadu, gadu...* Profesor nie poznał osobiście autora dzieła, ale zanim przystąpił do pracy, przyjrzał się zdjęciu umieszczonemu w omawianej publikacji. I jak się rzekło, podobizna poety przywiodła na myśl posępną twarz wielkiego polityka w aureoli przerzedzonej już grzywy siwych włosów. Wczesny Horowic – to określenie Aleksandra Rozenfelda. Wiadomo, kto to Rozenfeld, a kto to Horowic? To cadyk chasydzki, przed którym przyszłość nie miała tajemnic. Ktoś, kto lubi tajemnice i lokalne sensacyjki w filozoficzno-psychologicznym sosie, z pewnością sięgnie po tom Kobielskiego-Graumana, ktoś, kto lubi rozprawy o zawiłych grach literackich – niechaj sięgnie po fascynującą pracę prof. Lecha Giemzy, poświęconą lubelskiemu twórcy.

Profesor zauważa: To nie jest smutna poezja, jak piszą krytycy, na pewno nie jest to poezja zrozpaczona, melancholijna – owszem, ale elegijność połączona z ironią jest tu formą ocalenia. Poeta mógłby powtórzyć za Norwidem: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, Dwie tylko: poezja i dobroć… i więcej nic".

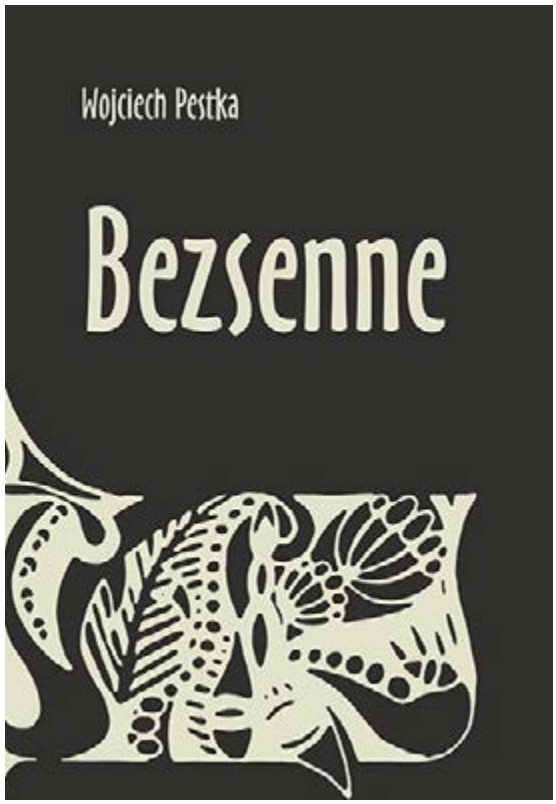

Na użytek tego szkicu dodam: piękno i fantazja... i więcej nic.

Literatura – jak już się rzekło – wymaga fantazji.

Ostatnim dziełem **Wojciecha Pestki** (ur. 1951) jest *Bezsenne*, powieść historyczna. Powieści historyczne zapewniły sławę Sienkiewiczowi, Kraszewskiemu, Gąsiorowskiemu. Powieść Wojciecha Pestki powstała nie z pogoni za sławą. Autor tomu na brak satysfakcji twórczej, jak też popularności, narzekać nie może. Jego książki są recenzowane, a wywiady prezentowane w radiu i prasie. Sam powiada o sobie: od święta poeta, na co dzień prozaik, scenarzysta, tłumacz, z wykształcenia matematyk, rolnik z przymusu, literat z wyboru.

Od siebie dodam, że w czasie studiów był związany z legendarną grupą poetycką Samsara, po studiach – pracownik naukowy, dziś jeden z najbardziej znanych polskich prozaików i reporterów. Jego 3 tomy reportaży poświęcone naszym wschodnich sąsiadom oraz hekatombie Polaków na Kresach zyskały zawrotną popularność, a relacje z wojny na Ukrainie w roku 2014 obiegły całą Europę. Jest nagradzany i publikowany w wielu krajach, zapraszany na międzynarodowe sympozja i seminaria literackie. Z odznaczeń, którymi go uhonorowano, najbardziej ceni łotewską odznakę „Za Wierność Przesłaniu Poety" i ukraiński medal „Za Męstwo i Honor", przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Afganistanu. W jednym z wywiadów powiedział: „W życiu dostałem więcej, niż sobie na to zasłużyłem. W sensie zawodowym robię to, co jest moją pasją, wyzwaniem i sprawia mi radość – piszę".

Profesor Wojciech Kajtoch zauważa: „Generalnie Wojciech Pestka jest wszechstronny: jako poeta okazuje się zwłaszcza bacznym obserwatorem kobiet i znawcą miłosnych uczuć, jako prozaik wykazał się co prawda umiejętnością politycznego spojrzenia, ale przede wszystkim dąży do pokazania uniwersalnych życiowych prawd i tego, jak ujawniają się w naszym istnieniu, co jednak nie przeszkadza mu w rejestrowaniu paradoksalnych obrazów z realnej rzeczywistości i nietypowym ich ujmowaniu".

A powieść *Bezsenne* – stylizowana na dziennik – to historia księdza Józefa Gackiego (1805–1876) społecznika, bohatera narodowych powstań. Autentyczny bohater, autentyczne wydarzenia, wzruszenia czytelnika gwarantowane.

*

Lublin wart jest pióra. W *Szkicowniku* – jedenaście esejów poświęconych lubelskim twórcom. W Słowie wstępnym wymieniłem autorów prac literackich i rozpraw krytycznych. Pominąłem jedynie autora szkicu poświęconego niżej podpisanemu. Jarosławowi Sawicowi podziękować przyjdzie w inny sposób i w innym miejscu.

Lublin inspiruje. O tym mieście warto pisać i warto czytać. *Szkicownik* – jak mniemam – to cenny dokument życia literackiego nad Bystrzycą. Panuje tu kult Czechowicza, trwa fascynacja dziełem Łobodowskiego i Iwaniuka, ale i przed twórcami młodszych generacji należy uchylać już kapelusza!

Tom nie pozwala zapomnieć o poetach, którzy odeszli, a którym – z różnych względów – nie poświęcono dotąd krytycznych komentarzy.

Znawcy przedmiotu zwrócili uwagę – co teraz przypominam z satysfakcją – na poetycki wdzięk Brzozowskiego, surową powagę Zięby, wszechstronność Pestki, finezję Samborskiego, kunsztowność Paczuskiego, specyficzny humor Kobielskiego, zaangażowanie Kierońskiego.

Nie można mieć wątpliwości: nastały dobre dni lubelskiej literatury. Na rynku czytelniczym pojawiła się już trzecia seria Książki Duma Lublina, a za rok trzeci tom *Szkicownika*!

ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ FRONCZEK

Feliks Czyżewski

Romanów i jego sekrety

Ogłoszony przez Starostwo powiatowe w Białej Podlaskiej rok 2022 jako rok Józefa Ignacego Kraszewskiego został pięknie zainaugurowany wydaniem niezwykłego w formacie A4 albumu, doskonale spełniającego wysokie wymogi bibliofilskie. Mówiąc o jego wielorakich walorach (zob. niżej), trzeba jednak wyrazić niedosyt z faktu, że książka liczy tylko 1500 egzemplarzy nakładu i najprawdopodobniej nie dotrze do wielu miłośników twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Recenzowany album, jest – jak czytamy na s. 3 – zwieńczeniem projektu pod nazwą Lokalna Strategia Rozwoju.[1]

Atutem książki *Sekrety Romanowa* jest nowatorska kompozycja o niemal symetrycznym układzie, gdzie splatają się słowo poetyckie i fotografia. Czytelnik albumu może się rozkoszować tekstem poetyckim autorstwa Józefa Ignacego Kraszewskiego i kolorową fotografią wnętrz i otoczenia Muzeum, autorstwa znanego i uznanego podlaskiego artysty Tadeusza Żaczka. Ma rację Mariusz Filipiuk, starosta bialski, zachęcając przyszłych Czytelników do lektury i uwypuklając walory estetyczne dzieła, które stanowi „wspaniałą wyprawę do świata poezji Józefa Ignacego Kraszewskiego" (s. 5). Wprawdzie w bogatej spuściźnie literackiej autora Starej baśni teksty poetyckie zajmują skromne miejsce, a i sam J. I. Kraszewski jako poeta nie pozostawił trwałych śladów w literaturze (zob. *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, red. J. Krzyżanowski, Cz. Hernas, Warszawa 1986, t. I, s. 506), to zamysł wydawców o zamieszczeniu w Albumie tekstów poetyckich J. I. Kraszewskiego uważam – chociażby ze względów edukacyjnych – za potrzebny. Pozwoli to m.in. licznie odwiedzającym Muzeum w Romanowie turystom, w tym młodzieży szkolnej, na szersze niż prozatorskie postrzeganie twórczości J. I. Kraszewskiego. Książka *Sekrety Romanowa* jest swoistym dopełnieniem XIX-wiecznej antologii poezji romantycznej, z jaką styka się współczesny licealista. Czytelnik znajdzie

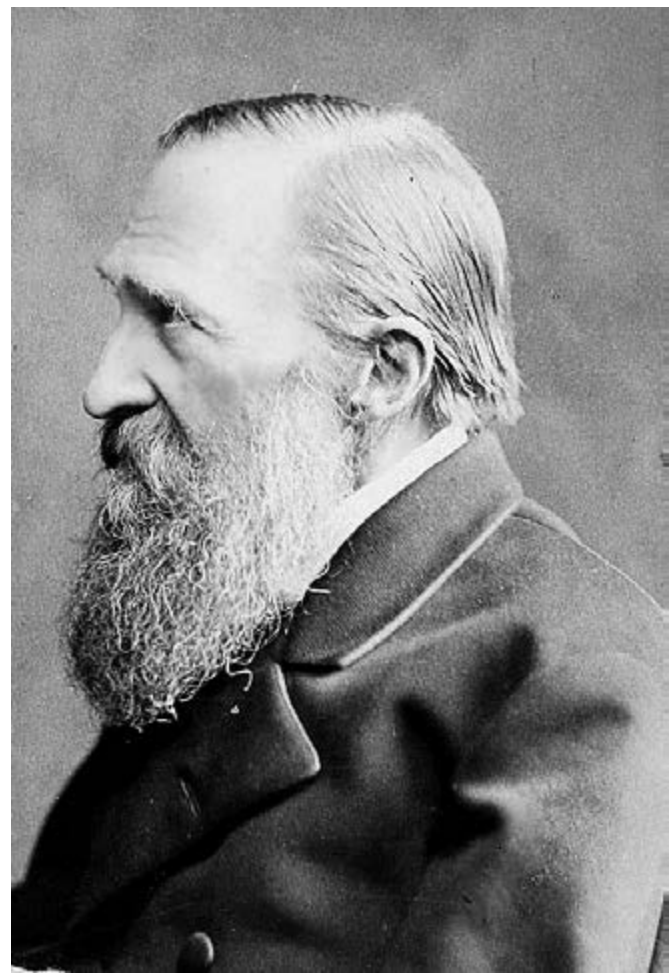

w książce teksty poetyckie J. I. Kraszewskiego wydobyte z pierwodruków ogłoszonych w Wilnie (*Poezye* J. I. Kraszewskiego, t. 1, 1838), we Lwowie (*Poezye* J. I. Kraszewskiego, t. 1, 1888) oraz 2. wydanie w Warszawie (*Poezye* J. I. Kraszewskiego, t. 1, 1843), ponadto – teksty poetyckie z 1988 (*Poezje wybrane*– J. I. Kraszewskiego, Warszawa). Pełna lista źródeł utworów poetyckich, na podstawie których wyboru dokonała Dorota Demianiuk, znajduje się na odwrocie karty tytułowej (s. 2). Tytuły utworów poetyckich zostały zamieszczone w Spisie treści (s. 184). W sumie album zawiera 116 utworów poetyckich o różnorodnej treści i formie. Niekiedy już sam tytuł wskazuje →

1 Formalny zapis określający podmiot finansujący i konkretyzujący umowę brzmi: „Wsparcie dla rozwoju lokalnego w ramach inicjatywy LEADER" objętego Programem PROW 2014–2021 w zakresie „Działania promujące obszar LSR" , umowa nr 01472 – 6935 – UM0312745/20 z dn. 18.3.2021 r.

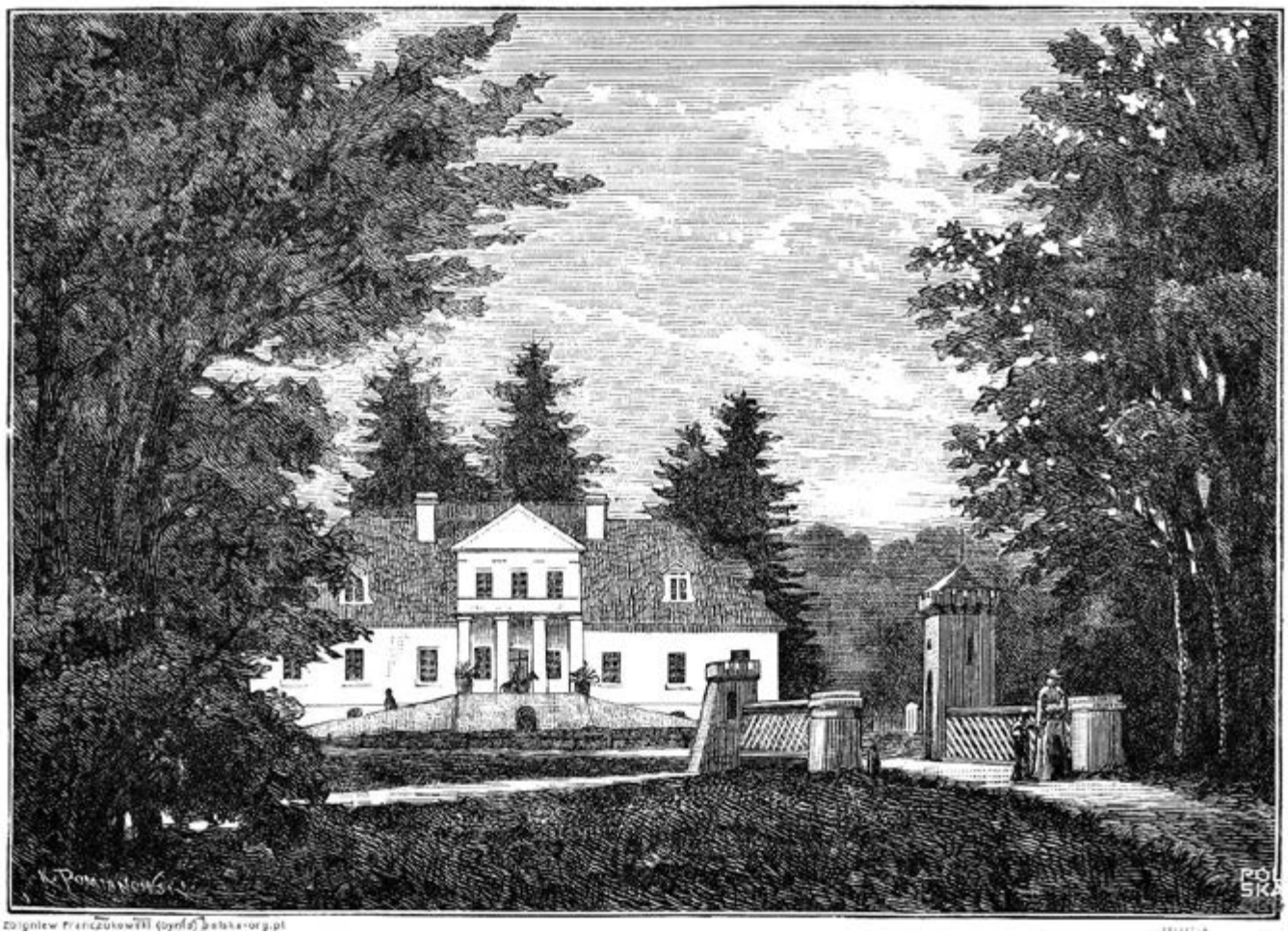

na określony gatunek, jak np. hymn (*Hymny boleści*, s. 73–86), który rozpoczyna się od apostrofy, „O gdyby się kiedy cała": O gdyby się kiedy cała/ Z mojéj piersi pieśń wylała/Jak Bóg wlał ją w moją duszę! […]; psalm jako gatunek o rodowodzie biblijnym, reprezentuje utwór pt. *Psalm*: Z ciemności ciszy, z brudnego barłogu/ Myśl skołataną podnoszę ku Bogu:/ Panie, dlaczego strąciłeś tak nisko/ Dając mnie na pośmiewisko?[…]"; tekst powstał w więzieniu w Magdeburgu (s. 135). Innym gatunkiem egzemplifikowanym w opiniowanym zbiorze tekstów poetyckich, to piosenka pt. *Dziad i baba*; tekst – dzięki wersji muzycznej opracowanej przez S. Moniuszkę – należy do utworów rozpoznawalnych.

Opublikowane, z zachowaniem właściwych reguł edytorskich, utwory poetyckie – po prawie ponad 100-letniej przerwie (nie wliczając w to wydania z lat 80. XX w.) – wymagały iście benedyktyńskiej pracy od niewielkiego zespołu. Współczesny Czytelnik otrzymuje – liczący w formacie A4 95 stron – nowy wybór utworów poetyckich J. I. Kraszewskiego.

Walorem recenzowanej książki jest włączenie różnych kodów komunikacyjnych: obok słowa występuje obraz, fotografia. „Poetycki świat Kraszewskiego – jak czytamy we wstępie autorstwa Krzysztofa Bruczuka, dyrektora Muzeum J. I. Kraszewskiego w Romanowie – dopełniają obrazy prezentujące zasoby romanowskiego muzeum" (s. 70). Kolorowe fotografie utrwalone na kredowym papierze albumu zostały wybrane przez Dorotę Demianiuk z całego dużego zbioru przygotowanego przez Tadeusza Żaczka[2]. Wpisane są one w ważną kompozycyjnie strukturę książki. Autorzy albumu posługując się fotografią sytuują dworek ziemiański rodu Kraszewskich i osobę pisarza w konkretnej XIX-wiecznej rzeczywistości. Fotografie kreują przestrzeń dawnego dworku szlacheckiego okolonego parkiem i zamkniętego fosą. Ta przestrzeń jest skonkretyzowana. Przywołajmy tytuły niektórych fotografii: Baszta na moście [prowadzącym przez fosę do dworku]

2 Informacja ta została uzyskana w rozmowie telefonicznej od p. D. Demianiuk, bowiem w publikacji występuje jedynie zapis : „Wybór" […] zdjęć Dorota Demianiuk (na odwrocie karty tytułowej, s.2).

(fot. na s. 11). W baszcie „Madonna z Czarnego Mostu" (fot. na s. 12). Następnym elementem topograficznym wyodrębniającym przestrzeń dworską jest ukazany z różnej perspektywy park, por. Widok od strony parku (fot. na s. 15), Aleja grabowa (fot. na s. 18), Park w Romanowie. Aleja świerkowa (fot. na s. 23). Dalej już poza fosą po lewej stronie dworku od jego części frontowej, znajduje się kaplica pod wezwaniem św. Anny (fot. na s. 29–30). To przestrzeń sakralna tak ważna w życiu rodziny Kraszewskich (świadczą o tym zapisy Kajetana Kraszewskiego w *Silva rerum*). Fotografie w albumie uwydatniają wnętrza świątyni: ołtarz, krzyż, szaty liturgiczne. Kaplica jest także miejscem pamięci zmarłych członków rodziny Kraszewskich, o czym informują fotografie trumienne zawieszone na ścianie kaplicy (fot. na s. 36). Następne fotografie pokazują, jak jest zróżnicowana przestrzeń w obrębie samego dworku. Są to: sala rodzinna (fot. na s. 39), ujmowana z różnej perspektywy (fot. na s. 44–45 i na s. 49), sala Kajetanowa (fot. na s. 57). Zasadniczą część dworku stanowi salon prezentowany z różnej perspektywy (fot. na s. 67, 72, 87, 90, 93, 96, 101). Kolejne obrazy dotyczące ważnych etapów biografii J. I. Kraszewskiego są znaczone w przestrzeni dworku– Muzeum. Są to: salonik wołyński (fot. na s. 109, 110, 118, 123, 128), sala warszawska (fot. na s. 131, 136, 137), pracownia drezdeńska (fot. na s. 142, 144, 148, 151–153), sala jubileuszowa[3] (fot. na s. 171, 174, 178). Całość przestrzeni dworku w Romanowie zamyka sień (fot. na s. 181).

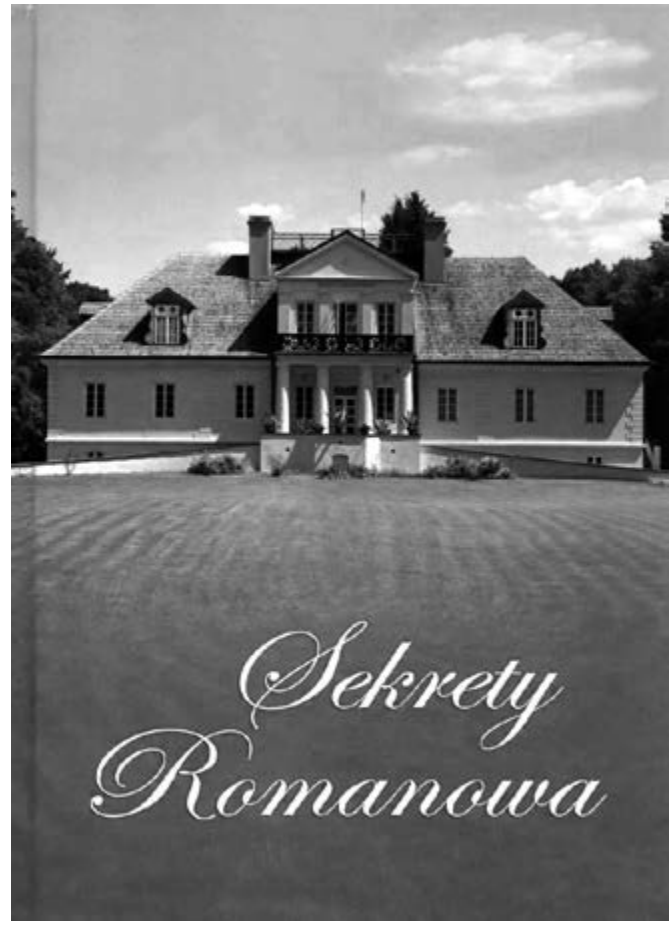

Sekrety Romanowa. Redakcja: Zespół pracowników Muzeum J. I. Kraszewskiego w Romanowie (Krzysztof Bruczuk, Dorota Demianiuk, Mariola Jeruzalska, Dorota Uryniuk), Wydawca: Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie, Romanów 2021, ss. 184.

Przedstawiony na 79 fotografiach układ przestrzenny XIX-wiecznego dworku szlacheckiego determinuje w albumie miejsce tekstów poetyckich J. I. Kraszewskiego. Przywołajmy przykłady. Przestrzeń sakralna jaką ewokuje obraz przedstawiający Kaplicę św. Anny jest – jak się wydaje – podstawą do zamieszczenia bezpośrednio po wymienionej fotografii tekstu, zaczynającego się od incipitu: Gdy wieczór zwolna spuszcza się na ziemię / Do snu kołysząc gwary tajemnemi, / I wszystko zda się usypia i drzemie / […] Jeden głos tylko tę ciszę przerywa, / Jeden, a wszystkim do serca uderza / Dzwon, co z kościołka w dali się odzywa / Do wieczornego wołając pacierza. […] (s. 27). Podobne, jak poprzednio, kompozycyjne powiązanie przestrzeni występuje pomiędzy obrazem *Pracownia drezdeńska* (fot. na s. 148)[4] a utworem poetyckim „U życia schyłku": U życia schyłku stojąc, jak z gór szczytu patrzę / Na przebieżoną drogę. – U stóp mych cmentarze […] Sam jeden przez ćwierć wieku, wygnaniec bez domu – / Tułacz nie ma gdzie złożyć osiwiałej głowy, Ani słowem pociechy jest cieszyć mnie komu. Nie skarżę się – o Panie – bo dusza pamięta, / Ileś mnie dobrodziejstw wyposażył w drogę/Jam zmarnował Twe dary – wola Twoja święta / Czem jeśli nie cierpieniem dług mój spłacić mogę? […] (s. 149).

Sumując, książka *Sekrety Romanowa*, to piękne albumowe wydanie, spełnia swoje zadania poznawcze, edukacyjne i estetyczne. Wpisuje się ona w edukację patriotyczną i obywatelską zawartą w słowach wygłoszonych przez J. I. Kraszewskiego na uroczystościach jubileuszowych w 1879: „Miłość dobra ogólnego była mi najwyższym celem" (zob. fot. na s. 171).

Feliks Czyżewski

3 „W 1879 roku Kraszewski udał się do Krakowa na uroczyste obchody jubileuszu 50-lecia twórczości, które stały się ogólnonarodową manifestacją patriotyczną. Do Krakowa przybyło wówczas ponad 12 000 delegatów z całego świata – Polaków i cudzoziemców." K. Filipow, *Józef Ignacy Kraszewski – nieznany numizmatyk i medalista*, „Niepodległość i Pamięć" 2018, 25/2, s. 63.

4 Okres drezdeński (1863–1875 to czas intensywnej pracy, ale też refleksji o tułaczym życiu „Sam jeden przez ćwierć wieku" (por. wiersz *U schyłku życia*).

WALDEMAR MICHALSKI

Trzydzieści tomów współczesnego psałterza poetyckiego

A duch wieje kędy chce. Almanach poezji religijnej. Wydawnictwo Standruk Adam Król, Lublin 1992–2021.Tom 1(1992) ss. 207 – Tom 30 (2021) ss. 207. Teksty wybrał i opracował Marian Stanisław Hermaszewski. *Wstęp* do tomu z 2021 napisał abp Stanisław Budzik.

Ukazał się kolejny, trzydziesty z kolei, almanach poezji religijnej pt. *A Duch wieje, kędy chce…* z wymownym podtytułem: *Almanach poezji religijnej*. Jego inicjatorem i redaktorem jest poeta Marian Stanisław Hermaszewski, członek grupy poetyckiej „Signum", działającej do niedawna przy lubelskim Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. Warto zauważyć, że w dotychczas opublikowanych tomach almanachu (1992–2021) zaprezentowało swoje wiersze 1079 (słownie: tysiąc siedemdziesięciu dziewięciu!) współczesnych autorów różnych pokoleń i orientacji twórczych.

Trzydzieści lat prywatnej inicjatywy bez dotacji finansowej ze strony lokalnych czy państwowych instytucji to rzecz nieprawdopodobna! Almanach realizowany jest dzięki wsparciu indywidualnych sponsorów, skrupulatnie odnotowywanych w każdym tomie.

Systematycznie drukowany z roku na rok stanowi niezwykłe świadectwo społecznej pasji Mariana Stanisława Hermaszewskiego, ale, przede wszystkim także jego woli pokazania, że we współczesnej polskiej poezji żywy i ważny jest nurt liryki religijnej.

W 1992 roku Hermaszewski najpierw zorganizował cykl spotkań poetów w kościele pw. Św. Ducha w Lublinie (notabene w tym kościele 14 stycznia 1875 r. stanął na ślubnym kobiercu pisarz Aleksander Głowacki, czyli Bolesław Prus a wybranką jego serca była lublinianka Oktawia Trembińska). Życzliwy poetom ks. Józef Kras udostępniając mikrofon autorom postanowił uczcić żywym słowem poetyckim jubileusz 350-lecia kultu Matki Bożej Świętoduskiej. Podczas spotkań autorskich w kościele narodził się pomysł wydania okolicznościowego almanachu. Pierwszy tom (1992) otwiera piękna barwna reprodukcja wizerunku „Łaskami słynącego obrazu Matki Bożej" oraz Hymn do Madonny Świętoduskiej autorstwa Mariana S. Hermaszewskiego. Znalazły się tu konfesyjne wiersze m.in. Stefana Aleksandrowicza, Emila Bieli, ks. Tadeusza Domżała, Urszuli Gierszon, Krzyszrofa Kołtuna, ks. Janusza Kozłowskiego, Zofii Luchowskiej-Kuny, Waldemara Michalskiego, Zbigniewa Strzałkowskiego i Kazimierza J. Węgrzyna. Tom najnowszy z roku 2021, równie obszerny i ciekawy jak wszystkie poprzednie, zaopatrzony został w słowo wstępne ks. abpa Stanisława Budzika, który gratulując redaktorowi wytrwałości i pięknej inicjatywy, pisze: „Redaktor Almanachu ma serce i duszę poety, sam pisze i publikuje, także na łamach Almanachu, dając odważne świadectwo wiary, zachwytu nad pięknem stworzonego świata, głębokiej refleksji na meandrami ludzkiego losu".

Warto zauważyć, że wszystkie okładki kolejnych tomów zaopatrzone są w stylizowany mariograf i mają odcień koloru błękitnego, co nie jest przypadkowe. Kolor ten w ikonografii sakralnej popularnie uznawany jest jako maryjny. Powtarzalny tytuł almanachu *A Duch wieje kędy chce* to parafrazowana wersja słów Jezusa Chrystusa wypowiedzianych do Nikodema: *Wiatr wieje tam gdzie chce* (Ewangelia św. Jana, J.3,8).

Czytając utwory poetów zamieszczone w poszczególnych tomach almanachu nietrudno zauważyć, że wielu tekstom patronują klasycy polskiej poezji religijnej, m.in. Wojciech Bąk, Jerzy Liebert czy ks. Jan Twardowski. „Wierzę więc jestem" – mówi poeta Ryszard Kornacki i słowa te idealnie korespondują z wyznaniem Jerzego Lieberta: Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę (*Miedziany jeździec*), czy Wojciecha Bąka: *Kto cię odnalazł – ten odnalazł siebie* (z cyklu *Mistyka II*).

Poeta Marian Janusz Kawałko – autor wielu wierszy patriotycznych i pastorałek, pisze tu:

Zaświeć Gwiazdo nad naszym stołem
choć spoważniał przez ostatnie lata
wszystkim ślepcom wiernych daj aniołów
w jedno światło połącz wszystkie
światła

(*Pastorałka rodzinna*)

Bardziej wiekowo młodsi współcześni poeci pozostają wierni widzeniu przyjacielskiej obecności Boga znanej z wierszy ks. Jana Twardowskiego. Współczesny wiersz to, według słów księdza Jana, rozmowa z przyjacielem, wyznanie, prośba, bo

On przecież jest
w małej hostii jak iskierce ciepła
w mocnych ścianach nadziei
(Jan Twardowski: *Jest*)

W każdym almanachu drukuje także swoje wiersze Marian Stanisław Hermaszewski. W tomie z roku 1992 r. przedstawia poetycką prośbę:

Panie
bądź we mnie
bądź w moich najbliższych
zamieszkaj w tych
którzy Cię miłują…
(*Modlitwa na dziękczynienie*)

Postacią najczęściej obecną w almanachowych wierszach jest Matka Boża. W utworach Zbigniewa Strzałkowskiego pojawia się jako urocza dziewczyna z warkoczykami, u Stanisława Popka jest piękną Madonną z Krużlowej, u Krzysztofa Kołtuna jawi się jako Matka Pocieszenia kresowych Polaków z katedry lwowskiej. Autorzy od wieków wielbią Maryję i nie ma poety, który by nie poświęcił Jej chociażby kilka słów.

Drugim tematem często obecnym w wierszach drukowanych w almanachu jest kontemplacja krzyża. Krzyż jako drogowskaz, jako deklaracja, jako świadectwo:

Twój krzyż Jezu:
dwie belki związane
bezgraniczną miłością
(Monika Byczkiewicz: *Droga pod krzyż*, 2003).

Pod krzyżem stała Matka Boleściwa, obok krzyża ledwo żywa – słowa tej średniowiecznej pieśni wydają się wyznaczać emocjonalną dominantę wierszy z przewodnim motywem krzyża.

Poszczególne tomy almanachu wypełniają także mniej lub bardziej osobiste modlitwy „ubrane" w formę psalmu, sonetu czy litanii. Zasługują one na uwagę nie tylko literaturoznawcy. Wiersze publikowane w almanachu są zwierciadłem nadziei i pragnień, bólu i podziękowań człowieka przełomu XX i XXI wieku. Sprawy prywatne przeplatają się z troską o narodowy byt. Socjologa zainteresuje z pewnością rejestr doznawanych krzywd i nieszczęść trapiących współczesnego człowieka. Czy tylko Bóg jest w stanie naprawić to, co ludzie nieustannie psują?

Hermaszewski wybiera do almanachu wiersze oryginalne, ciekawe. Wyznaje zasadę, że wiersz ma być dobry, ale nie musi być pisany na kolanach. Galerię autorów trzydziestu tomów almanachu tworzą często znane nazwiska, poza już wspomnianymi, m.in. Janusz Adamczyk, Grzegorz Baczewski, Józef Baran, Marianna Bocian, Stanisława Burda, ks. Wacław Buryła, Tadeusz Chabrowski, Elżbieta Cichla-Czarniawska, Jan H. Cichosz, Mieczysław Czajkowski, Leszek Długosz, Józef Fert, ks. Paweł Heintsch, Zbigniew Jóźwik, Marian Janusz Kawałko, Tadeusz Karabowicz, Ryszard Kornacki, Grzegorz Korba, Wiktor Kowalczyk, ks. Janusz i ks. Kazimierz Kozłowscy, Józef Krupiński, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Zdzisław Łączkowski, s. Urszula Michalak, Zygmunt M. Miszczak, Zbigniew W. Okoń, Joanna Pąk, Agnieszka Polak, Wilhelm Przeczek, Stanisław Rogala, Marta Sas-Nowosielska, Anna Sobańska, Joanna Szubstarska, Eugeniusz Szulborski, ks. Jerzy Szymik, s. Gracja K. Wasilewska, ks. Alfred Wierzbicki, ks. Ryszard Winiarski, ks. Bogusław Wołyński, bp Józef Zawitkowski – to tylko niektóre nazwiska z tysiąca obecnych w almanachu.

Wczytując się w teksty drukowane w almanachu *A Duch wieje*, kędy chce odnosi się wrażenie, że jest to autentyczny współczesny brewiarz poetycki. Trzeba dodać, że almanach Hermaszewskiego interesująco kontynuuje wcześniej wydane poetyckie antologie wierszy religijnych i modlitewnych. Przede wszystkim zasługują tu na przypomnienie takie antologie, jak: *Z głębokości* (IW PAX, Warszawa 1974), *Intencje serca* (Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1985), *Kamień wiary* (Michalineum, Kraków 1985), czy wydana w wersji przedkorektowej antologia poezji Maryjnej pt. *Łaski pełna* (Wydawnictwo Gaudium, Lublin 2011).

Bibliografowie i bibliotekarze, jak sądzę, mogą mieć pewien kłopot z ustaleniem kolejności drukowanych almanachów. Wydawany od trzydziestu lat z niemal regularną częstotliwością nie posiada bieżącej numeracji poszczególnych tomów. Jedynym znakiem bibliograficznie różnicującym poszczególne tomy jest rok publikacji almanachu. Postulatem kierowanym pod adresem inicjatora i redaktora poszczególnych tomów pt. *A Duch wieje kędy chce…* wydaje się być pilna potrzeba przygotowania indeksu nazwisk i tytułów obejmującego wszystkie dotychczas opublikowane tomy ważnego, ciekawego i potrzebnego almanachu . ■

Zbigniew
Włodzimierski

Przysłowia
i powiedzenia
lubelskie

Chytry jak turecki Podlasiak

Skąpstwa nikt i nigdy nie pochwalał. Ze skąpców śmiano się w dawnej Polsce, powiadano o nich z niechęcią czy też pobłażaniem: „skąpy zawsze w nędzy, choć ma dość pieniędzy". Odnotowano jeszcze inne kpiarskie powiedzenia: „skąpiec dla drugiego zbiera, a sam głodem przymiera" czy też „skąpiec liczy pieniądze, nie żeby wydać, ale żeby schować". I jeszcze jedno szyderstwo: „skąpiec i z dębu rad by odarł łyka". Nie od dziś wiadomo, że skąpi są Szkoci. Ale i Poznaniacy potrafią z nimi iść w zawody. Na Podlasiu tylko jeden człowiek zasłynął ze skąpstwa. Wprawdzie Podlasiak z krwi i kości ale sknera, jakich na Podlasiu nie bywało, dlatego nadano mu przydomek turecki, ot, turecki Podlasiak! Bo złoto przywiózł aż z Turcji! – Wielki pan, dyplomata, ale skąpiec nad skąpce! – powiadali lokalni gawędziarze, a ich opowieści przetrwały. I tak jak w dawnym powiedzeniu: skąpiec pieniądze liczył, przeliczał, złoto ważył, nie wydał a schował! I pozostaje ukryte! Dawne skarby trudno znaleźć, łatwiej odgadnąć, kto je mógł ukryć. Bez wątpienia Krzysztof Dzierżek. Był faktycznie dyplomatą i był bajecznie bogaty. I przysłowiowo skąpy! Urodził się na Podlasiu, o jego pochodzeniu i pobieranych naukach niewiele wiadomo, w roku 1569 wysłany został przez Zygmunta Augusta do Konstantynopola w celu nauczenia się języków wschodnich. Po paru latach władał arabskim, perskim, tureckim. Był – jak można mniemać – nie tylko poliglotą, językoznawcą, ale wykonywał również poważne misje polityczne. Dzierżek trwał na placówce, uczył się Wschodu i otrzymywał sowite wynagrodzenie. W tym czasie zmarł Zygmunt August, tron polski porzucił Walezy, a rządy zdążył objąć Batory. Na królewskim dworze nie zapomniano jednak o bialaninie w Konstantynopolu. Dzierżek jako dyplomata Batorego, następnie Zygmunta III Wazy, posłował do Turcji i Moskwy. Skromnie, karnie, bez przepychu. Po żołniersku. Nie to co głośna legacja Krzysztofa Zbaraskiego do Konstantynopola w latach (1622–1624). Wspominam o wyprawie poselskiej Zbaraskiego, bo ta przeszła do legendy, a to ze względu na fantastyczny przepych książęcego orszaku, w dużej mierze własnego sumptu. Misja przeprowadziła m.in. wykup polskich jeńców, w tym Stanisława Koniecpolskiego. Poselstwo to zostało opisane przez jednego z uczestników Samuela Twardowskiego w poemacie: *Przeważna legacyja, Jaśnie Oświeconego Książęcia Krzysztofa Zbaraskiego*. W orszakach Dzierżka poetów jednak nie było. Ale w starych księgach pisano wyraźnie, iż kochał złoto i potrafił je zdobywać. Jego skąpstwo stało się przysłowiowe. Skąpy niczym turecki Podlasiak – powiadano nad Bugiem. Nie miał żony, nie dochował się potomstwa. Zmarł prawdopodobnie około roku 1610. Pozostawił ogromny majątek. Nikomu go nie przekazał. Gdzie ukrył złoto? Nikt nie wiedział, ale wszyscy wierzyli, że znalazł odpowiednią kryjówkę. Tak twierdzono już przed wiekami, a złota szukają do dzisiaj. ■

Kamila Kowalik malarstwo

Kamila Kowalik, *Przybycie Wenus*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Tokyo Rainbow bridge* z cyklu *Mosty wielkich miast*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Rialto bridge (Wenecja)* z cyklu *Mosty wielkich miast*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *London bridge* z cyklu *Mosty wielkich miast*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Bow bridge Central Park NY* z cyklu *Mosty wielkich miast*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Pewnego dnia*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, 2022, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Klucz do promocji portalu emocji i wrzechświata*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, 2022, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Kształt umysłu*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, 2022, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Stranicy źródła*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, 2022, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *African girl (radość)*, 90 × 120, płótno, akryl, technika własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Warsaw Angel* z cyklu *Anioły miast*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

Kamila Kowalik, *Lublin* z cyklu *Portret miasta*, 90 × 120, płótno, akryl, tech. własna, kolekcja prywatna

ISSN 1733-4330
9 770173 343303 87